

David Gilmour

Klub filmowy

Tytuł oryginału: The film club

First published in Canada by Thomas Allen Publishers 2007

Copyright © 2008 by David Gilmour

Copyright © 2011 for the Polish edition by Wydawnictwo Dobra Literatura

Copyright© for the Polish translation by Emilia Skowrońska

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie mogą być publikowane ani w jakikolwiek inny sposób powielane w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Redakcja: Jolanta Chrostowska-Sufa

Korekta: Łukasz Bernady

Skład graficzny książki i projekt okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Druk i oprawa: Opolgraf S.A. Opole

opolgraf

ISBN: 978-83-930559-9-9

Wydawnictwo Dobra Literatura

Słupsk 2011

wydawnictwo@dobraliteratura.pl

www.dobraliteratura.pl

Dla Patrycka Creana

David Gilmour

Klub filmowy

Przełożyła Emilia Skowrońska

Dobra Literatura

Wydawnictwo Dobra Literatura

Słupsk 2011

O edukacji nie wiem nic poza jednym:

iż najwspanialszą i najważniejszą znaną ludzkości
trudnością jest wychowywanie i nauczanie dzieci.

Michel de Montaigne (1533 -1592)

Rozdział 1

Gdy ostatnio zatrzymałem się na światłach, zobaczyłem mojego syna wychodzącego z kina. Był ze swoją dziewczyną. Koniuszkami palców trzymała go za koniec rękawa marynarki i szeptała mu coś do ucha. Nie mogłem dostrzec, jaki film właśnie obejrzeli - podświetlany napis zasłaniało rozłożyste drzewo - ale poczułem prawie bolesną nostalgię, gdy przypomniałem sobie owe trzy lata, które tylko my dwaj, ja i on, spędziliśmy na oglądaniu filmów, siedzeniu na werandzie i rozmawianiu. Był to magiczny, nieczęsto zdarzający się ojcu prawie dorosłego syna czas. Teraz przestałem widywać go dzień w dzień, tak jak kiedyś (i tak powinno być), ale były to cudowne lata. Była to szczęśliwa przerwa dla nas obu. Kiedy byłem dzieckiem, wierzyłem, że istnieje miejsce, do którego dostają się źli chłopcy po rzuceniu szkoły. Było to gdzieś na końcu świata, tak jak cmentarz dla stoni, tyle że to miejsce pełne

było cienkich, białych kości małych chłopców.

Być może właśnie dlatego do dzisiaj prześladują mnie koszmary o uczeniu się do klasówki z fizyki - wektory i parabole - wariuję, panikuję coraz bardziej, kartkuję podręcznik, bo nigdy w życiu nie widziałem tych funkcji i wartości!

11

Trzydzieści pięć lat później, gdy w dziewiątej klasie oceny mojego syna zaczęły się chwiać, a w dziesiątej ostatecznie się przewróciły, przeżyłem swego rodzaju podwójny horror, po pierwsze - z powodu tej konkretnej sytuacji, a po drugie - przez mój wcześniejszy strach, żyjący nadal pełnią życia w moim umyśle.

Zamieniłem się domami z moją byłą żoną (powiedziała: „On musi mieszkać z mężczyzną”). Wprowadziłem się do jej domu, ona przeniosła się do mojego mieszkania, które było zbyt małe, by mógł w nim na stałe zamieszkać wysoki na metr dziewięćdziesiąt nastolatek o ciężkim kroku. Po cichu myślałem, że dzięki temu ja mógłbym zamiast niej odrabiać za niego prace domowe.

Jednak nic to nie pomogło. Na moje cowieczorne pytanie: „Tylko tyle ci zadali?” mój syn, Jesse, odpowiadał radosnym: „Tak, tylko tyle!”. A gdy tego lata pojechał na tydzień do matki, znalazłem sto różnych zadań domowych, poupychanych w każdej możliwej skrytce w jego sypialni. Jednym słowem, szkoła uczyniła z niego kłamcę i cwaniaczka.

Posłaliśmy go do szkoły prywatnej; w niektóre przedpołudnia dzwoniła do nas zdezorientowana sekretarka: „Gdzie on jest?”.

Później tego samego dnia mój długonogi syn materializował się na ganku. Gdzie był? Może na zawodach rapowych w jakimś centrum handlowym na peryferiach miasta albo w jakimś innym, mniej ciekawym miejscu, ale nie w szkole.

Urządzaliśmy mu piekło, on uroczyście przyrzekał poprawę, był grzeczny przez kilka dni, a potem wszystko zaczynało się od nowa.

Był łagodnym chłopakiem, bardzo dumnym, wydawał się niezdolny do robienia czegokolwiek, co go nie interesowało, niezależnie od tego, jak bardzo przejmował się konsekwencjami.

A przejmował się nimi bardzo. Jego świadectwa szkolne przerażały. Tylko komentarze były pozytywne. Ludzie lubili mojego syna, lubili go wszyscy, nawet policjant, który zatrzymał Jessego za mazanie sprayem po ścianach tutejszej podstawówki. (Rozpoznali go

12

niedający wiary swoim oczom sąsiedzi). Gdy oficer odwiózł chłopaka do domu, powiedział: „Na twoim miejscu zapomniałbym o kryminalnej karierze, Jesse. Po prostu brakuje ci tego czegoś”.

W końcu, ucząc go pewnego wieczoru łaciny, zauważyłem, że nie miał żadnych notatek, żadnego podręcznika, nic, tylko pogniębiony kawałek papieru z kilkoma zdaniem do przetłumaczenia o rzymskich konsulach. Pamiętam, jak siedział ze spuszczoną głową po drugiej stronie kuchennego stołu, chłopiec z bladą, niedającą się opalić twarzą, na której widać było jak na dłoni oznaki najmniejszego nawet zdenerwowania. Była zniechęcona przez nastolatków niedziela, koniec weekendu, prace domowe nie-

odrobione, miasto ponure niczym ocean w pochmurny dzień. Na ulicach leżą mokre liście, a we mgle majaczy już poniedziałek.

Po chwili spytałem:

— Gdzie są twoje notatki, Jesse?

— Zostawiłem je w szkole.

Z łatwością uczył się języków, rozumiał ich wewnętrzną logikę, miał słuch aktora - przetłumaczenie tego fragmentu powinno być dla niego dziecinnie proste -jednak gdy patrzyłem, jak kartkował podręcznik, byłem pewien, że nie ma o tym bladego pojęcia.

Powiedziałem:

— Nie rozumiem, dlaczego nie zabrałeś ze sobą notatek. To by bardzo ułatwiło sprawę.

W moim głosie usłyszał zniecierpliwienie; zdenerwował się, a to dla odmiany wywołało u mnie niemiłe uczucie. Bał się mnie, nienawidziłem tego. Nigdy nie wiedziałem, czy była to kwestia konfliktu ojca z synem, czy problemem była moja nadpobudliwość i wrodzona niecierpliwość.

— Nieważne — powiedziałem. — I tak będzie fajnie. Kocham łacinę.

— Serio? — spytał z zapałem (każdy sposób był dobry, byle odwrócić uwagę od brakujących notatek). Przez chwilę przyglądałem

13

się, jak pracuje -jego naznaczone plamami po nikotynie palce zacisnięte na piórze, brzydki charakter pisma.

— Tato, właściwie to w jaki sposób porwano te Sabinki? —

spytał.

— Potem ci powiem.

Chwila przerwy.

— Czy cassis'1 to czasownik? — spytał.

I tak wyglądała nauka, a tymczasem po kuchennych kafelkach zaczęły pełzać cienie późnego popołudnia. Czubek ołówka zeskończył na pokryty winylem blat stołu. Moją uwagę zwróciło coś jakby mruczenie rozbrzmiewające w pomieszczeniu. Skąd dochodziło? To Jesse mruczał? Ale co to było? Przyjrzałem mu się. Tak, w ten sposób dawał wyraz swojemu znudzeniu, ale bardzo szczególnemu jego rodzajowi - było to niezwykle, fizycznie wyczuwalne przeświadczenie, że postawione przed nim zadanie jest zupełnie bez znaczenia. A przez tych kilka sekund z jakiegoś dziwnego powodu czułem się tak, jakby to wszystko odgrywało się w moim własnym ciele.

Aha, pomyślałem, więc tak właśnie odbiera szkołę. Z tym nie można wygrać. I nagle - stało się to tak jednoznaczne jak dźwięk wybijanej szyby - zrozumiałem, że przegrałem batalię o szkołę. W tej samej chwili uświadomiłem sobie też - czułem to każdym nerwem swego ciała - że stracę również jego, że pewnego dnia wstanie od stołu i powie:

— Chcesz wiedzieć, gdzie są moje notatki? Powiem ci. Wsadziłem je sobie w dupę. A jeśli się ode mnie nie odpieprzysz, wsadzę je też tobie. — I wtedy już go nie będzie, trzaśnie drzwiami i szlus.

— Jesse — powiedziałem miękko. Wiedział, że go obserwowa-

łem, niepokoiło go to, zdawało się, że czeka na kłopoty (znowu),

1 Cassis (łac.) - hełm, kask (przyp. tłum.).

14

a kartkowanie podręcznika w tę i z powrotem, w tę i z powrotem
było sposobem na uniknięcie wymówek.

— Jesse, odłóż pióro. Proszę, przestań na chwilę pisać.

— O co chodzi? — spytał. Pomyślałem, że jest taki strasznie
blady. Te fajki wyciągają z niego życie.

— Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił — powiedziałem. — Chcę,
żebyś przemyślał, czy chcesz chodzić do szkoły, czy nie.

— Tato, zostawiłem te notatki w...

— Nie chodzi o notatki. Chodzi o to, żebyś przemyślał to, czy
chcesz chodzić do szkoły.

— Dlaczego?

Poczułem, jak moje serce zaczyna walić, krew napłynęła mi do
twarzy. Nigdy jeszcze nie byłem w tym miejscu, nigdy go sobie
nawet jeszcze nie wyobrażałem.

— Bo jeśli nie chcesz, to nie ma sprawy.

— Co: nie ma sprawy?

Po prostu to powiedz, wyrzuć to z siebie.

— Jeśli nie chcesz już chodzić do szkoły, to nie musisz.

Odchrząknął.

— Pozwolisz mi rzucić szkołę?

— Jeśli tego chcesz. Ale proszę, przemyśl to sobie przez kilka
dni. To bardzo waż...

Skoczył na równe nogi. Zawsze to robił, gdy był podekscytowany; jego długie kończyny nie mogły dłużej znieść spokojnego siedzenia. Pochylił się nad stołem, obniżył głos jak gdyby w obawie, że ktoś go usłyszy.

— Nie potrzebuję kilku dni.

— Zrób to, proszę. Nalegam.

Później tego samego dnia wypłem sobie na odwagę parę kieliszków wina i zadzwoniłem do jego matki, która mieszkała w moim lofcie (urządzonym w starej fabryce cukierków), aby przekazać jej nowiny. Maggie była szczupłą, śliczną aktorką i w ogóle najlepszą

15

osobą, jaką znałem, taką aktorką bez cech aktorki, jeśli wiecie, co mam na myśli. Jednak wszystko widziała od razu w najczarniejszych barwach i już po kilku moich słowach wyobraziła sobie bezdomnego Jessego, zamieszkującego kartonowe pudło w Los Angeles.

— Myślisz, że to dlatego, że nie ma szacunku dla samego siebie? — spytała Maggie.

— Nie — odpowiedziałem. — Myślę, że po prostu nienawidzi szkoły.

— Skoro nienawidzi szkoły, to coś musi być z nim nie w porządku.

— Ja nienawidziłem szkoły — powiedziałem.

— Może stąd to ma. — Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę w tym tonie, aż w końcu wybuchnęła płaczem i zarzuciła mnie potokiem sformułowanych naprędce uogólnień, których nie po-

wstydziliby się nawet Che Guevara.

— Musi więc znaleźć sobie pracę — oświadczyła.

— Myślisz, że zastępowanie jednej nielubianej czynności inną ma sens?

— To co będzie robił?

— Nie wiem.

— Może powinien zostać wolontariuszem — pociągnęła nosem.

Obudziłem się w środku nocy, moja żona, Tina, przewróciła się na drugi bok. Podszedłem do okna. Księżyc spoczywał nie-
zwykle nisko na niebie; zgubił się i czekał, aż ktoś zabierze go do domu. Co będzie, jeśli się mylę? Zacząłem myśleć. A jeśli kosz-
tem mojego syna chcę być „spoko” i pozwalam mu na zrujno-
wanie sobie życia?

To prawda, pomyślałem. Musi się czymś zająć. Ale czym? Do czego mogę go zachęcić, tak żeby nie powtórzyć szkolnej klęski?

Nie czyta książek, czuje niechęć do sportu. Co lubi robić? Oglądać filmy. Tak samo jak ja. Przez kilka lat, gdy dobiegałem czterdziestki,

16

byłem nawet wyszczekany krytykiem filmowym w pewnym pro-
gramie telewizyjnym. Co można z tym zrobić?

Trzy dni później spotkaliśmy się na kolacji w Le Paradis, francu-
skiej restauracji z białymi obrusami i ciężkimi, srebrnymi zastawa-
mi stołowymi. Cekał na mnie na zewnątrz, siedział na kamiennej
balustradzie i palił papierosa. Nigdy nie lubił samotnego czekania

w restauracji. Czuł zażenowanie, myślał, że wszyscy uważają go za niemającego przyjaciół nieudacznika.

Uścisnąłem go, w jego młodym ciele można było poczuć temperament.

— Zamówmy wino i porozmawiajmy.

Weszliśmy do środka. Uściski dłoni. Schlebiające mu rytuały dorosłych. Pomiędzy nim a barmanem padł nawet żart o Johnie-Boyu z serialu Waltonowie. W oczekiwaniu na kelnera milczeliśmy lekko zakłopotani.

Obaj czekaliśmy na jakiś decydujący moment; ale zanim on nastąpił, nie było o czym rozmawiać. Pozwoliłem mu zamówić wino.

— Corbieres — szepnął. — To wino z południa Francji, prawda?

— Tak.

— Trochę ziemiste?

— Dokładnie.

— Poprosimy corbieres — zwrócił się do kelnerki z uśmiechem „wiem, że nie mam o tym zielonego pojęcia, ale i tak świetnie się bawię”. Boże, jaki on ma piękny uśmiech.

Poczekaliśmy na wino.

— Czyń honory — zaproponowałem. Powąchał korek, niezgrabnie zakręcił kieliszkiem i wziął łyk, trochę niezdecydowanie, niczym kot pijący z nieznanego mu miseczki mleka.

— Nie umiem nic powiedzieć — w ostatniej chwili opuściła go odwaga.

— Owszem, umiesz — odpowiedziałem. — Odpręż się. Jeśli

uważasz, że nie jest dobre, to nie jest.

17

— Denerwuję się.

— Po prostu powąchaj. I już będziesz wiedział. Pierwsze wrażenie zawsze jest słuszne.

Powąchał jeszcze raz.

— Musisz prawie włożyć w nie nos.

— Jest dobre — odparł. Kelnerka powąchała szyjkę butelki. —

Miło znów cię tutaj widzieć, Jesse. Twój tata jest u nas częstym gościem.

Rozejrzeliśmy się po restauracji. Nieopodal siedziała starsza para z dzielnicy Etobicoke. Dentysta z żoną, ich syn kończył studia ekonomiczne gdzieś na uniwersytecie w Bostonie. Pomachali nam. Odmachaliśmy. A co, jeśli się mylę?

— Więc — zacząłem — myślałeś o tym, o czym rozmawialiśmy?

Widziałem, że miał ochotę zerwać się na nogi, ale tutaj nie mógł tego zrobić. Rozejrzał się wokół siebie, najwyraźniej porytowany tym ograniczeniem. Potem przysunął swoją bladą twarz do mojej, jak gdyby chciał mi zdradzić tajemnicę.

— Prawda jest taka — szepnął — że nigdy już nie chcę oglądać szkoły od wewnątrz.

W moim żołądku zawrzało.

— Dobrze więc.

Patrzył na mnie bez słowa. Czekał na jakieś quidpro quo.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedziałem. — Nie musisz

pracować, nie musisz opłacać czynszu. Możesz codziennie spać do piątej po południu. Ale żadnych narkotyków. Jeśli tylko się pojawią, nasza umowa zostanie zerwana.

— Jasne.

— Mówię serio. Urządę ci pieprzone piekło, jeśli zaczniesz z nimi eksperymentować.

— Okej.

— Ale — powiedziałem — jest jeszcze coś. (Czułem się jak detektyw Columbo).

18

— Co? — spytał.

— Chcę, żebyś oglądał ze mną trzy filmy tygodniowo. Ja wybieram. To będzie twoja jedyna edukacja.

— Żartujesz sobie ze mnie — odrzekł po chwili.

Nie marnowałem czasu. Następnego popołudnia posadziłem go na niebieskiej kanapie w salonie, usiadłem po jego prawej stronie, zaciągnąłem zasłony i puściłem mu Czteryście batów (Les quatre cents coups, 1959) Francois Truffauta. Stwierdziłem, że to dobre wprowadzenie do europejskiego kina niezależnego, o którym wiedziałem, że będzie nudziło mojego syna, dopóki ten nie nauczy się go oglądać. To tak, jakby w regularnej gramatyce uczyć się nowej odmiany.

Wyjaśniłem (chciałem się streszczać), że Truffaut wszedł do świata filmu tylnymi drzwiami, rzucił szkołę (tak jak Jesse), był dekwonikiem i drobnym złodziejaszkiem; jednak kochał filmy

i dzieciństwo spędził na ukradkowym wślizgiwaniu się do licznych w powojennym Paryżu kin.

Gdy miał dwadzieścia lat, pełen współczucia redaktor zaproponował mu pracę w charakterze krytyka filmowego - był to pierwszy krok do nakręconego sześć lat później debiutanckiego filmu Truffauta. Czteryśta batów (w języku francuskim to wyrażenie jest idiomem i oznacza, że człowiek mądrzeje dopiero po otrzymaniu czterystu batów) to autobiograficzne spojrzenie na pełną problemów młodość wagarowicza.

Aby znaleźć odpowiedniego aktora, mającego zagrać młodszą wersję głównego bohatera, dwudziestosiedmioletni początkujący reżyser filmowy dał ogłoszenie do gazety. Kilka tygodni później na przesłuchaniu do roli Antoine'a zjawił się ciemnowłosy chłopak, który uciekł ze szkoły z internatem w środkowej Francji i dojechał autostopem do Paryża.

19

Nazywał się Jean-Pierre Leaud. (Udało mi się wzbudzić ciekawość Jessego.) Wspomniałem, że z wyjątkiem jednej sceny w gabinecie psychiatry film był kręcony bez dźwięku - dodano go później - ponieważ Truffaut nie miał pieniędzy na sprzęt do nagrywania. Poprosiłem Jessego, żeby zwrócił uwagę na słynną sekwencję, w której podczas szkolnej wycieczki po Paryżu cała klasa znika za plecami swojego nauczyciela; wspomniałem też o rewelacyjnej scenie rozmowy młodego Antoine'a z psychiatrą.

— Zwróć uwagę na jego uśmiech, gdy kobieta pyta go o seks —

zasugerowałem. — Pamiętaj, że nie było żadnego scenariusza; wszystko odbywało się na zasadzie całkowitej improwizacji.

W samą porę zreflektowałem się, że zaczynam popadać w manierę mającego łupież na marynarce nauczyciela ogólniaka.

Włączyłem więc film. Obejrzelśmy go aż do tej długiej, końcowej sceny, gdy Antoine ucieka z zakładu wychowawczego; biegnie przez pola, sady jabłoniowe, mija wiejskie domy, aż dociera do oceanu. Wygląda na to, że nigdy wcześniej go nie widział. Taki olśniewający bezkres! Zdaje się ciągnąć bez końca. Chłopak schodzi po drewnianych schodach. Idzie plażą, a w miejscu, w którym fale wypływają na brzeg, nieznacznie się wycofuje i spogląda prosto w kamerę. Obraz zamiera. Koniec filmu.

Po kilku chwilach pytam:

— I co o tym sądzisz?

— Trochę nudne.

Spróbowałem jeszcze raz.

— Widzisz jakieś analogie pomiędzy sytuacją Antoine'a i twoją?

Zastanawiał się przez jakąś sekundę.

— Nie.

— Jak myślisz, dlaczego miał taki dziwny wyraz twarzy w ostatnim ujęciu na końcu filmu?

— Nie wiem.

— Jak wygląda?

20

— Na zmartwionego.

— Co może go martwić? — spytałem.

— Nie wiem.

— Pomyśl, w jakiej sytuacji się znajduje. Uciekł z zakładu wychowawczego i od rodziny; jest wolny.

— Może martwi się tym, co będzie dalej.

— Co masz na myśli?

— Może mówi: „Okej, zaszedłem aż tak daleko. Ale co dalej?”.

— Dobrze, spytam jeszcze raz — powiedziałem. — Czy widzisz coś wspólnego pomiędzy jego sytuacją a twoją?

Wyszczerzył zęby.

— Masz na myśli to, co mam zamiar zrobić teraz, kiedy nie muszę już chodzić do szkoły?

— Tak.

— Nie wiem.

— Może dlatego właśnie Antoine wygląda na zmartwionego.

On też nie wie — wyjaśniłem.

Po chwili powiedział:

— Gdy chodziłem do szkoły, martwiłem się, że dostanę złe oceny i będę miał kłopoty. A teraz, kiedy do niej nie chodzę, martwię się, że być może zrujnowałem sobie życie.

— To dobrze.

— Jak to?

— To oznacza, że się nie stoczysz.

— Mimo to chciałbym przestać się martwić. A ty się martwisz?

Mimowolnie wziętem głęboki wdech.

— Tak.

— Więc to się nigdy nie skończy, niezależnie od tego, jak dobrze ci idzie?

— Chodzi o jakość zmartwień — odparłem. — Teraz moje zmartwienia są przyjemniejsze niż kiedyś.

Wyrzął przez okno.

21

— Przez to wszystko mam ochotę na papierosa. Wtedy będę mógł się martwić o to, że dostanę raka płuc.

Następnego dnia na deser zaserwowałem mu Nagi instynkt (Basic Instinct, 1992) z Sharon Stone. Ponownie zrobiłem krótkie wprowadzenie do filmu, nic specjalnego. Prosta zasada: tylko podstawy. Jeśli będzie chciał dowiedzieć się więcej, spyta.

Powiedziałem:

— Paul Verhoeven. Holenderski reżyser; przyjechał do Hollywood po nakręceniu w Europie kilku znakomitych, wyjątkowo brutalnych filmów, które jednak świetnie się ogląda. Najlepszy jest RoboCop. (Nadawałem jak aparat Morse'a, ale chciałem, żeby mnie słuchał).

Kontynuowałem.

— Nakręcił również jeden z najgorszych filmów wszech czasów, kultowe Showgirls.

Zaczęliśmy oglądać. Opalona blondynka uprawia seks z mężczyzną i podczas stosunku zabija go szpikulcem do lodu. Świetna scena otwierająca. Po piętnastu minutach trudno oprzeć się wrażeniu, że Nagi instynkt jest nie tylko o odrażających ludziach,

ale został nakręcony przez odrażających ludzi. Ta młodzieńcza, uczniacka fascynacja kokainą i lesbijską „dekadencją”. Trzeba jednak przyznać, że film ogląda się świetnie. Wywołuje pewien rodzaj hipnotyzującego przerażenia. Wydaje się, że ciągle dzieje się tu coś ważnego albo nieprzyzwoitego, nawet jeśli tak nie jest.

No i dialogi. Wspomniałem Jessemu, że scenarzysta Joe Eszterhas, były reporter, dostał trzy miliony dolarów za zdania takie jak te:

Detektyw: Jak długo się z nim spotykałaś?

Sharon Stone: Nie spotykałam się z nim. Pieprzyłam go.

Detektyw: Żałujesz, że nie żyje?

Sharon Stone: Tak. Lubiłam się z nim pieprzyć.

22

Jesse nie mógł oderwać wzroku od ekranu telewizora. Może i docenił Czteryścieś batów, ale to było coś zupełnie innego.

— Czy możemy zrobić chwilę przerwy? — spytał i pobiegł do toalety. Z kanapy słyszałem głośnie podniesienie deski klozetowej, a potem silny strumień, który równie dobrze mógłby pochodzić od konia.

— Na litość boską, Jesse, zamknij drzwi! — dzisiaj uczyliśmy się różnych rzeczy.

Trzask, drzwi zamknięte. Pośpieszył z powrotem, jego stopy w skarpetkach dudniły o podłogę, spodnie przytrzymał w pasie. Rzucił się z powrotem na kanapę.

— Tato, musisz przyznać-tojest świetny film.

Rozdział 2

Pewnego dnia przyprowadził do domu dziewczynę. Nazywała się Rebecca Ng, była wietnamską piękną.

— Miło cię poznać, Davidzie — powiedziała, patrząc mi w oczy.

Davidzie?

— Jak minął ci dzień?

— Jak mi minął dzień? — powtórzyłem w idiotyczny sposób. —

Jak na razie w porządku.

Czy podoba mi się mieszkanie w tej okolicy? Tak, owszem, dziękuję.

— Moja ciotka mieszka kilka ulic stąd — powiedziała. — Jest bardzo miła. Przedpotopowa, ale bardzo miła.

Przedpotopowa?

Rebecca Ng (nazwisko wymawia się „Ning”) miała na sobie starannie dobrane ciuchy, nieskazitelnie białe dżinsy, kasztanową bluzkę z długim kołnierzem, skórzaną kurtkę, buty w stylu The Beatles. Odnosiło się wrażenie, że sama zarobiła na te ubrania, pracując po szkole w butik w Yorkville, a w soboty serwując drinki ściągającym swoje obrączki szychom w Four Seasons Hotel (jeśli nie przygotowywała się właśnie do zaliczenia z rachunku różniczkowego).

Gdy odwróciła głowę, żeby powiedzieć coś do Jessego, poczułem subtelny zapach drogich perfum.

25

— A więc jesteście — powiedziała.

Zabrał ją na dół do swojego pokoju. Otworzyłem usta, by

zaprotestować. Jego pokój przypominał piwnicę. Nie było tam okien, żadnego naturalnego światła. Tylko łóżko przykryte starym, zielonym kocem, porozrzucane po pokoju płyty CD, komputer postawiony monitorem do ściany, „biblioteka” składająca się z dwóch ksiązek z autografami: powieści Elmore'a Leonarda (nieczytanej) i Miasteczka Middlemarc George'a Eliota (prezentu od pełnej nadziei matki Jessego), a także kolekcji hiphopowych czasopism z groźnie spoglądającymi z okładek czarnymi mężczyznami. Na stoliku nocnym zbiór szklanek po wodzie, które pękały z hukiem przypominającym strzał z pistoletu, gdy próbowało się je podważyć. Tu i ówdzie można było znaleźć również czasopismo dla dorosłych („1-800-Slut”), wystające spomiędzy materaca i ramy łóżka.

— Nie mam problemu z pornografią — powiedział prosto z mostu.

— Ale ja mam — odparłem. — Więc lepiej ją chowaj.

Obok, na cementowej posadzce w pralni pleśniała połowa naszych domowych ręczników. Zamknąłem się jednak. Wyczułem, że w tej chwili nie powinienem traktować go jak dziecka:

— Dzieciaki, weźcie sobie mleko i ciastka, a ja wrócę do koszenia tej przeklętej trawy przed domem!

Wkrótce spod podłogi dobiegły mnie głuche dźwięki gitary basowej. Na jej tle słychać było głos Rebeki, później dołączył głębszy, bardziej pewny siebie głos Jessego. Dobrze, pomyślałem. Odkryła to, jaki mój syn jest zabawny.

— Ile lat ma ta dziewczyna? — spytałem, gdy wrócił do domu po odprowadzeniu jej na przystanek metra.

— Szesnaście — odpowiedział. — Ale ma chłopaka.

— Ja myślę.

Uśmiechnął się niepewnie.

26

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic szczególnego.

Wyglądał na zmartwionego.

— Zdaje się, że chcę przez to powiedzieć, że skoro ma chłopaka, to dlaczego przychodzi do twojego domu?

— Ładna jest, prawda?

— Z całą pewnością. I dobrze o tym wie.

— Wszyscy lubią Reбекę. Udają, że chcą się z nią przyjaźnić.

A ona pozwala wozić się samochodami.

— Ile lat ma jej chłopak?

— Jest w jej wieku. Ale to kujon.

— To dobrze o niej świadczy — powiedziałem trochę sztywno.

— Jak to?

— Sprawia, że staje się bardziej interesująca.

Zerknął na swoje odbicie w wiszącym nad zlewozmywakiem lustrze. Lekko przechylił głowę na bok, wciągnął policzki, zrobił „dzióbek” i mocno zmarszczył brwi. To była jego „twarz do lustra”. W rzeczywistości nigdy tak nie wyglądał. Patrząc na niego, czekało się, kiedy w końcu jego gęste włosy szopa pracza staną dęba.

— Ale facet przed nim miał dwadzieścia pięć lat — powiedział. (Chciał o niej rozmawiać). Z lekką niechęcią oderwał wzrok od swojego odbicia w lustrze i jego twarz znowu wyglądała normalnie.

— Dwadzieścia pięć?

— Tato, ona ma dookoła siebie mnóstwo facetów. Tak jak much.

W tamtej chwili wydawał się mądrzejszy ode mnie, gdy byłem w jego wieku. Miał mniej wyobrażeń o sobie, był mniej próżny. (Co wcale nie było takie trudne do osiągnięcia).

Jednak cała ta sprawa z Rebeką Ng niepokoiła mnie. Tak jakbym patrzył, jak Jesse wsiada do bardzo drogiego samochodu. Ze swojego miejsca czułem zapach nowej skóry.

27

— Nie wyglądałem, jakbym czegoś od niej chciał, prawda? — spytał.

— Nie, zupełnie tak to nie wyglądało.

— Nie byłem zdenerwowany albo coś?

— Nie. Denerwujesz się?

— Tylko kiedy przyglądam się jej z bliska.

— Według mnie wyglądałeś, jakbyś całkowicie panował nad sytuacją.

— Prawda? — znowu widać było, że jego kończyny stały się lżejsze, odpoczywając od otaczającej go minorowej mgły zmartwień i samokrytyki, która wróci do niego, jak gdyby podlegała

sile grawitacji. Pomyślałem o tym, jak niewiele mogę mu dać - tylko te małe, uspokajające kawałki jabłka, jak gdybym karmił w zoo rzadki gatunek zwierzęcia.

Za ścianą słyszałem głos naszej sąsiadki, Eleanor. Pobrzękiwała naczyniami w kuchni, parzyła herbatę, słuchała radia. Dźwięki samotności. Jednym uchem słuchając tych odgłosów, pogrążyłem się w rozmyślaniu o własnych zmartwieniach i niespokojnie zacząłem wspominać pierwszą „randkę” Jessego. Miał dziesięć, może jedenaście lat. Nadzorowałem jego przygotowania; ze skrzyżowanymi ramionami patrzyłem, jak mył zęby, spryskał swoje małe pachy moim dezodorantem, założył czerwony podkoszulek, uczesał się i wyruszył. Poszedłem za nim, chowając się za krzakami i drzewami, pozostając poza zasięgiem jego wzroku. (Jak cudnie wyglądał w słońcu, taka mała, tykowata figurka z ciemnorudymi włosami). Kilka chwil później zjawił się na drodze z imponującego, wiktorianańskiego domu, u jego boku szła mała dziewczynka. Była odrobinę wyższa od niego.

Szedłem za nimi do Bloor Street, potem weszli do kawiarni CoffeeTime i zniknęli mi z oczu.

— Tato, chyba nie myślisz, że Rebecca to nie moja liga? — spytał Jesse, patrząc na siebie w lustrze i wykrzywając twarz.

28

— Nikt nie jest spoza twojej ligi — powiedziałem. Jednak gdy to mówiłem, moje serce waliło.

Owej zimy miałem dużo czasu. Byłem gospodarzem nieogł-

danego przez nikogo dokumentalnego show, jednak kontrakt dobiegał końca, a producent przestał odpowiadać na moje próbujące odświeżyć całą sprawę maile. Miałem nieprzyjemne uczucie, że moja telewizyjna kariera dobiegała końca.

— Być może będziesz musiał wyjść do ludzi i poszukać pracy jak każdy — powiedziała moja żona. Jako pięćdziesięciolatka przerażało mnie chodzenie po ludziach z kapeluszem w rękę i proszenie o pracę.

— Nie wydaje mi się, żeby ludzie tak to odbierali — odparła. —

Po prostu byłbyś facetem poszukującym pracy. Każdy tak robi.

Zadzwoiłem do kilku kumpli ze starych czasów, ludzi, którzy podziwiali moją pracę (tak myślałem). Oni jednak przenieśli się do innych programów, żon, nowych dzieci. Wyczuwało się ich poczciwość i jednocześnie to, że nie miało się z nimi nic wspólnego.

Zjadłem lunch z ludźmi, których nie widziałem przez lata. Stary przyjaciele ze szkoły średniej, ze studiów, z szalonych czasów Karaibów. Dwadzieścia minut później, patrząc na widelec, myślałem, że nie wolno mi tego więcej zrobić. (Jestem pewien, że tamci myśleli o tym samym).

W głębi duszy zadawałem sobie pytanie: jak mam zamiar przeżyć resztę swojego życia? Jeśli w ciągu pięciu czy dziesięciu lat sytuacja się nie zmieni, to będzie kiepsko. Zniknęło moje pełne wiary przeświadczenie, że „jakoś to będzie” i „wszystko się ułoży”.

Stworzyłem sobie najgorszy scenariusz: przy założeniu, że już nikt nigdy mnie nie zatrudni, pieniędzy wystarczy mi na ja-

kieś dwa lata. Na dłużej, jeśli przestanę jadać kolacje w knaj-
pach. (Na jeszcze dłużej, jeśli umrę). Ale co potem? Miałbym być
29

nauczycielem na zastępstwa? Nie robiłem tego przez dwadzie-
ścia pięć lat. Na samą myśl o tym mój żołądek zaczął szaleć. Bu-
dzik w telefonie ustawiony na wpół do siódmej, ja wyskakujący
z łóżka, moje serce wali jak oszalałe, w ustach potworny niesmak.
Zakładam koszulę, krawat i śmierdzącą preparatem na mole spor-
tową marynarkę. Wywołująca mdłości podróż metrem do jakiejś
zbudowanej z cegieł szkoły w obcej okolicy, zbyt jasne koryta-
rze, biuro zastępcy dyrektora szkoły. „Czy to nie pan występował
w telewizji?”. Już na samą myśl o tym wszystkim chciałoby się na-
pić mocnego drinka o jedenastej rano. Co też kilka razy uczyni-
łem, przyplacając to oczywiście kaczem a la Malcolm Lowry. Źle
pokierowałem swoim życiem.

Któregoś ranka obudziłem się zbyt wcześnie i trafiłem do pew-
nej nieznannej mi restauracji. Rachunek, który otrzymałem, wyda-
wał mi się o wiele za niski. Ewidentnie popełniono błąd, a ja nie
chciałem, żeby różnica została potrącona z napiwków kelnerki.
Dałem jej znak, żeby podeszła.

— Wydaje mi się, że kwota jest zbyt niska — powiedziałem.

Spojrzała na rachunek.

— Nie, nie — padła wesoła odpowiedź — to „Promocja dla
Seniora”.

„Promocja dla Seniora” - dla ludzi powyżej sześćdziesiątego

piątego roku życia. Jeszcze bardziej godnym politowania był fakt, że poczułem wdzięczność. Koniec końców na „Jajecznicy na szynce dla rannych ptaszków” zaoszczędziłem prawie dwa i pół dolara. Na zewnątrz zapadał zmrok. Zaczęło śnieżyć; mokre płatki ześlizgiwały się po szybach okien. Mały parking po drugiej stronie ulicy zniknął we mgle. Można było zobaczyć poruszającą się parę czerwonych tylnych świateł, ktoś wracał na swoje miejsce. Właśnie wtedy zadzwoniła matka Jessego, Maggie Huculak (wypowiada się to „Hu-szu-lak”). Akurat nalała sobie kieliszek czerwonego wina w moim mieszkaniu i potrzebowała towarzystwa. Na ulicy zmieniły

30

się światła; dookoła lamp mgła tworzyła tajemniczą poświatę. Nagle nastał przyjemny wieczór, idealny do tego, by dwoje rodziców porozmawiało o swoim ukochanym dziecku - jego diecie (kieszka), ćwiczeniach (brak), paleniu papierosów (niepokojące), Rebecce Ng (kłopoty), narkotykach (nie wiedzieliśmy o żadnych), czytaniu (zero), filmach (dzisiaj Północ - północny zachód [North by Northwest, 1959] Hitchcocka), piciu alkoholu (na imprezach) i naturze jego duszy (marzyciel).

Gdy tak sobie rozmawialiśmy, po raz kolejny dotarło do mnie, jak bardzo się kochaliśmy. Nie była to miłość cielesna czy romantyczna - to już za nami - ale coś o wiele głębszego. (Jako młody mężczyzna nie wierzyłem w to, że mogło istnieć coś głębszego). Wspólne spędzanie czasu, wzajemne słuchanie naszych kojących głosów sprawiało nam ogromną radość. Poza tym życie brutalnie

nauczyło mnie tego, że poza nią nie było na świecie nikogo, z kim mógłbym porozmawiać o moim synu, tak dalece zagłębiając się w szczegóły, jak tylko tego zapragnąłem - o tym, co powiedział dzisiaj rano, jakie to było mądre, jaki był przystojny w swojej nowej koszulce do rugby. („Masz rację! W ciemnych kolorach wygląda świetnie!”).

Po trzydziestu minutach wysłuchiwania takiej paplaniny każda inna osoba skoczyłaby przez okno. Jakie to smutne, pomyślałem sobie - cóż to za strata dla tych rodziców, których wzajemna niechęć do siebie pozbawiła możliwości owej cudownej wymiany myśli.

— Masz jakiegoś faceta?

— Nie — odparła Maggie. — Nie ma żadnych interesujących mężczyzn.

— Będziesz jakiegoś miała. Znam cię.

— Nie wiem — przyznała. — Kilka dni temu ktoś mi powiedział, że kobieta w moim wieku prędzej padnie ofiarą ataku terrorystycznego, niż wyjdzie za mąż.

31

— Jak miło. Kto jest taki mądry? — spytałem.

Podana nazwisko aktorki o kaczej urodzie, z którą miała próby do Heddy Gabler.

— Robiliśmy próbę czytania i na koniec reżyser, którego znam tyle lat, powiedział: „Maggie, jesteś jak szkocka single-malt”.

— Tak?

— I wiesz, co ona na to?

— Co?

— „To ta tania odmiana, prawda?”.

Po chwili powiedziałem:

— Maggie, jesteś lepszą aktorką niż ona; nigdy ci tego nie wybaczy.

— Zawsze mówisz mi takie miłe rzeczy—jej głos zaczął drżeć.

Bardzo łatwo było doprowadzić ją do płaczu.

Nie pamiętam dokładnie. Może to była ta sama mglista noc, a może kilka nocy później, gdy Rebecca Ng zadzwoniła około czwartej rano. Dzwonek telefonu tak idealnie wpasował się w mój sen (letni domek, moja mama robi mi w kuchni kanapkę z pomidorem, to wszystko już dawno minęło), że z początku się nie obudziłem.

Telefon zadzwonił jeszcze raz i jeszcze raz, w końcu odebrałem. Było bardzo późno, już sam fakt, że dziewczyna w jej wieku jest o tej porze na nogach, wydawał się wystarczająco dziwny, ale żeby jeszcze obdzwaniała ludzi?

— Rebecca, jest za późno, o wiele za późno — powiedziałem.

— Przepraszam — jej głos nie zdradzał, że jest jej przykro. —

Myślałam, że Jesse ma własny numer telefonu.

— Nawet gdyby miał... — zacząłem, ale mój język nie chciał działać. Mój głos brzmiał, jakbym właśnie przechodził atak apopleksji.

32

Nie należy atakować nastolatka od samego rana, trzeba po-

czekać, aż umyje zęby, umyje twarz, zejdzie na dół, usiądzie i zje swoją jajecznicę. Wtedy możesz zacząć. Pytasz wówczas:

— O co, do cholery, chodziło ostatniej nocy?

— Śniłem jej się. — Starał się stonować głos, ale był rozpromieniony niczym ktoś, kto właśnie wygrał duże rozdanie w pokera.

— Powiedziała ci to?

— Powiedziała to jemu.

— Komu?

— Swojemu chłopakowi.

— Powiedziała swojemu chłopakowi, że miała sen o tobie?

— Tak. — Zaczynało to przypominać sztukę Harolda Pintera.

— Jezu.

— Co? — spytał zaniepokojony.

— Jesse, wiesz, co to oznacza, kiedy kobieta mówi ci, że o tobie śniła, prawda?

— Co? — znał odpowiedź. Po prostu chciał ją usłyszeć.

— Oznacza to, że cię lubi. To jej sposób na powiedzenie ci, że o tobie myśli. Naprawdę o tobie myśli.

— To prawda. Myślę, że mnie lubi.

— Nie mam co do tego wątpliwości. Ja też cię lubię... — przerwał, bo zabrakło mu słów.

— Ale?

— To jest po prostu nieszczerze. I okrutne. Jakby ci się podobało, gdyby twoja dziewczyna powiedziała ci, że śnił jej się inny

facet? — zapytałem.

— Nie powiedziałyby.

— Masz na myśli, że jeśli byłaby z tobą, to nigdy nie śniłaby o nikim innym?

— Tak — przytaknął bez przekonania.

Kontynuowałem.

33

— Jesse, staram się powiedzieć ci, że dziewczyna będzie cię traktować w sposób, w jaki traktowała swoich byłych chłopaków.

— Myślisz?

— Ja nie myślę. Ja wiem. Spójrz na swoją mamę; dla swoich byłych facetów zawsze była miła i wspaniałomyślna. Dlatego nie opowiada ci o mnie żadnych bzdur ani nie ciąga mnie po sądach.

— Nie zrobiłaby tego.

— Właśnie do tego zmierzam. Jeśli zrobiłaby to innemu facetowi, zrobiłaby to również mnie. Dlatego mam syna z nią, a nie z kimś innym.

— Wiedziałaś, że się rozstaniecie?

— Mam na myśli to, że można iść do łóżka z żoną, ale nigdy nie należy mieć z nią dzieci.

To stwierdzenie zamknęło mu usta.

Zachowałem listę obejrzanych przez nas filmów (żółte karteczki na lodówce), stąd wiem, że w ciągu kilku pierwszych tygodni pokazałem mu Zbrodnie i wykroczenia (Crimes and Misdemeanors, 1989).

Ostatnimi czasy filmy Woody'ego Allena cechuje niedbałość, jak gdyby chciał jak najszybciej je skończyć i zaczynać coś nowego. Tym czymś nowym jest niestety kolejny film. To spirala prowadząca w dół. A może, nakręciwszy ponad trzydzieści filmów, ukończył już dzieło swojego życia; być może od tej chwili należy pozwolić mu krążyć po świecie na paliwie, jakie wybierze.

Był taki czas, kiedy odtrącał jedną ślicznotkę za drugą. Zbrodnie i wykroczenia to film, który wielu ludzi widziało jeden raz, ale nie wszystko z niego zrozumiało, tak samo jak w przypadku nowel Czechowa. Zawsze myślałem, że jest to film, który pozwala pojąć sposób widzenia świata przez Woody'ego Allena - jako miejsce,

34

w którym ludzie tacy jak twoi sąsiedzi naprawdę unikają kar za morderstwa, a najgłupszy faceci dostają najlepsze dziewczyny. Zwróciłem uwagę Jessego na zręczną narrację, na to, jak sprawnie opowiedziana jest historia zalotów okulisty (Martin Landau) i świetnie wykreowana postać jego rozhisteryzowanej dziewczyny (Angelica Huston). Kilka pociągnięć pędzlem - i w lot chwytamy, w jaki sposób przeszli oni od podniecających umizgów do zabójczej pracy zespołowej.

Co na temat tego filmu myślał Jesse? Powiedział:

— Myślę, że w prawdziwym życiu polubiłbym Woody'ego Allena. — I przy tym pozostaliśmy.

Następnie pokazałem mu dokument *Volcano: An Inquiry into the Life and Death of Malcolm Lowry* (1976). Można powiedzieć to

tylko raz, więc mówię: Volcano to najlepszy film dokumentalny, jaki widziałem w życiu. Gdy przed mniej więcej dwudziestoma laty zaczynałem pracę w telewizji, spytałem starszą rangą producentkę, czy o nim słyszała.

— Żartujesz? — odparła. — Właśnie dla tego filmu przyszłam do telewizji.

Znała nawet cytaty.

— Jak można mieć nadzieję na zrozumienie uroku starej kobiety z Ta rasco, która gra w domino o siódmej nad ranem? Chyba że pije się tyle, co ja.

A jaką historię opowiada ten film! Malcolm Lowry, bogaty chłopak, w wieku dwudziestu siedmiu lat opuszcza Anglię, oddaje się pijaństwu i włóczęgom po całym świecie, w końcu osiada w Meksyku, w którym rozpoczyna się jego opowiadanie. Dziesięć lat i milion drinków później rozwinął tę fabułę w najwspanialszą powieść o piciu, jaka kiedykolwiek powstała, Pod wulkanem (Under the Volcano) - podczas tego procesu prawie doprowadził się do szaleństwa. (Co dziwne, większość powieści została napisana w małej chatce dziesięć mil na północ od Vancouver).

35

Są pisarze, wyjaśniam, których życie i śmierć wzbudzają taką ciekawość i podziw jak to, co właśnie napisali. Wspominam Virginie Wolf (utopiła się), Sylwię Plath (zatrzymała się gazem), Francisa Scotta Fitzgeralda (w głupi sposób zapisał się na śmierć i zmarł zbyt młodo). Malcolm Lowry jest inny. Jego powieść to jeden z najbardziej

romantycznych, literackich peanów na temat samounicestwienia.

— To niesamowite — powiedziałem Jessemu — gdy wyobrazisz sobie, jak wielu młodych mężczyzn w twoim wieku upijało się i patrząc w lustro myślało, że widzą Malcolma Lowry'ego. Jak wielu młodych mężczyzn myślało, że pijąc do nieprzytomności, robi coś bardzo doniosłego i poetyckiego. — Przeczytałem Jessemu fragment tekstu, żeby mu zademonstrować, o co mi chodzi. „I tak właśnie myślę czasem o sobie -jako o wielkim podróżniku, który odkrył niezwykły kraj, skąd nigdy nie wróci, żeby podzielić się ze światem swoją wiedzą; ale nazwa tego kraju brzmi: piekło”².

— Boże — powiedział Jesse, gwałtownie się opierając. — Sądziś, że rzeczywiście tak myślał, że widział siebie w ten sposób?

— Tak.

Po chwili namysłu powiedział:

— Wiem, że to nie o to chodzi, ale w dziwny sposób chce się wyjść z domu i schlać do nieprzytomności.

Poprosiłem go, żeby podczas oglądania dokumentu zwrócić szczególną uwagę na tekst, który często współgra ze stylem prozy Lowry'ego. Oto przykład, wypowiedź kanadyjskiego producenta filmowego, Donalda Brittaina, dotycząca zamknięcia Lowry'ego w nowojorskim szpitalu dla umysłowo chorych: „Nie był to już bogaty świat burżuazji, w którym padało się na miękką trawę. Tutaj istniały sprawy, które żyły pomimo tego, że nie dało się ich już naprawić”.

¹ Malcolm Lowry, Podwulkanem, przeł. K. Tarnowska, Państwowy Instytut Wydaw-

niczy, Warszawa 1963.

36

— Myślisz, że jestem zbyt młody, żeby czytać Lowry'ego? —
spytał.

Trudne pytanie. Wiem, że na tym etapie życia Jessego książka
pokona go po dwudziestu stronach.

— Zanim go przeczytasz, musisz poznać kilka innych książek —
powiedziałem.

— Jakich?

— Takich, które czyta się na studiach.

— Ale można też przeczytać je sobie tak po prostu?

— Tak. Ale ludzie tego nie robią. Niektóre książki czyta się tylko
dlatego, że się wywiera na nas presję. Taki jest urok bezdusznej
edukacji. Zmusza się ciebie do przeczytania wielu książek, po któ-
re normalnie byś nie sięgnął.

— To dobrze?

— Koniec końców, tak.

Czasami po powrocie z pracy Tina widziała, jak z croissantem
w ręku zwabiam Jessego na górę -jak gdybym trenował morświna
wdelfinarium.

— Ma bardzo wyrozumiałych rodziców — powiedziała. Aby
studiować, musiała pracować w wakacje, święta, nawet w week-
endy, dlatego ten wieczorny rytuał z pewnością w jakiś sposób ją
drażnił.

Kilka słów o Tinie. Gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, jak gnała

przez pokój, w którym mieściła się redakcja wiadomości - prawie piętnaście lat temu - pomyślałem sobie: „Za ładna. Zapomnij”.

Mimo to mieliśmy krótki flirt, zakończony przez nią po kilku tygodniach surowym spostrzeżeniem, że chociaż „fajnie się ze mną pije”, to „nie jestem dobrym materiałem na faceta”.

— W moim wieku — powiedziała — nie można sobie

37

pozwolić na to, żeby po dwóch latach uświadomić sobie, że się tkwi w związku bez przyszłości.

Minęło kilka lat. Pewnego dnia wychodziłem z banku, który znajdował się w podziemnym centrum handlowym, gdy spotkałem ją przy ruchomych schodach. Czas wydłużył jej twarz, wyglądała na bardzo chudą. Miałem nadzieję, że to z powodu nieszczęśliwej miłości. Spróbowałem jeszcze raz. Poszliśmy na kilka randek, a potem, pewnego wieczoru, gdy odprowadzałem ją skądś do domu, spojrzałem na jej sylwetkę i pomyślałem, że muszę poślubić tę kobietę. Jakby zadziałał mechanizm instynktu samozachowawczego, to było jak dotyk gorącego powietrza w zimną noc.

Poślub tę kobietę, zabrzmiało we mnie, a umrzesz szczęśliwy.

Usłyszawszy to, Maggie wzięła mnie na stronę i wyszeptwała:

— Tym razem nie wolno ci tego popsuć.

Potem pokazałem Jessemu Obywatela Kane'a {Citizen Kane, 1941}.

— Całkiem niezły, ale na pewno nie jest to najlepszy film na świecie.

Następna w kolejce była Noc iguany Johna Hustona (TheNight ofthe Iguana, 1964).

— Bzdura.

Wreszcie Na nabrzeżach (On the Waterfront, 1954).

Zacząłem od pytania retorycznego. Czy Marlon Brando to aktor wszech czasów?

Następnie zrobiłem wprowadzenie. Wyjaśniłem, że Na nabrzeżach miał być filmem o zwalczaniu korupcji w nowojorskim porcie, ale tak naprawdę opowiadał o powstawaniu nowej formy sztuki przedstawiania w filmie amerykańskim, która błyskawicznie zyskiwała popularność: o „metodzie”. Aktorzy wcielają się w postać,

38

uzupełniając ją o własne doświadczenia. Na skutek takiego łączenia roli z wydarzeniami z własnego życia obraz może być zbyt osobisty lub niedorzeczny, ale w tym przypadku wyszło po prostu bosko.

Wyjaśniłem, że jest kilka możliwości oglądania tego filmu.

(Zdobył osiem Oscarów). Na poziomie dosłownym jest to trzymająca w napięciu historia o młodym mężczyźnie (Brando), który przechodzi poważny kryzys wartości. Czy pozwoli, żeby zło pozostało bez konsekwencji, nawet jeśli przestępstwa dopuścili się jego przyjaciele? A może jednak się zbuntuje?

Można było interpretować film w inny sposób. Reżyser, Elia Kazan, popełnił jeden z tych strasznych błędów, których nic nie wymaże: w latach 50. dobrowolnie zeznawał jako świadek przed Komisją Izby Reprezentantów do spraw Działalności Antyamerykańskiej

senatora Josepha McCarthy'ego. Podczas dochodzenia prowadzonego przez komisję, wyjaśniłem, aktorów, scenarzystów i reżyserów wpisywano na „czarną listę”, ze względu na ich przynależność do partii komunistycznej; życie tych ludzi było zrujnowane.

Kazan dostał przezwisko „Kazan-Długi-Język”, ponieważ był bardzo uległy i gotowy do „podawania nazwisk”. Według krytyków Na nabrzeżach można interpretować jako zręczne usprawiedliwienie denuncjowania przyjaciół.

Widziałem, jak Jesse pochmurnieje, zakończyłem więc prośbą o zwrócenie uwagi na scenę z Marlonem Brando i Evą Marie Saint w parku; mężczyzna zabiera jej rękawiczkę, zakłada ją; kobieta chce odejść, ale nie może, bo on wciąż ma jej własność. Gdy Kazan opowiadał o Brando, zawsze wspominał ten właśnie moment.

„Widzieliście to?” - pytał dziennikarzy głosem kogoś, kto był naocznym świadkiem zdarzenia, które nie powinno się rozegrać w prawdziwym świecie - a jednak się rozegrało.

Następnie puściłem mu Kto się boi Virginii Woolf {Who's Afraid of Virginia Woolf, 1996) i Obfitość {Plenty, 1985) z Meryl Streep.

Potem przyszła pora na Trzeciego człowieka Grahama Greena {The Third Man, 1949).

Niektóre z tych filmów podobały się Jessemu, inne go nudziły. Było to jednak lepsze niż płacenie czynszu i pójście do pracy. Niespodzianka spotkała mnie, gdy pokazałem mu Noc po ciężkim dniu [A Hard Day's Night, 1964).

Komuś, kto nie dorastał we wczesnych latach 60., powiedzia-

łem, ciężko jest wyobrazić sobie, jak ważni byli Beatlesi. Ledwo przestali być nastolatkami, a gdziekolwiek się zjawili, byli traktowani niczym cesarze rzymscy. Mieli niespotykany talent i potrafili sprawić, że pomimo ich rozhisteryzowanej popularności miałeś wrażenie, że tylko ty jesteś w stanie zrozumieć, jacy są wielcy - byli jakby twoim prywatnym odkryciem.

Opowiedziałem Jessemu, jak widziałem ich w Mapie Leaf Gardens w Toronto w 1966 roku. Nigdy nie przeżyłem czegoś podobnego, krzyki, trzask lamp błyskowych, John Lennon z przesadną dbałością grający Long Tali Sally. Stojąca obok mnie nastolatka z taką siłą pociągnęła za moją lornetkę, że prawie urwała mi głowę.

Opowiedziałem mu też o wywiadzie przeprowadzonym z George'em Harrisonem w 1989 roku, gdy muzyk wydał swój najnowszy album; jak, czekając w jego biurze w Handmade Films, prawie padłem trupem, gdy się odwróciłem i zobaczyłem go - stał tam, szczupły mężczyzna w średnim wieku, z grubymi, czarnymi włosami. „Chwileczkę”, powiedział z akcentem, który słyszałem w The EdSullivan Show. „Muszę się jeszcze uczesać”.

Opowiedziałem Jessemu, jakim strzałem w dziesiątkę okazał się film A Hard Day's Night - od migoczącej czerni i bieli, poprzez wyznaczające trendy czarne garnitury i białe koszule chłopców, aż do zastosowania ręcznych kamer w celu nadania filmowi charakteru dokumentu i autentyzmu bliskiego sytuacjom z życia wziętym.

Ten rozkołysany styl wiadomości z godziny szóstej wywarł wpływ na całe pokolenie producentów filmowych.

Wymieniłem mu kilka „smaczków”: George Harrison (według reżysera Richarda Lestera najlepszy aktor z całej bandy) i scena 40

ze strasznymi koszulkami; John Lennon w pociągu, „wciągający” zawartość swojej butelki coca-coli. (Wtedy kilka osób zrozumiało ten dowcip). Jednak moim ulubionym fragmentem jest zdecydowanie ten, w którym Beatlesi zbiegają po schodach klaustrofobicznej klatki schodowej, otwierają drzwi i wybiegają na wolną przestrzeń. W tle słychać Can't Buy Me Love, chwila ta jest tak porywająca, tak wprawiająca w ekstazę, że po dziś dzień wypełnia mnie uczucie, iż znajduję się blisko czegoś bardzo ważnego, ale nie jestem w stanie tego osiągnąć. Po tych wszystkich latach wciąż nie wiem, czym jest to „coś”, ale oglądając film, czuję jego obecność.

Na chwilę przed seansem wspomniałem, że w 2001 roku trójka bitelsów wydała kolekcję największych hitów zespołu. Znalazła się ona na szczycie list przebojów w trzydziestu czterech różnych krajach. Kanada, Stany Zjednoczone, Islandia, cała Europa. I to osiągnęła grupa, która rozpadła się trzydzieści jeden lat wcześniej.

Potem powiedziałem to, co chciałem powiedzieć przez całe swoje życie: „Panie i panowie, The Beatles!”.

Jesse oglądał film z grzecznym milczeniem, na koniec powiedział po prostu:

— Koszmar.

Mówił dalej:

— A John Lennon był najgorszy z całej bandy — tu sparodiował Lennona z zadziwiającą trafnością. — Wyjątkowo żenujący facet.

Oniemiałem. Muzyka, film, jego wyraz, styl... Ale przede wszystkim to byli przecież cholerni Beatlesi!

— Wytrzymaj jeszcze trochę, okej? — powiedziałem. Zanurkowałem w moich płytach Beatlesów i znalazłem It's Only Love na CD Rubber Soul. Włączyłem piosenkę (uniostem palec, by zwrócić jego uwagę, żeby nie opuścił ani milisekundy).

41

— Poczekaj, poczekaj! — krzyknąłem w ekstazie. — Poczekaj na punkt kulminacyjny! Posłuchaj tego głosu, jest jak drut kolczasty!

Przekrzykiwałem muzykę:

— Czy nie jest to najlepszy głos wszech czasów, w całym rock and rollu?

Gdy piosenka się skończyła, opadłem na swoje miejsce. Po chwili nabożnego milczenia spytałem, próbując zapanować nad emocjami (ten fragment wciąż mnie wykańcza):

— I co o tym sądzisz?

— Mają dobre głosy.

Dobre głosy?

— Ale co czujesz, słuchając tego? — zawyłem.

Przyjrzał mi się oczami swojej matki i spytał:

— Szczerze?

— Szczerze.

— Nic — przerwa. — Zupełnie nic nie czuję — pojednawczo
położył mi rękę na ramieniu. — Przykro mi, tato.

Czyżbym na jego twarzy zobaczył utajone rozbawienie? Czyż-
bym zamieniał się już w starego głupka?

Rozdział 3

Pewnego późnego popołudnia - dochodziła szósta - Jessego
wciąż nie było. Zszedłem po schodach i zapukałem do jego drzwi.

— Jesse — powiedziałem. — Mogę wejść?

Leżał pod kocem, na boku, twarzą do ściany. Włączyłem nocną
lampkę i ostrożnie usiadłem na brzegu łóżka.

— Przyniosłem ci jedzenie — powiedziałem.

Odwrócił się.

— Nie mogę nic przełknąć, tato, naprawdę.

Wziąłem croissanta.

— W takim razie ja trochę zjem.

Patrzył łakomie na torbę z jedzeniem.

— A więc — powiedziałem (chrup, chrup) — co jest?

— Nic — odparł.

— Chodzi o Rebekeę? — spytałem.

Nagle się wyprostował, jego grube włosy sterczały na końcach,
jakby strzelił w nie piorun.

— Miała orgazm — wyszeptał.

Wzdrygnąłem się. Nie dałem rady tego ukryć. Nie był to ro-

dzaj konwersacji, którą chciałem prowadzić z moim szesnasto-
letnim synem, w każdym razie nie zamierzałem wchodzić aż
w takie szczegóły. (Od tego są kumple). Czułem jednak, że samo
wypowiedzenie tych słów, samo wydobywanie ich na powierzchnię

43

i na światło dzienne sprawiło, że pozbył się ze swojego ciała ja-
kiejś dawki trucizny.

Skryłem swój niepokój, ładując sobie do ust prawie całego
croissanta.

— I wiesz, co powiedziała potem? — spytał.

— Nie.

— Powiedziała: „Naprawdę cię lubię, Jesse, ale kiedy cię przy-
tulam, to jakbym przytulała przyjaciela”.

— Tak powiedziała?

— Przysięgam, właśnie tak. Jakbym był przyjaciółką albo ge-
jem, albo kimś takim.

Po chwili odezwałem się:

— Wiesz, co myślę?

— Co? — wyglądał jak więzień czekający na swój wyrok.

— Myślę, że jest wicherzycielką, małą zdzirą, która uwielbia cię
dręczyć.

— Serio?

— Serio.

Znowu się położył, jak gdyby groza sytuacji dopiero co do nie-
go dotarła.

— Posłuchaj — powiedziałem. — Niedługo muszę wyjść załatwić parę spraw. A wtedy od nowa zaczniesz o tym myśleć...

— Prawdopodobnie tak.

Ostrożnie dobieierałem słowa.

— Nie chcę prowadzić z tobą zbyt intymnej rozmowy - nie jesteśmy kumplami, tylko ojcem i synem - ale muszę ci to powiedzieć. Dziewczyny nie miewają orgazmów z facetami, którzy ich fizycznie nie pociągają.

— Na pewno?

— Tak — odpowiedziałem z naciskiem.

(Czy rzeczywiście? Zacząłem się zastanawiać. Nieważne. Po-tem zajmę się tym problemem).

44

Zabrałem Jessego do Cumberland Theatre na Sexy Beast (2000) z Benem Kingsleyem. Mogłem rzec, że mój syn nie patrzył na film, tylko siedział w ciemnościach i rozmyślał o Rebecce Ng i kwestii „przytulania jak przyjaciela”. W drodze do domu spytałem:

— Czy porozmawiałeś dzisiaj ze mną o wszystkim, o czym chciałeś rozmawiać?

Nawet na mnie nie spojrział.

— Tak— powiedział.

Czyli drzwi zamknięte, zajmij się swoimi sprawami. Resztę drogi do metra przebyliśmy w nieprzyjemnej ciszy. Nigdy wcześniej nie mieliśmy problemu z prowadzeniem rozmowy, teraz

jednak zdawało się, że zabrakło nam tematów. Być może pomimo swojego młodego wieku intuicyjnie pojął, że w tej kwestii nie mogłem mu już pomóc. Mogła to uczynić jedynie Rebecca. Zdawało się jednak, że zapomniał, w jaki sposób działał jego system nerwowy, że ubieranie spraw w słowa sprawiało mu częściową ulgę w zmartwieniu. Odizolował się ode mnie. A ja czułem dziwną niechęć do wpraszania się do pokoiów, do których mnie nie zapraszano. Dorastał.

Pogoda była okropna, jak to zwykle bywa, gdy komuś pęka serce. Deszczowe poranki, bezbarwne popołudniowe niebo. Przed drzwiami twojego domu ktoś rozjechał wiewiórkę i nie mogłeś wejść ani wyjść, nie patrząc mimowolnie na zakrwawione futro.

Podczas rodzinnej kolacji z matką Jessego i moją żoną, Tiną, nerwowo bawił się stekiem i grzebał w ziemniakach (jego ulubionych) z grzecznym i trochę mechanicznym entuzjazmem. Był blady, wyglądał na chorego i wypił zbyt dużo wina. Właściwie to nie chodziło o ilość, tylko o sposób, w jaki je pił -zbyt szybko, szukając wrażeń. Coś takiego można zaobserwować u starych pijaków. Pomyślałem, że będzie trzeba go obserwować.

45

Gdy patrzyłem na niego ponad stołem, w mojej wyobraźni niespokojnie zaczęły się pojawiać jeden za drugim straszliwe obrazy. Widziałem go jako starszego człowieka jeżdżącego na taksówce w deszczową noc, samochód śmierdzi marihuaną,

na siedzeniu pasażera leży jakiś tableid. Powiedziałem mu, żeby robił to, co mu się podoba; zapomnij o czynszu, możesz spać całymi dniami. Taki super-ojciec ze mnie?

A co będzie, jeśli nic się nie stanie? Co, jeśli wepchnąłem go do studzienki, z której nie było wyjścia, tylko jedna zasrana praca po drugiej, zasrani pracodawcy, brak pieniędzy i za dużo alkoholu? Co, jeśli to ja przygotowałem mu grunt do takiego życia?

Później tej samej nocy znalazłem go siedzącego samotnie na ganku.

— Wiesz — odezwałem się, zajmując miejsce w stojącym obok niego plecionym krześle — to, co robisz, niechodzenie do szkoły, to nie jest prosta droga - wiesz o tym.

— Wiem — odpowiedział.

Kontynuowałem.

— Chcę się tylko upewnić, że dobrze wiesz, co robisz, że istnieją realne konsekwencje posiadania jedynie świadectwa ukończenia dziesiątej klasy.

— Wiem — powiedział — ale myślę, że i tak czeka mnie dobre życie.

— Tak myślisz?

— Tak. A ty nie?

— Co: ja nie?

— Nie myślisz, że będę miał dobre życie?

Spojrzałem na niego, na jego szczupłą twarz tak otwartą, bezbronną, i pomyślałem, że prędzej się zabiję, niż przysporzę mu zmartwień.

46

— Myślę, że twoje życie będzie cudowne — odparłem. —

W zasadzie to jestem tego pewien.

Było wiosenne popołudnie. Około godziny piątej Jesse wszedł po schodach chwiejnym krokiem. Miałem już coś powiedzieć, ale zrezygnowałem. Tak ustaliliśmy. Byłem z kimś umówiony na drinka w sprawie pracy w magazynie (nasze wydatki wciąż były jak studnia bez dna), ale pomyślałem, że najpierw włączę mu film, a potem wyjdę. Wybrałem Olbrzyma (Giant, 1956) z Jamesem De-
anem w roli młodego kowboja. Gdy na tle wiejskiego krajobrazu wypełnionego przez wielkie stado bydła leciały napisy początkowe, Jesse chrupał croissanta i oddychał przez nos, co trochę mnie irytowało.

— Kto to? — spytał. Chrup, chrup.

— James Dean.

Przerwa.

— Super wygląda.

Doszliśmy do sceny, w której Rock Hudson próbuje namówić mającego lisie rysy twarzy Deana do sprzedaży odziedziczonego właśnie, niewielkiego kawałka ziemi. W pomieszczeniu znajduje się trzech lub czterech innych mężczyzn, biznesmenów w wyprasowanych białych koszulach i krawatach, wszyscy chcą tego samego, żeby ten śmieć sprzedał tę ziemię. (Podejrzewają,

że w pobliżu znajdują się złoża ropy). Hudson oferuje Deanowi plik banknotów. Nie, mówi kowboj, przykro mu, ale podoba mu się to, że ma swoją ziemię. Niewiele, ale jest jego własna.

A gdy zbiera się do wyjścia, staje przy drzwiach i bawi się długim kawałkiem liny, jakby ćwiczył jakiś trick rodeo.

— Teraz patrz — powiedziałem. — Patrz, w jaki sposób opuszcza pomieszczenie, co robi z ręką, jakby strzepywał śnieg z biurka. Jakby mówił biznesmenom: „Pieprzcie się”.

To jeden z tych momentów w filmach, tak dziwny, tak niespodziewany, że gdy widzisz go za pierwszym razem, nie wierzysz własnym oczom.

47

— Wow — powiedział Jesse, siadając wyżej. — Możemy to zobaczyć raz jeszcze? — (Być może dla Antoniego Czechowa odpowiednim odczuciem byłby strach, ale „wow” to zdecydowanie dobra reakcja na Jamesa Deana).

Kilka minut później musiałem już wyjść. W drodze do drzwi powiedziałem:

— Obejrzyj film do końca - spodoba ci się.

Gratulując samemu sobie, oczami wyobraźni widziałem już, jak to robi. Gdy jednak wróciłem późnym wieczorem (płacąc jedenaście dolarów za taksówkę i ciągle pozostając bez pracy), zastałem go siedzącego przy stole kuchennym i jedzącego spaghetti. Z otwartymi ustami. Setki razy mówiłem mu, żeby tak nie robił. Denerwował mnie fakt, że jego matka dawała na to przy-

zwolenie. Nie wyświadcza się młodemu człowiekowi przysługi,
nie ucząc go dobrych manier przy stole.

Powiedziałem:

— Jesse, zamykaj, proszę, usta, gdy jesz.

— Przepraszam.

— Już to przerabialiśmy.

— Robię to tylko w domu — powiedział. Chciałem to zignorować, ale nie potrafiłem.

— Jeśli robisz tak w domu, to zapomnisz o nierobieniu tego, jak będziesz poza nim.

— Okej — odpowiedział.

— I co o nim myślisz? — spytałem.

— O czym?

— O Olbrzymie.

— Ach, wyłączyłem to.

Po chwili powiedziałem:

— Jesse, wiesz, że niezbyt dużo ostatnio robisz. Naprawdę
powinieneś obejrzeć ten film do końca. To jedyne wykształcenie,
jakie otrzymujesz.

48

Żaden z nas nie powiedział nic, podczas gdy próbowałem
znaleźć wyjście z małego pudełeczka obłudy, do którego sam
się władowałem.

— Wiesz, kim jest Dennis Hopper? — spytałem.

— Facet z Czasu Apokalipsy.

— Pewnego razu przeprowadzałem z nim wywiad. Spytałem go o ulubionego aktora. Myślałem, że poda Marlona Brando. Ale nie zrobił tego. Powiedział, że James Dean. I wiesz, co jeszcze powiedział? Że najlepszą grą aktorską, jaką w życiu widział, była ta scena z Jamesem Deanem i liną.

— Żartujesz.

— Nie. — Odczekałem chwilę. — Znasz historię Jamesa Deana, prawda? Zagrał w trzech filmach i zginął w wypadku samochodowym.

— Ile miał lat?

— Niewiele ponad dwadzieścia.

— Był pijany?

— Nie, po prostu jechał zbyt szybko. Olbrzym to jego ostatni film. Nigdy go nie zobaczył.

Przez chwilę myślał.

— Tato, a kto według ciebie jest najlepszym aktorem?

— Brando — odpowiedziałem. — Ta scena z filmu Na nabrzeżach. Totalna improwizacja, gdy Brando bierze rękawiczkę dziewczyny i zakłada ją sobie na dłoń. Lepiej nie da się już tego zagrać.

Powinniśmy zobaczyć to jeszcze raz.

Powiedziałem również, a raczej powtórzyłem to, co mówili moi wykładowcy na uniwersytecie: że tak naprawdę gdy oglądasz jakiś film po raz drugi, to jest to pierwszy raz. Musisz wiedzieć, jak film się kończy, żeby być w stanie docenić to, jak wspólnie jest zbudowany od początku.

Nie wiedział, co powiedzieć - wciąż czuł, że z powodu Olbry-

ma znajdował się w niełasce - odparł więc:

— Jasne.

49

Dobierałem filmy losowo, nie było żadnego porządku; musiały być po prostu dobre, w miarę możliwości z kanonu klasyki, ale ciekawe, miały odciągać go od jego własnych myśli za pomocą interesującej fabuły. Na tym etapie nie było sensu puszczenia mu filmów takich jak *Osiem i pół* Felliniego (1963). Jeszcze przyjdzie na nie pora (albo i nie). Nie potrafiłem być nieczuły na jego potrzebę bycia zabawianym. W jakiś sposób trzeba zacząć; jeśli chcesz zarazić kogoś miłością do literatury, nie proponujesz mu na wstępie lektury *Ulissesa* - chociaż, żeby być szczerym, życie bez *Ulissesa* wydaje mi się w porządku.

Następnego dnia zdecydowałem się na *Oślawioną* Alfreda Hitchcocka (*Notorious*, 1946), według mnie jest to jego najlepszy film. Ingrid Bergman - nigdy nie była piękniejsza i bardziej bezbronna - gra tutaj córkę niemieckiego szpiega, która zostaje „wypożyczona” grupie nazistów mających bazę w południowej Ameryce. Cary Grant gra jej amerykańskiego opiekuna. Zakochuje się w niej, ale musi ją odesłać, by poślubiła przywódcę nazistów. Jego rozgoryczenie i jej nikłe nadzieje na to, że on odwoła plan i sam ją poślubi, sprawiają, że w filmie mamy do czynienia ze straszliwie romantyczną ekscytacją.

W dziele tym chodzi jednak głównie o utrzymanie napięcia.

Czy naziści się dowiedzą, jaka jest prawdziwa misja Bergman?

Czy Grant przybędzie na czas, aby ją ocalić? Ostatnie pięć minut podczas pierwszego oglądania sprawia, że człowiek z wrażenia cały czas wstrzymuje oddech.

Zacząłem od krótkiego wprowadzenia do tematyki związanej z Hitchcockiem, Jesse jak zwykle siedział po lewej stronie kanapy z kawą w ręce. Powiedziałem, że Hitchcock był angielskim reżyserem, trochę dupkiem, z odrobiną niezdrowymi skłonnościami do niektórych blond aktorek grających w jego filmach.

(Chciałem przykuć uwagę Jessego). Sprecyzowałem, że nakręcił pół tuzina arcydzieł, i dodałem - niepotrzebnie - że każdy,

50

kto nie zgadzał się z tym, że są to arcydzieła, prawdopodobnie nie kochał filmów. Poprosiłem go, żeby zwrócił uwagę na kilka spraw. Klatka schodowa w domu czarnego charakteru w Rio de Janeiro. Jaka była jej długość? Ile czasu zajęłoby zejście nią? Nie powiedziałem mu, w jakim celu ma to określić.

Poprosiłem go również, żeby słuchał pełnych wdzięku, czasami sugestywnych dialogów, by pamiętać, że film został nakręcony w 1946 roku. Miał również zwrócić uwagę na bardzo znane ujęcie, które rozpoczyna się na górze sali balowej, kamera powoli zjeżdża na grupę imprezowiczów, aż następuje bardzo duże zbliżenie na zaciśniętą dłoń Ingrid Bergman. Co ona trzyma? (Klucz do piwnicy z winem, w której w butelkach schowane są dowody na przestępstwa dokonane przez nazistów).

Dodałem jeszcze, że dla wielu znakomitych krytyków Cary

Grant jest najlepszym aktorem wszech czasów, ponieważ w swojej grze potrafi „symultanicznie zjednoczyć dobro ze złem”.

— Wiesz, co oznacza słowo „symultanicznie”? — spytałem.

— Tak, tak.

Pokazałem mu artykuł o Grancie autorstwa Pauline Kael, który ukazał się w „The New Yorker”.

„Być może nie jest w stanie zagrać wiele”, napisała Kael, „ale tego, co on robi, nikt inny nie jest w stanie uczynić tak dobrze, a dzięki jego cywilizowanej nienapastliwości i dowcipnej akceptacji własnej głupoty widzimy w nim wyidealizowanych siebie”.

Potem uczyniłem to, co moi nauczyciele ze szkoły średniej powinni robić częściej: zamknąłem się i włączyłem film.

Podczas gdy po drugiej stronie ulicy robotnicy budowlani pracowali na rusztowaniach oplatających kościół (przerabiali go na luksusowe mieszkania), słyszymy:

Ingrid Bergman (całując Granta): To bardzo dziwny romans.

Grant: Dlaczego?

51

Bergman: Może dlatego, że mnie nie kochasz.

Grant: Kiedy nie będę cię kochał, dam ci znać.

Jesse kilka razy na mnie zerknął, uśmiechając się i kiwając głową, że rozumie. Po filmie poszliśmy na werandę; chciał zapalić. Przez chwilę przyglądaliśmy się robotnikom budowlanym.

— No i? Co myślisz? — spytałem go od niechcienia.

— Dobry — odgłos wypuszczanego dymu. Po drugiej stronie ulicy walenie młotkami.

— Zauważyłeś schody w domu?

— Tak.

— A zwróciłeś uwagę na koniec filmu? Gdy Cary Grant i Bergman próbują opuścić dom i nie wiemy, czy uda im się wydostać z niego, czy nie?

Złapałem go na gorącym uczynku.

— Nie.

— Schody są dłuższe. Na potrzeby sceny finałowej Hitchcock kazał zbudować dodatkowe schody. Wiesz, po co?

— Po co?

— Ponieważ wtedy dłużej się nimi schodzi. Domyślasz się, dlaczego chciał, żeby tak było?

— Żeby film bardziej trzymał w napięciu?

— Potrafisz odgadnąć, z czego Hitchcock zaślinął?

— Z budowania napięcia?

Wiedziałem, że w tym miejscu należy przestać. Pomyślałem:

„Dzisiaj go czegoś nauczyłeś. Nie zmarnuj tego”.

— Na dzisiaj to wszystko; koniec szkoły — powiedziałem.

Czy na jego młodej twarzy ujrzałem wdzięczność? Wstałem z krzesła i chciałem wejść do środka.

— Jeszcze jedno, tato — usłyszałem. — To takie słynne ujęcie na imprezie, gdy Ingrid Bergman trzyma w dłoni klucz?

— Poznaje je każdy, kto chodzi do szkoły filmowej — powiedziałem.

— Jest w porządku — odparł. — Ale, szczerze mówiąc, jakoś specjalnie mnie nie powaliło.

— Naprawdę? — spytałem.

— A ciebie?

Pomyślałem przez chwilę.

— Mnie też nie — przyznałem i wszedłem do środka.

Rozdział 4

Jesse miał dziewczynę, Claire Brinkman; piegowatą, wesołą i czarującą nastolatkę, która ubóstwiała swoich rodziców, lubiła chodzić do szkoły, była przewodniczącą klubu muzyki klasycznej, występowała w teatrze amatorskim, grała w hokeja na trawie, szalała po mieście na rolkach i być może, obawiałem się, nie spełniała oczekiwań Jessego, ponieważ niewystarczająco często traktowała go z buta. Poza tym nie da się konkurować z duchem, a duch Rebeki Ng poniewierał się nocą po naszym domu niczym poltergeist.

Owego czerwca udaliśmy się na Kubę we trójkę: Maggie, Jesse ja. Rozwiedzione małżeństwo jadące na wakacje z ukochanym synem. Moja żona, jako jedyna pracująca na etat, została u Maggie.

Dla osób z zewnątrz lub dla pamiętliwych czasami przyjaciółek Tyny taka rodzinna wycieczka musiała wyglądać trochę dziwnie, ale Tina to rozumiała, wiedziała, że czasy, w których ja i Maggie wślizgiwaliśmy się sobie do łóżek, były już dawno za nami.

Chociaż fakt, że została sama w domu mojej byłej żony, podczas gdy pozostali szaleli na Karaibach... - tak, życie bywa bardzo dziwne.

Była to decyzja last minute. Akurat kiedy się poddałem, gdy tego poranka spędziłem kilka minut na nieudolnym kopaniu w meble i wyplakiwaniu się przed Tiną z powodu mojego

55

nieszczęsnego bezrobocia (praca w kanale dokumentalnym wypłynęła na powierzchnię do góry brzuchem), na mojej automatycznej sekretarce zostawiono wiadomość. Nagrał ją gruby, pasywno-agresywny mieszkaniec południowej Afryki o nalanej, czerwonej twarzy. Nazywał się Derek H. Kręcił godzinny film dokumentalny o, uwaga, viagrze, i chciał wiedzieć, czy jestem zainteresowany poprowadzeniem go. Piętnaście tysięcy dolarów, podróż do Filadelfii i Nowego Jorku oraz kilka tygodni w Bangkoku, w którym, według Dereka, starsi faceci dosłownie „pieprzyli się na śmierć”.

Zorganizowaliśmy „spotkanie produkcyjne”, poznałem ekipę filmową, wybraliśmy hotel nad rzeką w Bangkoku i omówiliśmy harmonogram. Początek lipca. Wszyscy uścisnęli sobie dłonie.

Tamtego wieczoru z zachwytu urznąłem się do nieprzytomności i wymyśliłem, że Jesse, jego matka i ja pojedziemy na Kubę.

W dzień wyjazdu, na krótko przed przybyciem taksówki przyjechała do nas na rolkach Claire Brinkman, żeby się pożegnać.

Zmartwiły mnie jej otoczone czerwonymi obwódkami oczy.

W hotelu Parque Central w Old Havana wynajęliśmy dwa fantastyczne pokoje. Basen na dachu, mięsiste szlafroki w szafach, każdego ranka wystawne śniadanie w stylu cesarstwa rzymskiego. Koszty sprawiły, że Maggie była nerwowa -jak to dziewczyna z farmy, której serce waliło, gdy rozmowa zamiejscowa trwała ponad minutę - aleja nalegałem.

Poza tym - ile jeszcze razy wyjedziemy z naszym synem? Jak długo będzie chciał podróżować ze swoimi rodzicami?

Wydarzyło się to trzeciej nocy. Tego wieczoru zabrałem Jessego do Muzeum Rewolucji. Obejrzeliśmy łódź, którą Castro i jego osiemdziesięciu dwóch rewolucjonistów wrócili na Kubę, zobaczyliśmy zdjęcie martwego Che Guevary. Na balkonie prywatnego apartamentu z widokiem na Prado zjedliśmy zakrapianą kolację. Potykając się, poszliśmy na Calle Obispo na kieliszek

56

mojito przed snem, nasza trójka i jakiś zawodzący i walący w bębny zespół w ciasnym, kwadratowym, upstrzonym przez muchy pomieszczeniu; a potem wróciliśmy do hotelu, od gorąca i alkoholu zamykały mi się oczy. Była prawie trzecia nad ranem. Maggie poszła do swojego pokoju. Jesse i ja przez chwilę oglądaliśmy telewizję. Potem zacząłem drzemać.

— Czy mogę zostawić włączony telewizor i wyłączyć dźwięk? — spytał.

— A może zamiast tego sobie poczytaj? — zaproponowałem.

Zgasiliśmy światło; czułem, że Jesse leży, rozbudzony i niespo-

kojny. Wreszcie zapaliłem światło.

—Jesse!

Nie mógł spać. Był zbyt podekscytowany. Czy może wyjść na papierosa? Tylko tam, na drugą stronę ulicy, na tę ławkę na skraju parku? Widać ją stąd, tato. W końcu się zgodziłem.

Ubrał się szybko i wyszedł. Przez kilka chwil leżałem, zgasilem światło, potem ponownie je zapaliłem. Wstałem, podszedłem do okna i otworzyłem je. Klimatyzacja się wyłączyła. W pokoju zapanaowała cisza. Nagle wszystko było słychać bardzo wyraźnie, cykady, głosy po hiszpańsku, jadący wolno samochód. Korytarzem przejechał wózek obsługi hotelowej, zabrzęczały filiżanki.

Stałem przy oknie i patrzyłem na pogrążony w ciemnościach park.

Pomiędzy cieniami poruszały się postacie. Obok drzew powoli przechadzały się prostytutki, paliły papierosy przy posągu. Tuż obok znajdowała się kopia Muzeum Rewolucji.

Jesse wszedł na chodnik i znalazł się w moim polu widzenia, miał na sobie bojówki i czapkę bejsbolową założoną daszkiem do tyłu. Zapalił sobie papierosa, jakby grał w filmie, spojrzał w moją stronę (przez chwilę widziałem błysk jego twarzy) i zaczął przechodzić przez ulicę w kierunku ławki w parku. Miałem właśnie krzyknąć, żeby uważał, gdy z ciemności wyłonił się ciemnoskóry

57

mężczyzna w żółtej koszuli. Szedł prosto w stronę Jessego, wyciągnął rękę. Czekałem, czy Jesse ją uściśnie. Uściśnął. Błąd. Zma-

terializowało się dwóch kolejnych Kubańczyków, uśmiechali się, kiwali głowami, stawali zbyt blisko. Wskazywali na ulicę. A potem (nie wierzyłem własnym oczom) zaczęli iść przez park. Jesse razem z nimi.

Ubrałem się i zjechałem windą do foyer. Było to wielkie, wysokie pomieszczenie z marmurowymi posadzkami, chłodne niczym lodowisko, z muzyką puszczaną z płyt, przy drzwiach wejściowych stało dwóch ochroniarzy w szarych garniturach z ręcznymi odbiornikami radiowymi w dłoniach. Na zewnątrz uderzyło mnie gorące powietrze.

Przeszedłem przez ulicę i wkroczyłem do parku. Zaczepiła mnie dziwka. Niczym obłok uniosła się z ławki i podpłynęła prosto do mnie. Powiedziałem, że nie, dziękuję, i poszedłem przez park, rozglądając się za Jessem. Razem ze swoimi nowymi kumplami musiał skręcić w którąś z bocznych uliczek. Ale którą?

Gdy szedłem przez wschodnią część parku, w pobliżu taksówek i trójkołowych cocos, zobaczyłem pomiędzy drzewami ulicę przebiegającą tuż przed głównym teatrem miasta.

Na jej końcu widniało jasne światło. Szedłem za nim, aż trafiłem do baru na otwartym powietrzu. Nie było w nim nikogo oprócz pijącego piwo Jessego i siedzących tuż obok niego przy tym samym stoliku trzech typów. Mój syn miał jakąś zatroskaną twarz, jak gdyby zaczęło do niego docierać, że coś może nie być w porządku. Podeszedłem do niego.

— Czy możemy przez chwilę porozmawiać?

Typ w żółtej koszuli spytał:

— Ty jego ojciec?

— Tak.

Powiedziałem do Jessego:

— Muszę z tobą porozmawiać.

58

— Jasne — podniósł się. Żółta Koszula podążył za nim na ulicę, krążąc w pobliżu, starając się nas podsłuchać.

— Ci ludzie nie są twoimi przyjaciółmi.

— Tylko piję piwo.

— Skończysz, płacąc o wiele więcej niż tylko za piwo. Kupiłeś im coś? — spytałem.

— Jeszcze nie.

Z baru wyszedł właściciel, był krępy i bardzo spokojnym mężczyzną. Nie zdziwiła go ta sytuacja. Podszedł do Jessego i złapał go za rękaw koszuli.

— Co pan robi? — zareagowałem.

Nie odpowiedział. Po prostu zaczął iść z powrotem w stronę baru, trzymając Jessego za koszulę. Poczułem, jak moje serce zaczyna walić. Zaczyna się, kurwa, zaczyna się.

— Ile jest panu winien? — spytałem po hiszpański.

Już zaprowadził Jessego z powrotem do baru.

— Dziesięć dolarów — powiedział.

— To sporo jak za jedno piwo — odpowiedziałem.

— Taka jest cena.

— Proszę — położyłem na stole pięć amerykańskich dolarów. — Chodźmy.

Właściciel powiedział jednak:

— Zamówił rum. Już go zrobiłem.

— Ma pan na myśli, że już pan go nalał? — spytałem.

— Na jedno wychodzi.

— Tknąłeś tego drinka? — zwróciłem się do Jessego.

Potrząsnął głową, już teraz wystraszony.

— Idź za mną — powiedziałem i zaczęliśmy iść ulicą. Typki poszły za nami. Jeden z nich obszedł nas i stanął przede mną.

— Zamówił drinka. Teraz musi za niego zapłacić.

Próbowałem go ominąć, ale szedł przede mną.

— Dobra, dzwonię po policję — oświadczyłem.

59

Typ odparł:

— Okej, dobrze — ale się cofnął.

Szliśmy dalej, typek cały czas szedł w pobliżu, ciągnął mnie za rękaw, jego kumple za nami. Powiedziałem do Jessego:

— Nieważne, co się stanie, idź dalej. — Przeszliśmy przez park, już prawie w biegu, Jesse trzymał się bardzo blisko mnie, a potem, gdy widzieliśmy już drzwi hotelu, rzuciłem za siebie:

— Biegiem.

Przebiegliśmy przez ulicę, pod fasadą i przez główne drzwi do hotelu. Oni jednak pobiegli za nami aż do foyer. Wciąż w pośpiechu powiedziałem do faceta w żółtej koszuli:

— Lepiej stąd spieprzajcie.

On jednak nie bał się niczego. Otworzyły się drzwi do windy; próbował wepchnąć się do niej razem ze mną i z Jessem, jego kumple zostali w korytarzu.

Nagle spod ziemi wyrosli ochroniarze. Nastąpiła wzburzona wymiana zdań w języku hiszpańskim, drzwi się zamknęły. Pojechaliśmy na górę trzy piętra, Jesse nic nie mówił. Tylko rzucał mi ukradkowe, zatroskane spojrzenia. Patrzył na siebie w lustrze i znowu robił tę minę. Myślał, że jestem na niego wkurzony - owszem, byłem - ale nie wiedział, że odczuwałem pewien rodzaj abstrakcyjnej dumy.

Jakkolwiek banalnie to zabrzmiało, wsiadłem na mojego rumaka i wyruszyłem, by ocalić swego syna. Dobrze mu służyłem, ochroniełem go, wykonałem swoje zadanie. W rzeczywistości po cichu byłem zadowolony z takiego obrotu spraw. W pewnym wieku nieczęsto robi się coś takiego dla swoich dzieci; czujesz w sobie tę energię i nie masz co z nią zrobić.

Byliśmy zbyt podekscytowani, by iść spać czy oglądać telewizję. Szczerze mówiąc, miałem ochotę na drinka.

— Może powinniśmy spróbować napić się piwa — zaproponowałem.

60

Odczekaliśmy dziesięć czy piętnaście minut i wyjrzelśmy za drzwi hotelu; żadnego śladu po Żółtej Koszuli. Pospieszaliśmy wzdłuż granicy parku, obok centrum handlowego do Calle Obi-

spo i skierowaliśmy się ku wąskiej uliczce prowadzącej w stronę oceanu. Stare miasto było zawieszane w bezgłośniej kuli gorąca.

— Tutaj pił Ernest Hemingway — powiedziałem, gdy mijaliśmy pogrążoną w ciemności restaurację El Floridita. — Teraz jest to pułapka na turystów, dziesięć dolarów za piwo, ale w latach 50. był to ponoć najlepszy bar w mieście.

Minęliśmy kilka zamkniętych kawiarni, miejsc, które jeszcze kilka godzin temu tryskały życiem, rozbrzmiewały brzdąkami gitar i tonęły w kłębach dymu papierosowego. Potem staromodny sklep z ciemnego drewna, na tylnej ścianie rząd za rzędem glinianych dzbanów.

Wkrótce znaleźliśmy się na zewnątrz starego hotelu Hemingwaya, Ambos Mundos, na początku ulicy.

— Tutaj, na piątym piętrze, napisał kilka swoich najgorszych dzieł — zwróciłem się do Jessego.

— Warto je przeczytać? — spytał.

— Co, do cholery, sobie tam myślałeś, Jesse? — odpowiedziałem. — Wychodząc z takimi typami?

Nie odpowiedział. Widać było, że przepełnia go burza myśli, w poszukiwaniu właściwej odpowiedzi z impetem otwierał w głowie kolejne drzwi i szafy.

— No powiedz mi — poprosiłem łagodnie.

— Myślałem, że przeżyję przygodę. Palenie papierosa i picie rumu w obcym mieście. Wiesz, o czym mówię?

— Nie wydawało ci się, że ci faceci byli zbyt mili jak na obcych

o trzeciej nad ranem?

— Nie chciałem zranić ich uczuć — odpowiedział. (Jaki on jeszcze młody, pomyślałem. Ta wysoka postura, to dobrze dobrane słownictwo. Łatwo można dać się oszukać).

61

— Ci ludzie są przyzwyczajeni do wywoływania u innych poczucia winy. Robią to przez cały dzień. To ich praca.

Przez dłuższą chwilę szliśmy ulicą. Nad naszymi głowami znajdowały się żółte latarnie, balkony patrzyły na nas z góry, pranie wisiało w bezruchu niczym czekający na coś ludzie.

— Jeśli masz zamiar czytać Hemingwaya — zaproponowałem — przeczytaj Słońce też wschodzi (The Sun Also Rises). I kilka jego nowel. Reszta jest trochę pomyłona.

Rozejrzałem się dookoła. Czuć było stęchliznę zbutwiałej murarki, słyszeliśmy ocean rozbijający się o drugą stronę Avenida del Puerto. Nie było jednak żadnego baru.

— Ponoć w Hawanie można dostać wszystko i o każdej porze — przypomniałem sobie. — Ale najwyraźniej nie jest to prawda.

W hotelu Ambos Mondos zobaczyliśmy portiera rozmawiającego z ładną dziewczyną.

Poszliśmy na wschód wąską uliczką wyłożoną kocimi łbami; po obu jej stronach stały rozsypujące się, pastelowe budynki mieszkalne; cienkie winorośle spływały po nich w dół, nad głowami świecił jasny księżyc; żadnych gwiazd, tylko jedna, jasna moneta na tle czarnego nieba. Był sam środek nocy. Doszliśmy

do placu, na którego jednym brzegu stała brudnobrązowa katedra, na drugim - oświetlona kawiarnia z trzema czy czterema stolikami ustawionymi w pobliżu środka placu. Usiedliśmy. Z jasno oświetlonego wnętrza wyswobodził się kelner w białej marynarce i podszedł do nas.

— ¡Señores!

— Dos cervezas, por favor.

I o czwartej nad ranem wyszły do nas z baru dwa zimne piwa.

— Przepraszam za tę akcję w hotelu — powiedział Jesse.

— We wszechświecie istnieją dwie święte zasady — odparłem, nabrawszy nagle ochoty na pogawędkę (byłem zachwycony miejscem, w którym się znajdowaliśmy). — Po pierwsze, ze

62

strony dupka nigdy nie spotka cię nic dobrego. Podrugi, gdy podchodzi do ciebie obcy i wyciąga rękę, nie chce być twoim przyjacielem. Słuchasz mnie w ogóle?

Piwo znikало w takim tempie, jakby dosiadł się do nas spragniony dzinn.

— Może jeszcze po jednym? — zaproponowałem. Podniosłem dwa palce na kelnera i zakręciłem nimi w gęstym powietrzu. Podszedł.

— Co robicie, że są takie zimne? — spytałem. Świetnie się bawiłem.

— ¡Que~>.

— Okej, no importa.

Na pobliskim drzewie zaćwierkał ptak.

— Pierwszy tego ranka — zauważyłem. Spojrzałem na Jessego. — Wszystko w porządku z Claire Brinkman?

Pochylił się do przodu, jego twarz pociemniała.

— To nie moja sprawa — powiedziałem łagodnie — chciałem tylko pogadać.

— Dlaczego pytasz?

— Po prostu wyglądała na trochę zmartwioną, gdy wyjeżdżaliśmy.

Ze złością napił się piwa. Przez chwilę widziałem, w jaki sposób pije ze swoimi kolegami.

— Tato, mogę z tobą szczerze pogadać?

— Z umiarem, bez zbyt osobistych spraw.

— Claire jest trochę dziwaczna. — Na jego twarz niczym szczur w nowym domu wpełzło coś zimnego i nieprzyjemnego.

— Powinieneś być dla niej delikatny. Ma za sobą bardzo trudny okres. — Jej ojciec, rzeźbiarz, którego znałem z ogólniaka, powiesił się kilka lat temu na sznurze na bieliznę. Był alkoholikiem, bajerantem i strasznym dupkiem. To był typ faceta, który się powiesił, ani przez chwilę nie myśląc o tym, jak przeżyją to jego dzieci.

— Znam tę historię — powiedział Jesse.

— Więc stąpaj ostrożnie.

63

Z tyłu katedry zaczął śpiewać kolejny ptak.

— Po prostu nie lubię jej aż tak bardzo. Powinienem, ale nie lubię.

— Masz poczucie winy z jakiegoś powodu? Wyglądasz, jakbyś właśnie ukradł swojej babce naszyjnik.

— Nie.

— Bycie złym na Claire z powodu tego, że nie lubi się jej w wystarczającym stopniu, jest nie fair. Chociaż rozumiem pokusę.

— Czułeś kiedyś coś takiego?

— To rozczarowanie.

Myślałem, że na tym zakończymy, ale zorientowałem się, że było tak, jakby wystawał z niego cienki drucik, za który wystarczyło pociągnąć, by uwolnić całą resztę -jakakolwiek by ona była.

Zdawało mi się, że najlepszym sposobem na to jest cisza.

Niebo zmieniło kolor na ciemny, głęboki granat, nad horyzontem pojawił się czerwony pas. Tyle piękna na całym świecie, pomyślałem. Czy to dlatego, zastanowiłem się, że Bóg istnieje, czy po prostu jest to wynik milionów i milionów, i milionów lat czystych przypadków?

A może po prostu myśli się o takich rzeczach, gdy jest się szczęśliwym o czwartej nad ranem?

Zawołałem kelnera.

— Macie cygara?

— Si, señor. — Jego głos odbił się echem na pustym placu. Ze stojącego na ladzie słoika wyjął dwa cygara i przyniósł je nam. Każde za dziesięć dolarów. Ale gdzie indziej dostaniemy cygara o tej porze?

— Zadzwoń do innej dziewczyny — powiedział Jesse.

— Aha. — Odgryzłem koniec cygara i podałem je Jessemu. —

Do kogo?

Wymienił nazwisko, którego nie znałem. Pomyślałem, że wygląda tajemniczo i nieszczerze.

— Tylko kilka razy — powiedział.

64

— Aha.

Pfff, pfff. Oddalona twarz.

— Jestem zbyt młody, by spotykać się tylko z jedną osobą, nie sądzisz?

— Wcale nie o to chodzi, prawda?

Wtej chwili usłyszeliśmy coś jakby pobrzękiwanie. Na schodach katedry usiadł młody człowiek z gitarą, wolno przesuwał palce po strunach. W niebieskim świetle poranka przypominał mi malującego Picassa.

— Nie do wiary — zdziwił się Jesse. — Widziałeś kiedyś coś tak... — szukał słowa —... tak perfekcyjnego?

Przez chwilę paliliśmy nasze cygara w ciszy, w miękkim, letnim powietrzu rozbrzmiewały akordy.

— Tato? — spytał nagle.

— Tak?

— Dziewczyna, do której dzwoniłem, to Rebecca.

— Rozumiem. — Przerwa. Dmuchięcie. Świergot. — Czyli nie do tej, o której wspominałeś.

— Nie chciałem, żebyś pomyślał, że jestem nieudacznikiem.

Że mam obsesję na punkcie Rebeki Ng.

Niebo przybrało odcień jaśniejszego błękitu; księżyc blaknął;

brzdęk, brzdęk.

— Czy mam obsesję na punkcie Rebeki? — spytał.

— Nie ma nic złego w obsesji na punkcie kobiety, Jesse.

— A ty miałeś kiedyś coś takiego?

— Proszę — odparłem — nie każ mi zaczynać.

— Nie powiedziałem mamie. Zaczęłaby płakać i mówić o uczuciach Claire. Jesteś zdziwiony?

— Rebeką? Nie. Zawsze uważałem, że będzie jakiś ciąg dalszy tego wszystkiego.

— Tak myślisz? Czy to jest w porządku? — Myśl ta wprawiała go w ekscytację, a mnie ogarnął nagły strach, jakbym patrzył, jak

65

prowadzi samochód prosto na betonową ścianę, przyspieszając coraz bardziej.

— Mogę ci coś powiedzieć?

— Jasne.

— Romanse, które zaczynają się krwią, z reguły kończą się również krwią.

Kelner wyszedł, ze stolika obok zdjął kilka krzesel i zaniósł je do kawiarni.

— O Jezu, tato.

Rozdział 5

Gdy wróciłem z Kuby, byłem trochę zaskoczony faktem, że nie otrzymałem żadnej wiadomości od Dereka H. Pierwsze zdjęcia do dokumentu o viagrze miały być kręcone za miesiąc, a my wciąż

nie mieliśmy ostatecznej wersji scenariusza. Oczekałem dzień, potem drugi i wysłałem mu wesołego maila. (Czułem niechęć do języka fałszywego koleżeństwa, w którym go napisałem). Odpowiedź nadeszła prawie natychmiast. Zaproponowano mi dwugodziny dokument o Nelsonie Mandeli: pełny wywiad z nim, jego była żoną, nawet z jakimiś przyjaciółmi z więzienia. Ogromną rolę odgrywał oczywiście czynnik czasowy - Mandela miał osiemdziesiąt sześć lat; jasne, byłem w stanie to zrozumieć. Derek zakończył, że bardzo mu przykro, ale po prostu „brakuje mu czasu”.

Zostałem powalony. Nie wspominając już o tym, że byłem spłukany po naszej wycieczce na Kubę, na której „świętowaliśmy” moje zlecenie. Miałem również poczucie, że zostałem oszukany. Ozmieniony perspektywą frywolnej, niegodnej pracy, która zrobiła ze mnie głupka. Pamiętam, co powiedziałem Jessemu na placu katedralnym, wierzyłem w te słowa z misjonarską wręcz żarliwością: ze strony dupka nigdy nie spotka cię nic dobrego.

Waliłem zaciśniętymi pięściami w meble w salonie i przysięgałem zemstę; Jesse słuchał mnie ze spokojem, myślę, że był

67

sparaliżowany poczuciem winy. Poszedłem spać pijany; obudziłem się o czwartej nad ranem i musiałem pójść do toalety; gdy spuszczałem wodę, z nadgarstka odpiął mi się zegarek i wpadł do odpływu ubikacji. Usiadłem na zamkniętej desce muszli klozetowej i zapłakałem. Pozwoliłem Jessemu rzucić szkołę, obiecałem, że się nim zajmę, a teraz się okazało, że nawet nie potrafię zająć się sobą.

Jestem nieudacznikiem, tak samo jak ojciec Claire Brinkman.

Rano w mojej piersi niczym trucizna rozlała się groza. Serce szalało; czułem, że powoli na mojej szyi zaciska się pętla. W końcu nie mogłem już tego znieść. Musiałem coś zrobić, ruszyć się, więc wsiadłem na rower i pojechałem do centrum miasta. Był posepny, letni dzień, duszny i przepełniony samymi brzydkimi ludźmi. Przewadziłem rower wąską alejką, gdy zobaczyłem kuriera ostrożnie jadącego w moim kierunku. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne, na ramię zarzuconą dużą torbę i rękawiczki bez palców. Zwróciłem uwagę na to, że był mniej więcej w moim wieku.

— Przepraszam — powiedziałem — pan jest kurierem, prawda?

— Tak.

Spytałem, czy znajdzie czas, by udzielić odpowiedzi na kilka pytań. Ile zarabiał? Około 120 dolarów na dzień. Na dzień? Tak, jeśli się spręży. Spytałem, dla kogo pracuje, wymienił nazwę firmy. Był wyluzowanym facetem z idealnie białymi zębami.

— Myśli pan, że mógłbym otrzymać pracę w pańskiej firmie? — spytałem.

Podniósł okulary i spojrzał na mnie swoimi bystrymi, niebieskimi oczami.

— Czy pan nie jest tym facetem z telewizji?

— Nie w tej chwili.

— Cały czas pana oglądałem. Widziałem pański wywiad z Michałem Moore'em. Co za kutas — skwitował.

— I co pan myśli o tej pracy dla mnie?

Spojrzał w alejkę i zmarszczył brwi.

68

— Mamy limit wieku. Musi pan mieć mniej niż pięćdziesiąt lat.

— A pan ma mniej?

— Nie, ale pracuję tu przez długi czas.

— Mógłbym prosić pana o przysługę? Czy mógłby pan porozmawiać w moim imieniu ze swoim szefem? Że biorę to na poważnie - zostanę w pracy co najmniej przez pół roku, jestem w dobrej kondycji — powiedziałem.

Zawahał się.

— To będzie bardzo dziwna rozmowa.

Zapisałem na kartce moje nazwisko oraz numer telefonu i podałem ją kurierowi.

— Będę bardzo wdzięczny — zakończyłem.

Minął dzień, potem kilka dni i nadal cisza; nigdy do mnie nie zadzwonił.

— Możesz w to uwierzyć? — powiedziałem do Tiny. — Nie mogę dostać pracy nawet jako pieprzony kurier rowerowy.

Następnego ranka w trakcie cichego śniadania wstałem z krzesła i w ubraniu wróciłem do łóżka. Nakryłem głowę kołdrą i próbowałem zasnąć. Kilka chwil później poczułem czyjąś obecność, jakby na brzegu łóżka usiadł mały ptak.

— Mogę ci pomóc — powiedziała Tina — ale musisz mi na to pozwolić. Nie możesz ze mną walczyć.

Godzinę później wręczyła mi listę dwudziestu nazwisk.

Redaktorzy czasopism, producenci w telewizjach kablowych, ludzie z public relations, speechwriterzy, a nawet lokalni politycy, których trochę znaliśmy. Kontynuowała:

— Musisz zadzwonić do tych ludzi i powiedzieć, że jesteś chętny do pracy.

— Już to zrobiłem.

— Nieprawda. Sprawdźcieś tylko u swoich starych kumpli.

Spojrzałem na pierwsze nazwisko na liście.

— Tylko nie ten debil. Nie mogę do niego zadzwonić!

69

Uciszyła mnie.

— Powiedziałeś, że nie będziesz walczyć.

Nie walczyłem więc. Dałem sobie jeden dzień na wytchnienie, a potem usiadłem przy stole w kuchni i zacząłem dzwonić. I, ku mojemu zdziwieniu, Tina miała rację. Wszyscy ci ludzie byli całkiem przyzwoici. W tej chwili nic dla mnie nie mieli, ale byli życzliwi i udzielali mi poparcia.

W chwili energizującego optymizmu (dzwonienie jest lepsze niż czekanie) powiedziałem do Jessego:

— To jest mój problem, nie twój. — Ale on nie był ciamajdą ani pasożytem, i czułem, że krążył wokół tej „sytuacji”, czułem, jak się krzywi, gdy musi poprosić o dziesięć dolarów na to, dziesięć dolarów na tamto. Cóż jednak mógł zrobić? Nie miał żadnych swoich pieniędzy. Jego matka pomagała, jak mogła, ale była aktorką, do tego teatralną. A Tina na pewno nie powinna sięgać do swo-

ich oszczędności (zaczęła je gromadzić w wieku szesnastu lat), by wspierać mojego syna, którego postawę pod tytułem „jakoś-to-będzie-stary, luzik” z takim przekonaniem wspierałem. W środku nocy (rozmyślanie wtedy o czymkolwiek przynosi mało pożytku) zastanawiałem się, jaka toksyczna i niemiła atmosfera zapanuje w kwestii pieniędzy, jeśli mój los się nie odmieni.

Klub filmowy działał dalej. Aby zachęcić Jessego do oglądania większej ilości filmów i by jednocześnie nie czuł się jak w szkole, urządziłem grę w „znajdź najlepszy moment filmu”. Należało znaleźć scenę, fragment dialogu albo ujęcie, które wciskało w fotel i sprawiało, że zaczynało walić ci serce. Zaczęliśmy od prostej rzeczy, od Lśnienia Stanleya Kubricka (The Shining, 1980), historii bankrutującego pisarza, który powoli szaleje w opuszczonym hotelu i próbuje zabić swoją rodzinę.

70

Lśnienie jest prawdopodobnie najlepszym filmem Kubricka.

Jednak Stephen King, autor powieści, czuł niechęć do filmu i samego reżysera. Tak jak wielu ludzi; Kubrick był znany ze swojej drobiazgowości, samouwiełbienia. Wciąż kazał powtarzać aktorom ujęcia, które przynosiły wątpliwe efekty. Scenę, w której Jack Nicholson zasada się na Scatmana Crothersa z siekierą, Kubrick kazał kręcić czterdzieści razy. W końcu Jack Nicholson zauważył, że siedemdziesięciodwuletni Crothers był wyraźnie zmęczony, powiedział więc Kubrickowi, że wystarczy już ujęć - nie miał zamiaru kręcić tego jeszcze raz.

Później Jack gonił po schodach swoją wymachującą nożem żonę (Shelley Duvall) pięćdziesiąt osiem razy, zanim Kubrick był zadowolony. (Czy naprawdę trzeba było powtarzać ujęcie tyle razy? Czy nie wystarczyłoby drugie lub trzecie nakręcenie sceny? Prawdopodobnie tak).

Co ważne, Stephen King wyczuł, że Kubrick po prostu „nie złapał” zasady horroru, nie wiedział, „jak to działa”. King poszedł na prapremierę *Lśnienia* i wyszedł zdeglustowany. Powiedział, że film jest jak Cadillac bez silnika.

— Wsiadasz, czujesz zapach skóry, ale nigdzie nim nie pojeździsz. — I dodał jeszcze, że uważa, iż Kubrick kręci filmy, żeby „ranić ludzi”.

W pewnym sensie się z tym zgadzam, ale kocham *Lśnienie*; kocham sposób, w jaki zostało nakręcone, i sposób oświetlenia planu, kocham odgłos trójkołowego rowerka zjeżdżającego z drewna na dywan.

Gdy w korytarzu pojawiają się bliźniaczki, zawsze jestem przerażony. Jednak na moją ulubioną scenę wybrałem moment, w którym Jack Nicholson ma zwidy, że rozmawia z kelnerem hotelowym, bezdusznym facetem w typie brytyjskiego lokaja. Rozmowa odbywa się w oślepiająco oświetlonej toalecie publicznej - światła mają kolor pomarańczowy i biały. Dialog rozpoczyna

71

się niewinnie, ale potem kelner ostrzega Jacka, że jego mały syn „sprawia problemy”, z którymi być może „trzeba będzie sobie po-

radzić". Kelner (Philip Stone) przejmuje władzę w tej scenie za pomocą dokładnie wyważonej ciszy i spokoju, z jakim wypowiada tekst; człowiek przygląda się sposobowi, w jaki na końcu każdej wypowiedzi zamyka swoje suche usta, stawiając w ten sposób delikatną, trochę obsceniczną kropkę.

Kelner zwierza się, że miał problemy z własnymi dziećmi.

Jedno z nich nie lubiło hotelu i chciało go spalić. Ale „ukarał” je (siekierą). „A kiedy żona chciała mnie powstrzymać przed wykonaniem mojego obowiązku, ukarałem ją”. Jest to widowisko dopracowane w najmniejszym szczególe. Inaczej sprawa wygląda u Jacka, jego występ nie prezentuje się tak dobrze. Po raz pierwszy widziałem film w 1980 roku. W tej scenie wydaje się tanim komediantem, prawie amatorem, gra zaskakująco źle, zwłaszcza na tle znakomicie opanowanego angielskiego aktora.

To jednak nie była ulubiona sekwencja Jessego; wybrał moment, w którym chłopiec rano zakrada się do sypialni Jacka, by odzyskać zabawkę, odnajduje ojca siedzącego na brzegu łóżka i gapiącego się w nicłość. Jack wzywa do siebie syna, który ze strachem siada mu na kolanach. Patrząc na nieogoloną twarz ojca i jego kaprawe oczy - w niebieskim szlafroku Nicholson jest biały jak kreda - chłopiec pyta, dlaczego nie poszedł spać.

Po chwili słychać mrozącą krew w żyłach odpowiedź: „Mam zbyt wiele do zrobienia”.

Co oznacza, przeczuwamy intuicyjnie, że ma zamiar zarząbać swoją rodzinę, tak jak uczynił to kelner.

— To ta scena — wyszeptał Jesse. — Możemy puścić ją raz jeszcze?

Obejrzeliliśmy Annie Hall (1977), między innymi z powodu sekwencji, w której Diane Keaton śpiewa w ciemnym barze Seems like old times. Keaton ukazana jest lekko z boku i zdaje się patrzeć

72

na kogoś spoza kamery. Scena ta wywołuje u mnie gęsią skórę - podczas występu cała dramaturgia skupia się w oczach aktorki. Jest to także moment samospełnienia, ponieważ postać, Annie Hall, początkująca piosenkarka, nabiera odwagi i występuje po raz pierwszy.

Niektóre filmy rozczarowują; gdy widziałeś je po raz pierwszy, byłeś właśnie zakochany lub miałeś złamane serce, coś musiało cię zachwyć w tych filmach, ale teraz, kiedy oglądasz je z innej perspektywy, nie czujesz już tej magii. Pokazałem mu W 80 dni dookoła świata {Around the World in 80 Days, 1956}. Film, który zawiera przepiękne ujęcia balonu płynącego nad Paryżem podczas zachodu słońca, oczarował mnie, gdy byłem w wieku Jessego, ale teraz wydawał się szokująco przestarzały i głupawy.

Jednak niektóre filmy nadal czarują, po latach wciąż wywołując dreszcze. Pokazałem Jessemu Ulice nędzy {Mean Streets, 1973}, film nakręcony przez Martina Scorsese'go na samym początku jego kariery. Dzieło opowiada o dorastaniu w pełnej przemocy i brutalnej dzielnicy Nowego Jorku, Little Italy. Na wstępie pojawia się sekwencja, której nigdy nie zapomniałem. Kamera podąża za

Harveyem Keitelem przez oświetlony na czerwono bar, w tle słycać dramatyczne akordy Tell me Rolling Stonesów. Každy, kto co piątek wieczór chodzi do ulubionego baru, zna tę chwilę. Sami znajomi, machają, wzywają cię po imieniu, przed tobą cała noc. Keitel przechodzi przez tłum, ściska wyciągające się ku niemu ręce, wymienia dowcipne uwagi. Powoli tańczy w rytm muzyki, kołysze biodrami; to portret młodego człowieka, który kocha życie, kocha tę piątkową noc, z ludźmi znajdującymi się w tym miejscu.

Ta sekwencja wyraża również radość młodego producenta filmowego, zachwyty, że mu się udało-właśnie kręci film.

Były też inne świetne momenty: Gene Hackman urządzający awanturę w barze w filmie Francuski łącznik (The French Connection, 1971). Aktor krzyczy: „Popeye przyszedł!” i zrzuca wszystko

73

z lady, butelki po lekarstwach, składane noże, jointy lecą na podłogę. Podwójne ujęcie z Charlesem Grodinem w Ishtar (1987), gdy Dustin Hoffman pyta go, czy Libia znajduje się „gdzieś w pobliżu”.

Albo monolog Marlona Brando w Ostatnim tangu w Paryżu (Last Tango in Paris, 1972) o psie wabiącym się Dutchie, który „podskaکیwał i szukał królików” na polu gorczycy. Oglądaliśmy ten film późno w nocy, na stole stała paląca się świeca, i na końcu tej sceny zobaczyłem, jak ciemne oczy Jessego się we mnie wpatrują.

— Owszem — powiedziałem.

Jest Audrey Hepburn na schodach przeciwpożarowych w budynku z piaskowca na Manhattanie w Śniadaniu u Tiffany'ego (Bre-

akfast at Tiffany's, 1961), jej włosy owinięte ręcznikiem, jej palce delikatnie poruszające struny gitary. Kamera obejmuje wszystko, schody, cegły, szczupłą kobietę, potem następuje zbliżenie na samą Audrey; całkowite zbliżenie, jej twarz wypełnia cały ekran, te porcelanowe kości policzkowe, ostry podbródek, brązowe oczy. Przestaje brzdąkać i z zaskoczeniem patrzy w górę na kogoś poza kadrem. „Cześć”, mówi miękko. To jeden z tych momentów, dla których ludzie chodzą do kina; zobaczysz to raz, nieważne, w jakim wieku będziesz, a nigdy nie zapomnisz tej sceny. Oto przykład tego, co filmy potrafią zrobić z człowiekiem, jak mogą ominąć twoje mechanizmy obronne i naprawdę złamać ci serce. Siedziałem oczarowany, na ekranie leciały napisy końcowe, przebrzmiewała melodia przewodnia, u Jessego wyczuwałem jednak rezerwę, jakby był niechętny do, mówiąc obrazowo, przejścia po dywanie w zabłoconych butach.

— O co chodzi? — spytałem.

— To dziwny film — powiedział, tłumiąc ziewanie, zawsze to robił, gdy czuł się nieswojo.

— Dlaczego?

— Opowiada o dwóch osobach, które się prostytuowały. Sam film jednak zdaje się pokazywać coś innego. Można odnieść

74

wrażenie, że jest to coś słodkiego i szalonego. — Zaśmiał się. —

Nie chcę być lekceważący wobec czegoś, co ci się podoba...

— Nie, nie — zaprotestowałem w geście obronnym. — Tak

naprawdę to nie lubię tego filmu. Lubię ją. — Dodałem jeszcze, że Truman Capote, autor nowelki, na której podstawie nakręcono film, nigdy nie zaakceptował obsadzenia Audrey Hepburn w roli Holly Golightly. — Uważał, że bohaterka była bardziej postrzelona, jak ktoś w rodzaju Jodie Foster.

— Na pewno — odparł Jesse. — Ty po prostu nie potrafisz wyobrazić sobie Audrey Hepburn w roli dziwki. A kobieta w tym filmie jest dziwką. Tak samo jak ten facet, młody pisarz. Oboje robią to dla pieniędzy.

Holly Golightly dziwka?

Jesse spytał mnie kiedyś, czy uważam, że Rebecca była poza jego zasięgiem. Powiedziałem, że nie, ale miałem swoje obawy - że rywalizacja o takie oszałamiające stworzenie, a w szczególności arena, na której zapewne będzie się ona rozgrywać (powierzchność stylu), może go przerosnąć. Pamiętam jego błąd, zrozpaczoną twarz w ciągu tygodni po „incydencie” i jego słowa — Bóg da mi wszystko, czego zapragnę w życiu, poza Rebeccą Ng.

Gdy już ją „zdobył”, odczułem ulgę, ponieważ oznaczało to, że przynajmniej przez jakiś czas nie będzie podejrzewał, że nieokreślona wyższa forma szczęścia znajduje się tuż poza jego zasięgiem. Myśląc o tym teraz, zaczynam podejrzewać, że to plotki ze szkolnej kawiarni dotyczące Claire z powrotem wywołały zainteresowanie Rebeki starym „przytuliskiem” Jessem. Plotki, które wygnały jej chłopaka kujona daleko za morze i, co smutne, wkrót-

ce zabrały ze sobą również Claire.

75

Mimo wszystko prawda jest taka, że za tymi ślicznymi oczami Rebeki Ng krył się kawał cholery. Lubiła siać niepokój, kochała intrygi i cierpienie, była to kreatura, która zdawała się czerpać niezbędny do życia tlen z faktu, że ludzie skaczą sobie do gardeł, że wszyscy byli wyprowadzeni z równowagi i do tego mówili o niej. To dodawało barw jej zapadniętym ustom gwiazdy filmowej.

Dzwoniła do Jessego późno w nocy i insynuowała jakieś głupoty. Miała kolejne przemyślenia. Może powinna „iść na randkę” z innymi facetami i zobaczyć, „czy do siebie pasują”. Wszystko to mówiła mu w ostatnich sekundach rozmowy. Był to jej sposób na zatrzymanie go przy telefonie. Nie potrafiła znieść tego, że to on mógłby powiedzieć: „Muszę już kończyć, do widzenia”.

Trwało to godzinami, rozmowy te sprawiały, że czuł się jak szmata, a do jego oczu sypał się piasek. Bałem się, że ta kreatura pozostawi po sobie bliznę.

Jednak w Jessesem była jedna część nie do zdobycia, coś, co inni chłopcy jej dali, a on, z powodów, których wciąż nie rozumiem, zatrzymywał to dla siebie. Był to mały, ciemny pokój w rezydencji, do którego Rebecca nie miała dostępu i wywoływało to w niej obsesję. Wiadomo było, że w chwili gdy w świetle fleszów się tam dostanie, w chwili gdy zrozumie, że może swobodnie wchodzić i wychodzić, pokój ten stanie się dla niej bezwartościowy, Jesse

stanie się bezwartościowy, a ona będzie mogła iść dalej.

Jednak na razie drzwi były zamknięte i Rebecca musiała czekać na zewnątrz, szukając klucza, który by je otworzył.

Zjawiała się u nas w ciepłe popołudnia, ptaszki ćwierkały, ry-
czały kosiarki do trawy, w kościele po drugiej stronie ulicy waliły
młoty, a ona stawała na naszym ganku, jej czarne włosy błysz-
czały zdrowiem i życiem. Przez dwie czy trzy minuty zabawiała
mnie wesołą, bezosobową rozmową, taką jakiej spodziewasz
się po polityku czy osobie prowadzącej kwestę. Gadka, gadka,

76

gadka. Odważny kontakt wzrokowy. Była tego typu dziewczyną,
która pewnego dnia poprowadzi sieć hoteli światowej klasy.

Gdy spełniła już swój obowiązek, schodziła do piwnicy. Drzwi
u stóp schodów zamykały się z miękkim, stanowczym trzaskiem.
Słyszałem pomruk młodych głosów, a potem, zastanawiając się,
czy powinienem przypomnieć Jessemu, żeby umył zęby i założył
poszewkę na poduszkę (i zdecydowałem, że nie powiem mu tego),
usuwałem się w odległą, dźwiękoszczelną część domu.

Idealny scenariusz, myślałem sobie, Rebecca Ng, która miała
najlepsze oceny, zupełnie świadomie nawiązała romans z kimś,
kto rzucił szkołę. Czy to właśnie nie o tym myśleli jej rodzice, gdy
na łodzi uciekali z Wietnamu?

W inne popołudnia, gdy błyszczała na kursie dla menadżerów
lub przygotowywała debatę z przedstawicielami Młodych Kon-
serwatystów, Jesse i ja siedzieliśmy na kanapie, oglądając filmy.

Z moich żółtych kartek mogę wyczytać, że kilka tygodni spędziliśmy nad „jednostką” (podłe, szkolne słowo) o nazwie „Zademonstrować talent” („Talent Will Out”). Było to po prostu kilka filmów, czasami niezbyt dobrych, w których nieznany aktor gra tak świetnie, że, mówiąc po prostu, wiesz, że on lub ona stanie się wielką gwiazdą kina, to tylko kwestia czasu.

Myślę o Samuelu L Jacksonie grającym kokainistę w Jungle Fever (1991) Spike'a Lee. Oglądasz film przez trzydzieści sekund i myślisz — „Kim jest ten facet?”. Albo Winona Rider w małej roli w Soku z żuka (Beetlejuice, 1988).

To samo można oczywiście powiedzieć o grze Seana Penna w roli uzależnionego chłopaka w Beztroskich latach w Ridgemont High (Fast Times at Ridgemont High, 1982). Wystarczy zobaczyć sposób, w jaki patrzy na ludzi, którzy do niego mówią. Tak jakby został ogłuszony dźwiękiem białych głosów w swojej głowie, a pomiędzy uszami miał poduszkę. Nie jest to główna rola, ale Penn gra w tym filmie tak dobrze, jego talent jest tak autentyczny,

77

tak oślepiający, że wszyscy schodzą na drugi plan (ten sam efekt „poszarzania” innych aktorów wywoływał Gary Cooper).

— Czyja mam talent? — spytał Jesse.

— Mnóstwo — odpowiedziałem.

— A jakie?

O czym ty mówisz?

— Cała zabawa polega na tym — odparłem — żeby wieść

szczęśliwe życie, będąc w czymś dobrym. Podejrzewasz, że możesz być w czymś dobrym?

— Nie wiem.

Opowiedziałem mu o Andre Gidzie, francuskim pisarzu, i o tym, co napisał w swoim pamiętniku. Gdy miał dwadzieścia lat, bardzo denerwował go fakt, że ludzie na ulicy nie byli w stanie powiedzieć, patrząc mu po prostu w oczy, jakie wielkie dzieła będzie tworzył.

Jesse przesunął się na przód siedzenia.

— Właśnie tak się czuję — powiedział.

Pokazałem mu Rzymskie wakacje (Roman Holiday, 1953) z Audrey Hepburn. Była to jej pierwsza główna rola, miała wtedy dwadzieścia cztery lata; była niedoświadczona, lecz jej gra w komedii u boku Gregory'ego Pecka była niewymuszona, przychodziło jej to z niewytłumaczalną łatwością.

W jaki sposób tak szybko stała się tak dobra? Jej dziwny akcent i emocjonalna głębia w pewien sposób przypominają romantyczną bohaterkę Tołstoja, Nataszę. Jednak panna Hepburn ma również to coś, czego nie można się nauczyć, intuicyjną komitywę z kamerą, jeden po drugim udany gest.

Poprosiłem Jessego, żeby jeszcze raz zobaczył moment, w którym zbliżenie zatrzymuje się na jej twarzy; ma się wtedy wrażenie, jakby kamera odpoczywała w miejscu, do którego naprawdę należy, jakby była przyciągana przez grawitację. Za rolę w Rzymskich wakacjach Hepburn dostała Oscara.

Do naszego programu o talencie wciągnąłem również debiut młodego reżysera. Do dzisiaj ten raczej zapomniany film telewizyjny przypomina o jednym z najbardziej radosnych okresów młodości, o reżyserze, który mówił: „Patrzcie, na co mnie stać!”. Większość filmów telewizyjnych nie grzeszy geniuszem, ale już po pierwszych sekundach *Pojedyńku na szosie* (*Duel*, 1971) człowiek ma wrażenie, że dzieje się coś dziwnego. Z punktu widzenia kierowcy obserwujemy, jak samochód wyjeżdża z miłego, amerykańskiego przedmieścia i powoli opuszcza granice miasta. Panuje upał, niebo pokryte jest błękitem, domów jest coraz mniej, samochód jest sam na drodze.

A potem, nie wiadomo skąd, we wstecznym lusterku pojawia się zardzewiała, osiemnastokątowa ciężarówka z przyciemnionymi szybami. Nigdy nie zobaczysz kierowcy. W przelocie dojrzysz jedynie jego kowbojskie buty, jego machającą z okna rękę, ale twarzy nigdy.

Przez siedemdziesiąt cztery minuty, niczym prehistoryczny potwór, ciężarówka ściga samochód przez spalony słońcem krajobraz. To jak *Moby Dick* szukający Ahaba. Czekający na poboczu drogi, ukryty w rowie, zachowujący się tak, jakby stracił już zainteresowanie, a potem nagle się pojawia, ciężarówka jest symbolem irracjonalnego zła; to ręka pod łóżkiem, czekająca tylko na to, by złapać cię za kostkę.

Ale po co? (Wskazówka: nawet w młodości reżyser nie znał odpowiedzi na to pytanie).

Ciężarówka i samochód - a pomiędzy nimi żadnego dialogu.

Tylko jazda autostradą. Spytałem Jessego, w jaki sposób można ożywić taki pomysł?

— To jak wyciskanie wina ze skały — odpowiedział.

Sugeruję, że odpowiedź znajduje się w wizualnym ataku przeprowadzonym przez reżysera. Pojedynek na szosie zmusza cię do tego, żebyś na niego patrzył. Zdaje się mówić widzom, że „tutaj

79

dzieje się coś o pierwotnym znaczeniu"; bałeś się tego czegoś już wcześniej, a teraz znowu to spotykasz.

Kręcąc Pojedynek na szosie, Steven Spielberg miał dwadzieścia cztery lata. Pracował już trochę dla telewizji (jego wizytówką był epizod z Columbo), nikt jednak się nie spodziewał, że objawi swój potencjał w takim stylu. Prawdziwą gwiazdą Pojedynku na szosie nie jest ciężarówka ani grany przez Dennisa Weavera coraz bardziej przerażony kierowca; jest nim reżyser. Można to przyrównać do czytania pierwszych stron świetnej powieści - czujesz, że obcujesz z niesamowitym i nieposkromionym talentem. Tutaj nikt nie zastanawiał się dwa razy, nikt nie starał się być zbyt mądry. Wydaje mi się, że Spielberg właśnie to miał na myśli, gdy kilka lat temu powiedział dziennikarzowi, iż co dwa, trzy lata starał się obejrzeć Pojedynek na szosie, żeby „przypomnieć sobie, jak ja to robiłem”. Dał do zrozumienia, że aby tak pewnie stać na nogach, trzeba być młodym.

Wiadomo więc, dlaczego po obejrzeniu Pojedynku na szosie

kierownicy studia kilka lat później zaproponowali Spielbergowi wyreżyserowanie filmu Szczęki (Jaws, 1975). Skoro potrafił sprawić, że niezgrabna ciężarówka napawała strachem, to wystarczy sobie wyobrazić, co zrobi z rekinem (który, tak samo jak kierowca ciężarówki, w większości pozostaje poza zasięgiem wzroku. Widać tylko efekty jego działań, zaginionego psa, nagle wciągniętą pod wodę dziewczynę, wyrzuconą w powietrze boję, symptomy, które zdradzają obecność niebezpieczeństwa, ale nigdy nie ukazują jego samego.

Już w młodości Spielberg intuicyjnie wyczuł, że aby wystraszyć ludzi, trzeba pozwolić, by zaczęła działać ich wyobraźnia).

Obejrzelismy znajdujący się na DVD materiał o kręceniu Pojedynku na szosie. Ku mojemu zdziwieniu Jesse z zaintrygowaniem słuchał Spielberga opowiadającego o kręceniu filmu „zdjęcie po zdjęciu” - ile pomysłów to kosztowało, ile pracy. Rozplanowanie

80

kadrów, różnego rodzaju kamery, nawet próby przeprowadzone z półtuzinem ciężarówek, aby zobaczyć, która z nich wygląda najgroźniej.

— Wiesz, tato — powiedział z lekkim zdumieniem — aż do tej pory uważałem, że Spielberg był raczej przykrym typem.

— Jest filmowym wariatem — odparłem — to trochę inny gatunek.

Opowiedziałem mu historię o młodej, często imprezującej aktorce, która na początku swojej kariery poznała w Kalifornii Spiel-

berga, George'a Lucasa, Briana de Palmę i Martina Scorsesego.

Mówiła potem, że była zdumiona, ponieważ nie wykazywali oni zainteresowania ani narkotykami, ani dziewczynami. Na imprezach chcieli tylko łączyć ze sobą i gadać o filmach.

— Jak mówiłem, filmowi wariaci.

Pokazałem mu Tramwaj zwany pożądaniem (A Streetcar Named Desire, 1951). Opowiedziałem, jak w 1948 roku młody, mało jeszcze znany aktor, Marlon Brando, pojechał autostopem z Nowego Jorku do domu Tennessee Williamsa w Provincetown w Massachusetts na przesłuchanie do produkcji, która miała zostać wystawiona na Broadwayu. Słynny dramaturg był strasznie zmartwiony; nie było prądu ani wody, a toalety się zapchały. Brando pozbył się problemu z prądem poprzez wsadzenie pensów za bezpieczniki, a potem, na kolanach, naprawił kanalizację wodną; następnie wytarł ręce, udał się do salonu i przeczytał rolę Stanleya Kowalskiego. Według legendy czytał może przez trzydzieści sekund, potem na wpół pijany Tennessee przerwał mu, powiedział: „W porządku” i odesłał go do Nowego Jorku z rolą.

Ajego przedstawienie? Byli aktorzy, którzy rzucili ten zawód, gdy w 1949 roku zobaczyli na Broadwayu grającego w Tramwaju Marlo-
na Brando. (W ten sam sposób z pisarstwem chciała się pożegnać Virginia Woolf, gdy po raz pierwszy przeczytała Prousta). Jednak studio nie chciało go do filmu. Był zbyt młody. Niewyraźnie mówił.

81

Ale jego nauczycielka gry aktorskiej, Stella Adler, bardzo wcześnie

przepowiedziała złowieszczo, że ta „dziwna kukielka" będzie najlepszym aktorem swojego pokolenia. Co okazało się prawdą.

Po latach studenci uczęszczający na prowadzone przez Brando warsztaty z aktorstwa zapamiętali jego niekonwencjonalne sposoby nauczania, jak potrafił recytować monolog z Szekspira, stojąc na głowie i sprawiając, że i tak był bardziej wiarygodny i wzruszający niż wygłoszone tego dnia monologi studentów.

— Tramwaj zwany pożądaniem — wyjaśniłem — był sztuką, w której wypuszczono dzinną z butelki; dosłownie zmienił cały styl amerykańskiego aktorstwa.

Karl Malden, który w oryginalnym przedstawieniu grał Mitcha, powiedział po latach: „Można było to wyczuć: widzowie chcieli Brando; przychodzili dla niego, a gdy nie było go na scenie, czuli, że czekają, aż wróci".

Uświadomiłem sobie, że jestem bliski przedobrzenia.

— Okej — powiedziałem do Jessego — naprawdę zobaczysz dzisiaj coś niesamowitego. Zaczynamy.

Czasami dzwonił telefon; obawiałem się tego. Jeśli była to Rebecca Ng, zburzy cały nastrój z taką bezwzględnością, jakby jakiś wandal wrzucił kamień przez okno. Pewnego bardzo upalnego, późnosierpniowego popołudnia Jesse zniknął, żeby zadzwonić, gdy byliśmy w połowie oglądania Pół żartem, półserio {Some Like It Hot, 1959); nie było go przez dwadzieścia minut, wrócił zdekoncentrowany i nieszczęśliwy. Włączyłem film, ale opanowała mnie gorzka świadomość jego duchowej nieobecności. Patrzył

w ekran, zakotwiczył w nim wzrok tak, żeby móc swobodnie zająć się swoimi problemami z Rebeką.

Wyłączyłem DVD i powiedziałem:

— Wiesz, Jesse, te filmy zostały zmontowane z ogromnymi pokładami rozważki i miłości. W zamyśle ludzie mieli je oglądać za jednym zamachem, scena za sceną. I taką zasadę wprowadzam.

82

Od tej pory żadnych rozmów podczas oglądania filmu. To przejaw braku poszanowania i do tego wywołuje gównianą atmosferę.

— Okej — powiedział.

— Nawet nie patrzymy, kto dzwoni, okej?

— Okej, okej.

Telefon zadzwonił raz jeszcze. (Nawet z daleka Rebecca potrafiła wyczuć, że uwaga nie jest poświęcona jej).

— Lepiej odbierz. Przynajmniej tym razem.

— Jestem z tatą — wyszeptał. — Oddzwonię.

W słuchawce rozległo się bzyczenie szerszenia.

— Jestem z tatą — powtórzył.

Odłożył słuchawkę.

— O co chodzi? — spytałem.

— O nic — a potem powiedział poirytowany, jak gdyby wcześniej wstrzymywał oddech — Rebecca zawsze wybiera najdziwniejsze momenty na rozmowę o różnych sprawach.

Przez chwilę wydawało mi się, że w jego oczach błysnęły łzy.

— Jakich sprawach?

— Naszego związku.

Wróciliśmy do oglądania filmu, ale czułem, że Jesse był nieobecny. Oglądał inny film, opowiadający o tym, co zrobi mu Rebecca za to, że spławił ją przez telefon. Wyłączyłem telewizor. Jesse spojrzał na mnie z zaskoczeniem, jak gdyby spodziewał się kłopotów.

— Miałem kiedyś dziewczynę — zacząłem. — Nie robiliśmy nic innego, tylko rozmawialiśmy o naszym związku. Zamiast żyć w nim. Stało się to bardzo nudne. Oddzwoni do niej i wyjaśnij wszystko.

Rozdział 6

Pewnego ranka, po trwającej prawie tydzień fali upałów, powietrze nagle się zmieniło. Na dachach samochodów osiadła rosa; chmury poruszały się po niebie wyjątkowo szybko. Jesień, która miała przyjść nie jutro ani nawet nie w przyszłym tygodniu, nieuchronnie była już w drodze. Szedłem skrótem przez budynek firmy Manulife przy Bloor Street, gdy zauważyłem siedzącego samotnie w kawiarence naprzeciwko windy Paula Bouissaca. Był to niski Francuz o twarzy sowy, który trzydzieści lat wcześniej miał ze mną na uniwersytecie zajęcia z surrealizmu, a którego komentarze dotyczące mojej kariery telewizyjnej były odrobinę obraźliwe. Dawał do zrozumienia, że oglądanie mnie było poniżej jego godności, ale jego chłopak, koszmarny gość z wiecznie spoconymi dłońmi, był moim wielkim fanem. (Raczej w to wątpiłem, ale nieważne).

Bouissac podniósł pulchną, białą dłoń i pomachał do mnie.

Usiadłem posłusznie. Rozmawialiśmy o tym i owym, ja zadawa-

łem pytania (comme d'habitude), on wzruszał ramionami na ich naiwny charakter.

W taki właśnie sposób przeprowadzał rozmowy. Gdy pojawił się temat Jessego (ff vous, vous tuez la journee comment!), zacząłem gadkę o tym, że niechęci do szkoły „nie można nazwać patologią”, być może jest nawet quelque chose d'encourageant,

85

i opowiedziałem, jak dawałem sobie radę z dzieciakiem, który nie oglądał telewizji ani nie brał narkotyków. Mówiłem, że szczęśliwe dzieci mają potem szczęśliwe życie itd., itd., itd. Gadałem bez przerwy i w końcu zauważyłem, że zaczyna brakować mi tchu, jakbym właśnie wbiegł po schodach. Bouissac kiwnął ręką, że-
bym ucichł, i poczułem, jakby mój mały samochód wjechał na chodnik, przechylając się przy tym bez żadnego wdzięku.

— Usprawiedliwia się pan — powiedział po angielsku z silnym akcentem. (Spędził w Toronto czterdzieści lat, a wciąż mówił jak Charles de Gaulle). Upierałem się, że wcale nie, i w ten sposób tylko się pogrążałem. Wyjaśniałem sprawy, które nie wymagały wyjaśnień, broniłem się przed krytyką, która w ogóle nie nastąpiła.

— Jest odpowiedni czas na naukę. Potem jest już za późno — powiedział Bouissac z nieznośną stanowczością francuskiego intelektualisty.

Za późno? Zastanawiałem się, czy ma on na myśli to, że nauka jest jak przyswajanie języka, musisz opanować akcent przed ukończeniem określonego wieku (dwanaście albo trzynaście lat),

inaczej nigdy już go nie przyswoisz? Niepokojąca myśl. Czy powinniśmy posłać go do szkoły wojskowej?

Wstrząśnięty zacząłem udzielać mu odpowiedzi, on jednak stracił już zainteresowanie moją osobą (zademonstrował to) i wstał, by poszukać nowej pary rękawic kuchennych. Tego wieczoru organizował kolację dla międzynarodowej grupy semiotyków. Zadowolony z siebie mały kutas. Po spotkaniu byłem zaskakująco rozdrażniony. Czułem, jakbym coś zdradził, jakbym się tanio sprzedał.

Broniłem Jessego czy siebie? Czy chwaliłem się jak dziesięcioletek na boisku szkolnym? Czy to było aż tak widoczne? Być może. Nie chciałem jednak, żeby ktokolwiek myślał, że wyświadczam Jessemu niedźwiedzią przysługę. (Nie potrafiłem pozbyć się owej wizji, przedstawiającej mojego syna prowadzącego wypełnioną chmurami marihuany taksówkę).

86

Minęły mnie trzy młode dziewczyny, pachniały gumą do żucia i zimnym powietrzem. Być może, pomyślałem sobie, przeceniamy wpływ, jaki mamy na własne dzieci. Właściwie w jaki sposób można zmusić wysokiego na prawie metr dziewięćdziesiąt nastolatka, żeby odrobił lekcje? Nie, w tej kwestii ja i jego matka ponieśliśmy klęskę.

Niczym nagły, niespodziewany podmuch wiatru ogarnęła mnie antypatia dla Bouissaca, miałem wrażenie, że to moje niezwykle, uczniackie zachowanie, to nałogowe podporządkowanie się przejdzie raczej negatywną przemianę.

Wyjąłem pióro i tutaj, na stole, sporządziłem na serwetce listę wszystkich młodych mężczyzn, z którymi studiowałem, a którzy nie osiągnęli zbyt wiele. Taki na przykład B., który zapił się na śmierć w Meksyku; G., mój najlepszy przyjaciel z lat chłopięcych, strzelił człowiekowi w twarz z dubeltówki, będąc na haju. M., cudowne dziecko matematyki, sportu, wszystkiego, spędzający teraz dni na masturbacji przed komputerem, podczas gdy jego żona pracuje w firmie prawniczej w centrum. Powstała pocieszająca, dramatyczna lista. Był na niej nawet mój brat, mój smutny, smutny brat - mistrz bieźni, przywódca bractwa na studiach, który mieszkał teraz w narożnym pokoju pensjonatu i po tych wszystkich latach wciąż skarżył się na niesprawiedliwości, które spotkały go w trakcie nauki.

A co, jeśli się myliłem? Jeśli pewnego dnia Jesse nie wyjdzie z impetem z piwnicy i nie „weźmie się z życiem za bary”?

Co, jeśli pozwoliłem mu spieprzyć sobie życie na podstawie jakiejś błędnej teorii, będącej jedynie zręcznym wy tłumaczeniem lenistwa? Znowu ujrzałem taksówkę, jadącą powoli w deszczową noc University Avenue. Nocna zmiana. Jesse, facet, którego znają w całodobowym sklepie z pączkami. „Hej, Jess. To co zwykle? Powinno ci smakować”.

Czy pod moją „kuratelą” nauczył się czegokolwiek w ciągu ostatniego roku? Czy cokolwiek z tego było warte zapamiętania?

87

Przekonajmy się. Wiedział o Elii Kazanie i o tej całej sprawie związanej z obciążaniem kolegów, ale czy wiedział, kim byli komuni-

ści? Wiedział, że Vittorio Storaro w Ostatnim tangu w Paryżu pod-
palił apartament, ustawiając oświetlenie przed oknami zamiast
w środku w odpowiednim miejscu, ale czy wiedział, gdzie leżał
Paryż? Wiedział, że dopóki sieje, należy kłaść widelec ząbkami do
dołu, że francuskie cabernet jest odrobinę bardziej cierpkie niż
kalifornijskie cabs. (Bardzo istotna wiedza). Co jeszcze? Że nale-
ży jeść z zamkniętymi ustami (różnie z tym bywa), że rano należy
wyszczotkować zarówno zęby, jak i język (czepiam się tego). Że po
wylaniu soku z tuńczyka i zrobieniu kanapki należy opłukać zlew
(prawie zawsze to robi).

No dobra, ale posłuchaj. Pokochał Gary'ego Oldmana, który
szaleńczo miotał się po hallu w Leonie zawodowcu (The Professio-
nal, 1994). Pokochał Marlona Brando zrzucającego naczynia ze
stołu w jadalni w Tramwaju zwanym pożądaniem. „Sprzątnąłem
już swoje nakrycie. Sprzątnąć też twoje?”. Pokochał Szkołę Bud-
dy'ego (Swimming with Sharks, 1994), ale nie początek filmu („To
tylko sztuczka”), a koniec („Teraz nabiera prawdziwej głębi!”). Po-
kochał Ala Pacino w Człowieku z blizną (Scarface, 1983). Pokochał
ten film, tak jak ja pokochałem Wielkiego Gatsby'ego (The Great
Gatsby).

Wiesz, że są niegrzeczni i płytcy, ale i tak chcesz z nimi iść.

Wciąż oglądał Annie Hall. Rankiem na kanapie znajdowałem pu-
ste pudełko po DVD. Znał ten film prawie na pamięć, mógł go
cytować. Tak samo jak Hannah i jej siostry (Hannah and Her Si-
sters, 1986). Został uwiedziony przez Lolitę (1997) Adriana Lyne'a.

Chciał dostać ją na Gwiazdkę. Czy powinienem być szczęśliwy z tego powodu?

Tak.

Potem jednak, pewnego dnia, gdy za oknem salonu padał śnieg, a my jeszcze raz oglądaliśmy Człowieka z blizną, scenę,

88

w której Al przybywa do Miami, Jesse odwrócił się i spytał, gdzie leży Floryda.

— Co?

— Stąd. Jak się tam dostać, jadąc stąd? — spytał.

Po chwili przerwy (czy on żartuje?) powiedziałem:

— Jadąc na południe.

— W kierunku Eglinton czy King Street?

— King Street.

— Serio?

Zacząłem mówić z szacunkiem, ale ostrożnie, tonem kogoś, kto zdaje sobie sprawę, że może być nabierany. To jednak nie był dowcip.

— Jedziesz King Street tak długo, aż dojedziesz do jeziora; przejeżdżasz przez jezioro i to jest początek USA. — Czekałem, żeby mi przerwał.

— USA leżą tuż za jeziorem?

— Tak. — Przerwa. — Jedziesz przez Stany jakieś sto pięćdziesiąt mil, Pensylwania, Karolina, Georgia — wciąż czekałem, żeby mnie powstrzymał — aż dojeżdżasz do stanu o kształcie palca, który wychodzi w ocean. To jest Floryda.

— Aha — cisza. — A co jest dalej?

— Za Florydą?

— Tak.

— Zobaczmy. Jedziesz do samego końca tego palca i dojeżdżasz do kolejnej wody; jedziesz sto mil i docierasz do Kuby. Pamiętasz Kubę? To tam odbyliśmy długą rozmowę o Rebecce.

— To była świetna rozmowa.

— Poczekaj — powiedziałem. — Przejeżdżasz przez Kubę, jedziesz długo, aż dojeżdżasz do Ameryki Południowej.

— To kraj?

Cisza.

— Nie, to jest kontynent. Jedziesz tysiące i tysiące mil, przez dżungle i miasta, cały czas w dół, aż do końca Argentyny.

89

Patrzył przed siebie. Oczami wyobraźni widział coś bardzo jaskrawego, ale Bóg jeden wie co to było.

— Czy to koniec świata?

— Takjakby.

Czyja na pewno robię dobrze?

Na ulicy, przy której mieszka Maggie, zapanowała już wiosna.

Pączkujące na samych czubkach drzewa zdawały się wyciągać gałęzie ku słońcu. Właśnie pokazywałem Jessemu jeden z owych górnołotnych filmów niezależnych. Wydarzyło się wtedy coś bardzo dziwnego, coś, co było idealną ilustracją do przekazywanej przez film lekcji. Najpierw usłyszałem, że sąsiedni dom jest na

sprzedaż.

Posiadłości nie sprzedawała nasza sąsiadka przez ścianę, Eleanor - ona opuściłaby swój dom tylko nogami do przodu z flagą Wielkiej Brytanii na czole - chodziło o parę mieszkającą naprzeciwko, bardzo szczupłą kobietę w okularach przeciwsłonecznych i jej tysego męża.

Zupełnie przez przypadek zdecydowałem, że tego tygodnia pokażę Jessemu perłę włoskiej klasyki, film *Złodzieje rowerów* (*Ladri di biciclette*, 1948). Najsmutniejsza historia pod słońcem. Bezrobotny mężczyzna potrzebuje roweru, żeby móc pracować. Z ogromnym trudem udaje mu się go zdobyć. Zmienia się jego zachowanie, powraca seksualna pewność siebie. Jednak następnego dnia rower zostaje mu skradziony. Bohater cierpi katusze. Aktor, Lamberto Maggiorani, ma twarz zniszczonego dziecka. Co ma teraz robić? Bez roweru nie ma pracy. Patrzenie, jak w poszukiwaniu roweru biega po całym mieście wraz ze swoim synem, jest po prostu potwornie zasmucające. Następnie zauważa jakiś rower, którego nikt nie pilnuje, i kradnie go. Innymi słowy decyduje się

90

przysporzyć tych samych cierpień komuś innemu. Tłumaczy sobie, że to dla dobra jego rodziny - nie jest taki jak tamten złodziej. Chodzi o to, wyjaśniam, że czasami zmieniamy naszą moralność i pojmowanie dobra i zła w zależności od tego, czego w danej chwili potrzebujemy. Jesse kiwa głową; zgadza się z tą tezą. Wiadać, że analizuje różne sytuacje ze swojego życia, zatrzymuje się tu

i ówdzie, szuka analogii.

Złodziej rowerów zostaje jednak złapany i to publicznie. Wygląda to tak, jakby wszyscy okoliczni mieszkańcy wyszli z domów tylko po to, by zobaczyć, jak go odprowadzają. Włączając w to jego syna, którego wyrazu twarzy nikt nigdy nie chciałby zobaczyć na twarzach swoich dzieci.

Dzień, może kilka dni po obejrzeniu filmu w sąsiednim domu panował duży ruch, ludzie przychodzili i wychodzili; zobaczyłem chudego faceta o szczurzej twarzy wężącego między budynkami w pobliżu moich nowych kubłów na śmieci.

A potem, pewnego ranka, gdy miasto było szare, jakby chciało się odgrodzić, a na ulicy królowały kałuże i sterty śmieci, jak gdyby właśnie minął przyptyw (człowiek spodziewał się, że w kanałach ujrzy trzepoczące się, zdychające ryby), pojawiła się tabliczka „NA SPRZEDAŻ”.

Z początku leniwie, później coraz częściej zacząłem się zastanawiać, czy może powinienem sprzedać moją kawalerkę w fabryce cukierków (cena mieszkania znacznie wzrosła i wprowadzić się do lokum stojącego tuż obok domu mojego syna i ukochanej byłej żony. Oczywiście, jeśli się na to zgodzą. Im częściej o tym myślałem, tym bardziej chciałem to uczynić i tym bardziej nagłaca wydawała mi się ta sprawa. W ciągu kilku dni zaczęło mi się zdawać, że jest to jedyny ratunek. Doszedłem nawet do wniosku, że być może zostanie mi trochę pieniędzy. Nie myślałem, że moje życie potoczy się w ten sposób, miewałem jednak dużo gorsze pomysły. Może

mój los się odmieni, gdy będę mieszkał obok nich. Pewnego

91

popołudnia moja seksowna sąsiadka w okularach przeciwsłonecznych zajechała przed dom swoim praktycznym, kompaktowym samochodzikiem i wbiegła po schodach, trzymając w dłoni aktówkę.

— Słyszałem, że sprzedajecie dom — powiedziałem.

— To prawda — odparła, nie tracąc czasu i wsuwając klucz do zamka.

— Czy istnieje szansa, bym mógł się trochę rozejrzeć?

Widać było, że szurkowaty pośrednik handlu nieruchomościami właśnie przed tym ją ostrzegał. Była jednak w porządku i powiedziała:

— Jasne.

Był to dom dla niewysokich ludzi, w stylu francuskim, czysty, emanujący ciepłem, nawet w piwnicy (nie tak jak w piwnicy Maggie, w której zaczynasz obawiać się ataku krokodyla zza pralki).

Wąskie korytarze, wąskie schody, dokładnie pomalowane ściany sypialń, drobiazgowo wykończenia, a w łazience budząca ciekawość ogromna apteczka - chociaż biorąc pod uwagę czystą cerę gospodyni, jej spokojne i wyważone ruchy, nie wydawało się, żeby miała jakiegokolwiek tabletki warte buchnięcia.

— Ile chcecie za ten dom? — spytałem.

Wymieniła kwotę. Oczywiście zdawała się absurdalnie wysoka, ale porównywalna do wartości mojego loftu w fabryce cukierków, który, jak mi powiedziano, „jest teraz w modzie” u młodych, odno-

szących sukcesy osób (z telefonem komórkowym i trzydniowym zarostem). Jest to miejsce dla zwycięzców i dla nowoczesnych ludzi. Czyli, jednym słowem, dla gnojków.

Wyjaśniłem jej moją sytuację: bardzo chciałem mieszkać obok mojego nastoletniego syna i mojej byłej żony. To ją ujęło. Czy mógłbym mieć pierwszeństwo w jego zakupie? Tak, powiedziała.

Porozmawia z mężem.

U nas w domu zaczął się szaf. Telefony do banku, do mieszkającej w lofcie Maggie (zachwył, zielone światło i wilgotne oczy),

92

kolejna rozmowa ze szczupłą sąsiadką. Wszystko wyglądało w porządku.

Ale później, z powodu, którego nie potrafię zrozumieć, szczupła i jej jajogłowy mąż zdecydowali, że nie będziemy mieli pierwszeństwa. Pewnego popołudnia sąsiad sztywno mnie poinformował, że odbędą się dwie prezentacje, podczas których możemy zaferować naszą cenę. Tak samo jak wszyscy inni. Nie były to dobre wieści. Greektown również stawało się modne; ceny były zastraszające. Można było dostać o dwieście tysięcy dolarów więcej, niż żądano.

Dzień lub dwa przed „prezentacją” wziąłem Jessego na bok.

Poprosiłem go, żeby na popołudnie zaprosił do nas na werandę kilku swoich kumpli. Stawiam piwo i papierosy. Impreza miała się zacząć dokładnie o drugiej po południu.

Wyobraźcie sobie taką akcję. Gdy potencjalni kupcy wbiegli

na schody domu obok, mijali pół tuzina pijących, palących nierobów w czapkach i okularach przeciwsłonecznych, siedzących u nas na ganku. Nowi „sąsiedzi”. Niektóre samochody zatrzymały się, dwie nieruchome twarze w oknie pasażera rejestrowały scenę, następnie zapadała decyzja o odjeździe.

Po jakiejś godzinie pojawił się szczerkowy agent nieruchomości i spytał, czy właściciel jest w domu. Kuliłem się w salonie, próbując oglądać telewizję. Moje wnętrzności wciąż się kurczyły, jakby wył we mnie jakiś alarm samochodowy. (Poczucie winy).

— Nie, nie — szepnąłem Jessemu — powiedz, że mnie nie ma.

O czwartej prezentacja się skończyła. Dwadzieścia minut później skradałem się frontowymi schodami i chciałem udać się na drinka do greckiej restauracji, ponieważ byłem kłębkim nerwów; wtedy zjawił się agent. Jego twarz była mała i koścista, skóra skurczona, jak gdyby od nieprzyjemnych myśli; jej blask był odpychający.

— Dżentelmeni na ganku — powiedziały — stanowili problem.

93

Starałem się zmienić temat; radosnym głosem pytałem go o rynek nieruchomości, o okolicę; być może sam skorzystam z jego usług - planowałem kupić dom. Ha, ha, ha, zaśmiałem się jak pirat. Nie dał się odciągnąć od tematu. Nie uśmiechając się, powiedziały, że ich przekleństwa wystraszyły klientów.

— Nigdy! — powiedziałem, jak gdybym bronił mojej królowej.

Następnego dnia, w niedzielę, również odbyła się prezen-

tacja. Mżyło, niebo było szare, nad parkiem nisko latały mewy, niektóre chodziły z odwróconymi głowami i otwartymi dziobami, wyglądały, jakby płucały gardła. Pomimo złych przeczuć postanowiłem trzymać się mojej strategii. Więcej piwa, więcej papierosów, więcej rzucających złowieszcze spojrzenia, przygarbionych typów.

Nie miałem dość mocnych nerwów, by zostać w domu, i pojechałem mostem, żeby załatwić jakieś wymyślone sprawy. Nie wróciłem do domu przed czwartą. Przestało padać. Właśnie mijałem grecką knajpę, w której często jadaliśmy, gdy ujrzałem na chodniku idącego ku mnie Jessego. Uśmiechał się, ale jakoś ostrożnie, jakby asekuracyjnie.

— Mieliśmy mały problem — powiedział.

Na kilka minut przed prezentacją na nasz trawnik wtargnął ty-sogłowy - tym razem to on miał okulary przeciwsłoneczne - i walił pięściami w drzwi wejściowe. Typki z werandy gapiły się na niego, a on zażądał widzenia ze mną.

Ze mną?

— Ojca nie ma — powiedział Jesse.

— Wiem, co on wyprawia — ryknął ty-sol. — Próbuje zrobić zamach na sprzedaż domu.

Zamach na sprzedaż domu? Ostre słowa. Zwłaszcza że były prawdziwe. Poczulem nagły przyptyw wstydu, a nawet gorzej; ogarnęło mnie takie młodzieńcze uczucie, jakby dom był zajęty przez płomienie; „miałem duże kłopoty”. Jakbym wziął

bez pozwolenia kluczyki od samochodu ojca, jechał bez prawka i rozbił auto. Prześladowało mnie również niemile przeświadczenie, że przez cały czas Jesse wiedział, iż nie mam racji. Nie wspominając już o tym, że właśnie jego w to wplątałem. Jako rodzic daję świetny przykład. Jak przezwyciężyć kryzys. Jak dostać to, czego się pragnie. Daj mi go, Maggie, a ja postaram się, by szedł właściwą drogą i mógł wylecieć z gniazda.

— Zabrałem wszystkich do środka — powiedział.

— Czy powrót teraz jest bezpieczny?

— Ja bym trochę poczekał. Jest porządnie wkurzony.

Kilka dni później poprosiłem przyjaciela, żeby zalicytował za mnie, udając, że to on chce kupić dom. Oni jednak musieli to przewidzieć; nawet nie chcieli z nim gadać. Wszystkie te moje machlojki na nic się zdały, tak samo jak moje wciąganie dzieciaków w głupią, nieetyczną gierkę. Dom został kupiony przez parę gejów, właściciele kwaciarni. Zapłacili za niego prawie pół miliona dolarów.

Zastanawiałem się, czy Jesse zapamięta ten epizod do końca życia? (Nigdy nie wiesz, kiedy okno jest otwarte. A kiedy jest, nie chcesz wyrzucać przez nie zdechłego psa). Następnego dnia wziąłem go na bok.

— Popełniłem ogromny błąd — powiedziałem.

— Nie ma nic złego w tym, że człowiek chce mieszkać obok swojej rodziny — odparł. Przerwałem mu.

— Gdyby ktoś urządził mi taką akcję, kiedy to ja próbował-
bym sprzedać dom, udałbym się do niego z karabinem maszy-
nowym.

— Wciąż myślę, że postąpiłeś słusznie — upierał się.
Ciężko było go przekonać do tego, żeby spojrzął na to z innej
perspektywy.

— Jestem taki jak ten facet ze Złodziei rowerów. Uważałem,
że to było dobre tylko dlatego, że w tej chwili tak mi pasowało.

95

— A co, jeśli to było dobre? — odciął się.

Później, gdy wyszliśmy na zewnątrz na „pofilmowego” papie-
rosa, zorientowałem się, że ukradkiem się rozglądam, czy w pobli-
żu nie ma łysego ani jego żony.

— Widzisz, jakie są konsekwencje takiego postępowania? —
spytałem. — Teraz za każdym razem, gdy wychodzę na ganek,
muszę się upewnić, że ten facet nie kręci się po okolicy. Taka jest
cena. Taka jest prawdziwa cena.

Rozdział 7

Zaplanowałem dla nas kurs zatytułowany „Bezruch”. Chodziło
o to, by odkryć sposób, w jaki poprzez pozostanie w bezruchu
można było ukraść scenę pozostałym aktorom. Oczywiście roz-
począłem od filmu W samo południe {High Noon, 1952}. Cza-
mi zdarza się tak, że w wyniku szczęśliwego zbiegu okoliczności
wszystko w danym filmie po prostu do siebie pasuje. Odpowiedni
scenariusz, odpowiedni reżyser, odpowiednia obsada. Takim fil-

mem jest Casablanca (1942), tak samo jak Ojciec chrzestny (The Godfather, 1972), no i W samo południe. Szeryf, Gary Cooper, ma właśnie zamiar wyjechać z miasta razem ze swoją świeżo poślubioną żoną, gdy dowiaduje się, że pewien bardzo zły człowiek wyszedł z więzienia i wraz z trójką kumpli ruszył w drogę, by „dorwać” tego, kto go zapuszkował. Ich pociąg przyjeżdża w południe. Cooper biega po całym miasteczku w poszukiwaniu wsparcia; każdy ma dobrą wymówkę, by powiedzieć mu „nie”. Na samym końcu na ulicy samotnie staje przeciw czterem mężczyznom.

Film ten powstawał w czasach, gdy westerny były przeważnie kręcone w kolorze, a większość akcji skupiała się na szlachetnym bohaterze o granitowej szczęce, będącym bardziej postacią z kreskówki niż człowiekiem.

I nagle pojawił się film W samo południe, uderzający prostotą oraz ostrym kontrastem bieli i czerni - żadnych efektownych

97

zachodów słońca i pięknych pasm górskich; w zamian otrzymaliśmy małe, nędznie wyglądające miasteczko. Historia skupiła się na zjawisku niespotykanym dotąd w westernach: na mężczyźnie, który okazywał swój strach przed grożącym mu niebezpieczeństwem.

Przypomniałem Jessemu, że film nakręcono na początku lat 50. i można było odnaleźć w nim analogie do polowania na czarownice w Hollywood. Ludzie podejrzewani o lewicowe sympatie błyskawicznie tracili przyjaciół.

Trudno w to uwierzyć, ale gdy film *W samo południe* ujrzał światło dzienne, został zbojkotowany przez wszystkie grupy społeczne, ponieważ uważano, że jest antyamerykański. Zarzucano mu, że opowiada historię niby-bohatera, który na końcu się poddaje i opuszcza mieszkańców miasteczka, a miał ich przecież chronić. Scenarzysta, Carl Foreman, wyemigrował do Anglii; okrzyknięto go „sympatykiem partii komunistycznej” i nikt nie chciał go zatrudnić. Grający tchórzliwego gwałtownika Lloyd Bridges nie dostał żadnej roli przez następne dwa lata; zawyrokowano, że jest „nieamerykański”.

Zaznaczyłem, że w filmie należy szukać cudownych, pomysłowych kwestii. Sposobu, w jaki ukazano puste tory kolejowe. To ujęcie wciąż zaskakuje i przykuwa uwagę. To niemy i statyczny sposób wywoływania uczucia strachu. Za każdym razem, gdy oglądamy tę sekwencję, przypomina się nam, że to właśnie stamtąd nadejdzie zło. Podobną rolę odgrywają w filmie zegary. Tik-tak, tik-tak. Gdy zbliża się południe, zdają się nawet zwalniać swój bieg.

Jest też Gary Cooper. Pracujący z nim aktorzy byli często zaskoczeni tym, jak oszczędna była jego gra podczas każdej sceny. Zdawało się, że z wielkim trudem grał, że z wielkim trudem robił cokolwiek. Jednak na ekranie odsuwa wszystkich innych na dalszy plan. Aktorzy uważali, że ich własna gra rozplywała się w powstającej wokół niego mgle.

98

— Zwróć uwagę na to, gdzie patrzysz podczas tej sceny — po-

wiedziałem Jessemu. — Wyobraź sobie, że pracujesz z nim i starasz się współzawodniczyć z czymś takim.

Żeby nie było zbyt wzniośle, pokazałem mu potem Sprawę wewnętrzne (Internal Affairs, 1990). Kawał świetnej rozrywki. Gdy niezrównoważony policjant (William Baldwin) zostaje wezwany do złożenia zeznań, widzimy, jaką wspaniałą kreację chama potrafi stworzyć Gere. (Lepszą niż główny aktor). Z tymi swoimi małymi oczkami Richard Gere jest niczym Jago policji z Los Angeles. Jego milczenie - sugerujące wewnętrzny spokój - jest wręcz hipnotyzujące. Człowiek pojmuje, w jaki sposób ta postać przejmuje kontrolę nawet nad byłą żoną. Jeśli czuje zagrożenie, potrafi uczynić absolutnie wszystko. Poprosiłem Jessego, by obserwował scenę, w której Gere od niechcienia i z rozbawieniem wypowiada tylko parę zdań, sprawiając, że w wyobraźni przestuchującego go Andy'ego Garcii budzi się seksualny horror.

— Nie daj się nabrać jego dobremu, schludnemu wyglądowi ani jego filozofii rodem z talk-show — powiedziałem. — Richard Gere jest absolutnie autentyczny.

Potem przeszliśmy do Strefy śmierci (Dead Zone, 1983) Davida Cronenberga. Christopher Walken jest tu samotnym medium, bardzo smutnym i prawdziwym księciem bezruchu. Następnie obejrzeliśmy Ojca chrzestnego II (The Godfather Part, 1974). Co można powiedzieć o „Wielkim Alu” Pacino? Ma zrównoważoną, uspokajającą postawę znajdującą się u wejścia do jaskini skały. Poczekaj na tę wspaniałą scenę z senatorem, który nie rozumie znaczenia

drugiej, niższej oferty Pacina za licencję na otwarcie kasyna.

Pokazałem Jessemu Bullitt (1968), który powstał prawie czterdzieści lat temu, a którego przesłanie wciąż pozostaje niezmiennie niczym stal nierdzewna.

Niebieskooki Steve McQueen nigdy nie był przystojniejszy.

McQueen był aktorem, który rozumiał wartość „nicnierobienia”;

99

nie ruszał się, tylko nasłuchiwał z podniecającym spokojem światnego aktora pierwszoplanowego. W piwnicy znalazłem stary wywiad z gadatliwym kanadyjskim reżyserem Normanem Jewisonem, który nakręcił trzy filmy z McQueenem.

„Steve nie był aktorem, który mógłby stanąć na scenie i zabawić publiczność, mając do dyspozycji tylko krzesło - powiedział. - Był aktorem filmowym. Kochał kamerę, a ona kochała jego. Był zawsze prawdziwy, między innymi dlatego, że zawsze grał siebie. Nigdy nie miał pretensji o to, że ktoś zabrał mu kilka linijek tekstu. Był szczęśliwy tak długo, jak długo obejmowała go kamera, ponieważ rozumiał, że film był medium wzrokowym.”

McQueen miał ciężkie życie. Kilka lat spędził w placówce dla młodych kryminalistów. Po krótkiej przygodzie z piechotą morską udał się do Nowego Jorku i wziął kilka lekcji aktorstwa. Innymi słowy, wyjaśniłem Jessemu, nie był to pretensjonalny facet, przewodniczący kółka dramatycznego. Talent nie zawsze zjawia się tam, gdzie według ciebie powinien.

Obejrzeliliśmy Samuraja (Le Samourai, 1967) z Alainem Delo-

nem, podziwialiśmy przez: Lauren Bacall w Wielkim śnie {The Big Sleep, 1946) i, oczywiście, wspaniałego Clinta Eastwooda (bardziej spokojny od niego jest tylko trup) w Za garść dolarów {A Fistful of Dollars, 1964). O Clincie można by mówić bardzo długo. Zacząłem od wymienienia pięciu rzeczy, które u niego kocham:

1. Kocham sposób, w jaki w Za garść dolarów pokazuje cztery palce trumniarzowi i mówi: „Pomyliłem się. Jednak zrób cztery trumny”.

2. Kocham to, że - jak to opisał brytyjski krytyk David Thomson - gdy w 1993 roku w London's National Film Theatre Clint usiadł obok księcia Karola, każdy dobrze wiedział, kto jest prawdziwym królem.

100

3. Kocham to, że gdy Clint jest reżyserem jakiegoś filmu, nigdy nie krzyczy: „Akcja”. Po prostu spokojnie i cicho mówi: „Zaczynamy, jak będziecie gotowi”.

4. Kocham oglądać scenę z Bez przebaczenia (Unforgiven, 1992), w której Clint spada z konia.

5. Kocham postać Brudnego Harry'ego, kiedy idzie ulicą San Francisco, w jednej ręce trzymając pistolet, w drugiej - hot doga.

Opowiedziałem Jessemu o krótkiej rozmowie z Williamem Goldmanem, którą przeprowadziłem na jakiejś imprezie. Jest on autorem scenariusza do filmu Butch Cassidy i Sundance Kid (Butch Cassidy and the Sundance Kid, 1969), napisanego dla Eastwooda. Goldman uwielbiał Clinta.

„Jest najlepszy - powiedział mi. - Absolutny profesjonalizm w świecie zdominowanym przez ego. U Eastwooda - kontynuował - przychodzisz do pracy, robisz co twoje, idziesz do domu; przeważnie praca kończy się wcześniej, ponieważ Clint chce jeszcze pograć w golfa. I je lunch w restauracji razem ze wszystkimi". Zaproponowany Clintowi w 1964 roku scenariusz do Za garść dolarów krążył już wcześniej po innych aktorach. Charles Bronson odmówił, bo był to najgorszy scenariusz, jaki widział w życiu. James Coburn nie chciał zagrać w filmie, ponieważ miał on być kręcony we Włoszech, a o włoskich reżyserach Coburn słyszał same złe rzeczy. Clint przyjął scenariusz za piętnaście tysięcy dolarów, ale - podkreśliłem to przed Jessem - nalegał na jego skrócenie, ponieważ byłby bardziej interesujący, gdyby bohater tyle nie mówił.

— Masz pomysł, dlaczego tak uczynił? — spytałem.

— No jasne. O facecie, który nie mówi, można sobie wyobrazić dosłownie wszystko. — powiedział Jesse. — W chwili gdy otworzy usta, kurczy się o kilka rozmiarów.

101

— Właśnie.

Po kilku sekundach namysłu dodał:

— Fajnie byłoby być takim w prawdziwym życiu.

— W jakim sensie?

— Nie mówić tyle. Być bardziej tajemniczym. Dziewczyny to lubią.

— Niektóre tak, niektóre nie — odpowiedziałem. — Ty jesteś

gadują. Część kobiet lubi gaduły.

Zanim Eastwood obejrzał gotowy film, minęły trzy lata. Do tej pory zdążył już prawie całkiem o nim zapomnieć. Na prywatny pokaz zaprosił kilku kumpli i powiedział:

— Prawdopodobnie będzie to gówniany film, ale obejrzyjmy go.

Po kilku minutach jeden ze znajomych powiedział:

— Clint, to jest całkiem niezłe.

Za garść dolarów ożywił westerny, które stały się swego rodzaju domem starców dla starzejących się gwiazd filmowych.

Po obejrzeniu filmu spytałem Jessego, czy ma wystarczająco dużo cierpliwości, byśmy ponownie obejrzeliby scenę z liną z Jamesem Deanem z Olbrzymia. Dean otoczony przez eleganckich biznesmenów, próbujących namówić go na sprzedanie Rock Hudson za leżące na stole tysiąc dwieście dolarów.

— To dużo kasy, chłopcze. — Dean po prostu siedzi i zupełnie się nie rusza. — Kto kradnie scenę? — pytam. — Kto kradnie cały film?

Urządzam również najazd na telewizję - Edward James Olmos jako ubrany na czarno kapitan policji w Policjantach z Miami [Miami Vice, 1984-1989). Powiedziałem:

— Jest to głupie, nieprzekonujące show, ale obserwuj Olmosa - wygląda to prawie jak sztuczka. Przez to, że się nie porusza, zdaje się mieć jakąś tajemnicę.

— Jaką?

— Bezruch wywołuje właśnie takie wrażenie. Nie ma żadnej tajemnicy. Można tylko domniemywać, że ona istnieje — powiedziałem. Zacząłem wpadać w manierę krytyka win.

Wyłączyłem DVD.

— Chętnie obejrzałbym resztę Policjantów z Miami— powiedział Jesse. — Mogę?

Podczas gdy w (coraz większym z każdym dniem) kondominium po drugiej stronie ulicy budowlańcy walili, piłowali i lutowali, ja i Jesse obejrzeliśmy trzy kolejne odcinki Policjantów z Miami. W pewnej chwili przed naszym oknem przeszła sąsiadka Eleanor. Próbowała dojrzeć, co się dzieje w środku. Zastanawiałem się, co ona sobie myślała każdego dnia, widząc nas obu przed telewizorem. Czułem dziwną potrzebę pobiegnięcia do niej i powiedzenia, że nie oglądamy telewizji, tylko filmy. Ostatnimi czasy, zauważyłem, dość często usprawiedliwiałem się, jeśli chodziło o Jessego, co mogło wydawać się dosyć irytujące.

Z salonu widziałem Rebekeę Ng, która wychodziła z parkingu.

Białe dżinsy, biała, dżinsowa kurtka, bladozielona koszulka, luźno opadające czarne włosy. Stojący pod kościołem budowlańcy dawali sobie znaki i jeden po drugim znajdowali pretekst, by na nią spojrzeć, gdy przechodziła obok nich. Stado szarych gołębi wzbiło się w powietrze i odleciało na zachód.

Studiowaliśmy teraz nowe kino niemieckie. Tego dnia oglądaliśmy Aguirre, gniew boży (Aguirre, derZorn Gottes, 1972). (Wcześniej

przygotowałem Jessego na scenę, w której konkwistador kładzie palce na znajdującej się na skale plamie krwi).

Czasami odkrywałem niektóre sprawy na pół godziny przed włączeniem filmu. Jesse był na zewnątrz. Męczył go kac. Nic nie powiedział, ale wyczułem to, gdy wszedł po schodach. Jeden z jego

103

przyjaciół, Morgan, dzień wcześniej wyszedł z więzienia (trzydzieści dni za zadane obrażenia ciała) i wpadł do nas. O czwartej nad ranem musiałem go delikatnie wyprosić z domu i posłać Jessego do łóżka.

Była to cienka granica cheznous i czasami czułem, jakbym bro- nił się przed chaosem, bałaganem i lekkomyślnością. Zdawało mi się, że dookoła naszego domu rośnie dżungla, że niedługo przez okna, spod drzwi i z piwnicy wtargną do nas gałęzie i pnącza. Jesse rzucił szkołę ponad rok temu (teraz miał już siedemnaście lat) i jak na razie nie było żadnych oznak chęci wejścia po schodach i wzię- cia się ze światem za bary.

Wciąż jednak mieliśmy swój klub filmowy. Żółte karteczki na lodówce, przekreślone tytuły obejrzanych filmów uspoka- jały mnie, że przynajmniej coś się działo. Nie miałem złudzeń. Wiedziałem, że nie zapewniałem mu systematycznej edukacji filmowej. Nie o to chodziło. Równie dobrze mogliśmy oddać się nurkowaniu czy zbieraniu znaczków. Filmy były po prostu okazją do wspólnego spędzania setek godzin, a oprócz tego tworzyły punkt zaczepienia dla rozmów na wszelkie tematy - dotyczące Rebeki, preparatu Zoloft, nici dentystrycznej, Wietnamu, impo-

tencji, papierosów.

Czasami pytał o ludzi, z którymi przeprowadzałem wywiady:

jaki był George Harrison? (Miły facet, chociaż gdy słyszało się akcent z Liverpoolu, ciężko było nie zacząć skakać i krzyknąć: „Byłeś w the Beatles. Musiałeś mieć mnóstwo groupies!”);

Ziggy Marley (syn Boba, ponury, mały kutas najgorszego

typu); Harvey Keitel (świetny aktor, ale z mózgiem niczym nie-
dogotowana wieprzowina); Richard Gere (klasyczny przykład

aktora pseudointelektualisty, który jeszcze się nie zorientował,

że ludzie słuchają go dlatego, że jest gwiazdą filmową, a nie dla-

tego, że jest taki mądry); Jodie Foster (jakbyś starał się włamać

do Fort Knox); Dennis Hopper (z niewyparzoną gębą, zabaw-

ny, świetny facet); Vanessa Redgrave (ciepła, posągowa, jakbyś

104

rozmawiał z królową); angielski reżyser Stephen Frears (kolejny

Brytyjczyk, który nie wie, kiedy przystopować z wodą po gole-

niu. Nic dziwnego, że żadna kobieta nie chce mu położyć głowy

na kolanach); Yoko Ono (wciąż się usprawiedliwia, jest kłująca

i ostra, a zapytana o swój najnowszy „projekt”, odpowiedziała:

„Czy zadałbyś takie pytanie Bruce'owi Springsteenowi?”); Robert

Altman (gadatliwy, wykształcony, wyluzowany; nic dziwnego,

że aktorzy są gotowi pracować u niego za symboliczną opłatą);

amerykański reżyser Oliver Stone (bardzo męski, mądrzejszy niż

scenariusze, które pisze; „Wojna i pokój. Jezu, co to za pytanie?

Jest dziesiąta rano!”).

Rozmawialiśmy o latach 60., o Beatlesach (może zbyt często, ale cierpliwie to znosił), o dobrym i złym pićiu, o Rebecce („Myślisz, że ze mną zerwie?”), Adolfie Hitlerze, Dachau, Richardzie Nixonie, niewierności, Trumanie Capocie, pustyni Mojave, Suge'u Knighcie, lesbijkach, kokainie, stylu heroin chic, Backstreet Boys (mój pomysł), tatużach, Johnnym Carsonie, Tupacu (jego pomysł), sarkazmie, podnoszeniu ciężarów, rozmiarze penisa, francuskich aktorach i E. E. Cummingsie. Cóż to był za czas! Być może czekałem na pracę, ale nie czekałem na życie. Było przy mnie, tuż obok, siedziało na wiklinowym krześle.

Wiedziałem, że to, co się dzieje, było cudowne-nawet

jeśli miałem świadomość, że na końcu ulicy czekała na nas meta.

Teraz, gdy Maggie zaprasza mnie do swojego domu na kolację,

z sentymentem zatrzymuję się na ganku. Wiem, że później przyj-

dziemy tutaj razem z Jessem i filizankami z kawą, ale to nie będzie

to samo co za czasów klubu filmowego. Co ciekawe, reszta domu,

kuchnia, sypialnia, salon i łazienka nie robią na mnie takiego wra-

żenia. Nie czuję tu żadnego echa tamtych czasów. Najważniejszy

jest ganek.

Ale na czym to ja... ? Aha, tego pięknego, wiosennego popołu-

dnia przyszła do nas Rebecca.

105

Lekko weszła po schodach; Jesse nie wstał. Nastąpiła między

nimi wymiana gestów; dziewczyna stała z rękami w kieszeniach

kurtki, wyraz jej twarzy był podobny do tego, który ma stewardesa

myśląca, że właśnie usłyszała nieprzyjemne słowa, ale nie jest pewna, czy dobrze je zrozumiała. Grzeczny, lecz ostrożny uśmiech. Działo się coś dziwnego. Z daleka widziałem jednego z budowlańców, który trzymając drabinę, zastygł w bezruchu i patrzył w tę stronę. Otworzyli drzwi i weszli do środka.

— Witaj, Davidzie — powiedziała Rebecca.

Spełniała swój obowiązek z wesołością. Albo chciała, żeby w ten sposób odbierano jej zachowanie.

— Jak się pan dzisiaj czuje? — spytała.

Znowu mnie zaskoczyła.

— Jak się czuję? Nie myślałem o tym. Wydaje mi się, że dobrze. Jak było w szkole?

— Mamy kilka dni wolnego, więc pracuję w Gap.

— Rebeko, pewnego dnia będziesz rządzić całym światem.

— Po prostu lubię mieć swoje pieniądze — odparła. (Czy to był zarzut?). Jesse stał za nią.

— Miło znowu cię widzieć, Rebeko.

— Pana też, Davidzie. — Nidy nie zwróciła się do mnie per „panie Gilmour”.

Zeszli na dół.

Poszedłem na piętro, włączyłem komputer i po raz trzeci tego dnia sprawdziłem wiadomości. Maggie była ostatnią osobą na świecie, która używała jeszcze połączenia dial-up, zawsze musiałem więc czekać, wysłuchując bzyczenia, miauczenia i pisków, zanim połączyłem się z internetem.

Przeczytałem poranną gazetę online. Spojrzałem w okno i ujrzałem naszą sąsiadkę Eleanor kopiącą motyką w swoim ogródku. Przygotowywała się do nowego sezonu siewnego. Jej wiśnia pięknie zakwitła. Po chwili wyszedłem na schody. Słyszałem szmer

106

głosów dochodzący z piwnicy. Ożywiony głos Rebeki; potem jego głos, dziwnie poważny, zbyt monotony, jakby sztucznie wydobywany z piersi. Jakby przybrał jakąś pozę.

Zapadła cisza, następnie usłyszałem kroki dwóch osób. Żadnych słów. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły ostrożnie, jakby ktoś nie chciał mi przeszkadzać. Zszedłem na dół, by zobaczyć się z Jessem. Miał ponury wyraz twarzy, był pochylony do przodu. Z daleka zobaczyłem niewielką postać Rebeki, która zniknęła na końcu parkingu. Budowlańcy odwrócili głowy w jej stronę.

Usiadłem na krześle. Skrzyknięcie. Przez chwilę po prostu siedzieliśmy. Potem spytałem:

— Co się dzieje?

Jesse odwrócił się ku mnie, zasłaniał oczy ręką. Zastanawiałem się, czy płakał.

— Właśnie ze sobą zerwaliśmy.

Tego się bałem. Nowy chłopak z samochodem, szpanerskim mieszkaniem, makler albo młody adwokat.

O wiele lepszy odbiorca zawodowych ambicji Rebeki.

— Co powiedziała? — spytałem.

— Że beze mnie umrze.

Przez chwilę myślałem, że źle usłyszałem.

— Co powiedziała?

Powtórzył.

— To ty rzucisz Rebeke?

Kiwnął głową.

— Dlaczego?

— Wydaje mi się, że o jeden raz za dużo przyszła, by pogadać o naszym związku.

Długo patrzyłem na jego bladą twarz i oczy rzucające mgliste spojrzenia. Po chwili spytałem:

— Przepraszam, ale muszę o to spytać. Czy masz dzisiaj kaca?

107

— Tak, trochę, ale to nie ma z tym nic wspólnego.

— O Jezu.

— Naprawdę, tato, to nie ma nic do rzeczy.

Ostrożnie zacząłem mówić.

— Jesse, przez te wszystkie lata nauczyłem się, że nie powinno się podejmować życiowych decyzji pod wpływem alkoholu. —

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć. — Nawet pod pośrednim wpływem alkoholu. Na przykład będąc na kacu.

Gapił się przed siebie.

— Czy możesz to jakoś cofnąć? — spytałem.

— Nie chcę.

Popatrzył na ekipę budowlaną. Wyglądało to tak, jakby jej wi-

dok dodał mu sił.

— Dobrze, powiem coś, a ty zrobisz to, co będziesz uważał za stosowne, możemy się tak umówić? — zaproponowałem.

— Tak.

— Gdy zostawiasz kobietę, dzieją się rzeczy, o których myślisz, że nie mają znaczenia.

Ale potem go nabierają, okazuje się, że stają się bardzo ważne.

— Masz na myśli innych chłopaków?

— Nie chcę być brutalny, ale jest kilka czynników, które należy wziąć pod uwagę przed zerwaniem z kimś. A jednym z nich, bardzo ważnym, jest to, że osoba porzucona kiedyś z kimś będzie.

A to, wierz mi, może być niemiłym przeżyciem.

— W jakim sensie niemiłym?

— Przykrym. W tym przypadku bardzo przykrym.

— Wiem, że Rebecca będzie miała innego chłopaka, jeśli to masz na myśli.

— Tak? Naprawdę o tym myślałeś?

— Tak.

— Mogę ci opowiedzieć pewną historię?

— Jasne.

108

Wyglądał, jakby już był w rozterce. Jezu, pomyślałem. To przecież dopiero początek.

— W szkole miałem przyjaciela — zacząłem. — Właściwie to go znasz. Mieszka na Zachodnim Wybrzeżu. Arthur Cramner.

— Lubię Arthura.

— No tak, wielu ludzi go lubi. Częściowo to właśnie stanowiło problem. Miałem kiedyś dziewczynę - dawno temu; byłem może kilka lat starszy niż ty teraz. Nazywała się Sally Buckman. Pewnego dnia zwierzyłem się Arthurowi - był moim najlepszym przyjacielem - „Myślę, że zerwę z Sally”. A on powiedział: „Tak?”. Lubił ją. Uważał, że była seksowna. Bo była. Zapewniłem go: „Jeśli chcesz się potem spotykać z Sally, to nie ma problemu”. Wierzyłem w to. Nie chciałem już z nią być. Kilka tygodni, może miesiąc później zerwałem więc z Sally Buckman i wyjechałem na weekend do leżącego nad jeziorem domku znajomego. Słuchasz mnie jeszcze?

— Tak.

Mówiłem dalej.

— W tym czasie razem z Arthurem graliśmy w niewielkim zespole; ja na perkusji, on śpiewał i grał na harmonijce ustnej; uważaliśmy siebie za gwiazdy rocka. Wąskie w biodrach i nie do powstrzymania. Owej niedzielnej nocy wróciłem do miasta z domku, w którym spędziłem weekend na gotowaniu korzeni marihuany, wieszaniu ich do góry nogami i nietęsknieniu ze Sally. W sumie to poczułem ulgę, że jej nie ma. Udałem się prosto na próbę zespołu. Był na niej również Arthur. Kochany, sympatyczny Arthur Cramner, grający na harmonijce ustnej, żartujący z basistą, świetny facet. Arthur. Przez całą próbę patrzyłem na niego, chciałem go spytać: „Czy przez weekend widział Sally?”. Nie miałem jednak takiej szansy. Zrobiłem się niespokojny. Ciekawość

przekształciła się w coś, czego się obawiałem. Próba się kończy, pozostali wychodzą, a ja siedzę w samochodzie z Arthurem. W końcu odwracam się do niego i pytam z ożywieniem:

109

„Jak tam, widziałeś Sally w ten weekend?“. Słyszę bardzo wesołą odpowiedź: „Tak“, jak gdybym zadał interesujące pytanie, na które on ma interesującą odpowiedź. Mówię więc - a słowa padają same z siebie - „Czy coś się wydarzyło?“. A on uroczyście odpowiada: „Tak“. Powiem ci, Jesse, czułem się tak, jakby ktoś dziesięciokrotnie przyspieszył film.

Świat zaczął gnać jak szalony. Ledwo udało mi się kiwnąć głową. Powiedział: „Masz, poczęstuj się fajką“. Co w pewien sposób dodatkowo pogorszyło sprawę. Zacząłem wyrzucać z siebie potoki słów, że ze mną „wszystko“ w porządku, życie jest dziwne, a rzeczy niezwykle szybko się zmieniają. Potem poprosiłem, żeby podrzucił mnie do Sally. Wysadził mnie przed jej mieszkaniem na Brunswick Street. Wciąż pamiętam numer ulicy. Wbiegłem po schodach tak szybko, jakby wybuchł pożar, i kołatałem w drzwi; Sally wyszła do mnie w szlafroku, wyglądała, jakby to określić, jednocześnie na wyrachowaną i zalęknioną. Na zasadzie: „Ach, więc w paczce, którą ci wysłałam, była bomba?“.

Skończyłem więc cały we łzach, mówiąc jej, jak bardzo ją kocham, że „urząłem światło“. I takie tam. Wyrzuciłem z siebie potok słów. Oczywiście myślałem, że rzeczywiście tak uważam. Rozumiesz, o co mi chodzi? Wróciliśmy więc do siebie. Kazałem jej postawić sprawę

jasno i opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło. Zrobiłaś to, zrobiłaś tamto? Obrzydliwe pytania, obrzydliwe odpowiedzi. — (W tym momencie Jesse się zaśmiał). — Miesiąc zajęło mi przypomnienie sobie, jaka z niej kula u nogi, potem znowu ją rzuciłem. Tym razem na dobre. Najpierw jednak upewniłem się, że Arthura nie ma akurat w mieście. Miałem przeczucie, że Sally zacznie stosować swoje stare sztuczki, i nie chciałem, żeby znajdował się w pobliżu.

— Stosowała te sztuczki?

— Tak. Poszukała mojego pomyłonego brata i przeleciała go. Ta kobieta to chodzący kataklizm, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że czasami po prostu nie wiesz, jak będziesz się z czymś czuł,

110

dopóki nie będzie zbyt późno. W tych kwestiach nie należy być zbyt pochopnym.

Eleanor zeszła ze swojej werandy i wrzuciła butelkę po winie do pojemnika do segregacji odpadów. Spojrzała na ulicę z umęczonym wyrazem twarzy, jakby ujrzała coś, co jej się nie spodobało, deszczowe chmury albo wandalii, potem złapała nas wzrokiem.

— Och. — Podskoczyła. — Witam was. Jak widzę, siedzicie w swoim biurze. — Wściekle wyszczerzenie zębów.

Jesse poczekał, aż sobie poszła.

— Nie wydaje mi się, żeby któryś z moich kumpli miał zamiar umówić się z Rebeką.

— Chodzi o to, Jesse, że ona zacznie się spotykać z kimś i, za-

ufaj mi, postara się, żebyś się o tym dowiedział. Myślałeś o tym?

Powiedział do mnie tym dorosłym, o ton niższym niż zwykle głosem:

— Myślę, że przez kilka tygodni będzie kiepsko, a potem się do tego przyzwyczaję.

Ja jednak nalegałem.

— Okej, to powiem jeszcze tylko jedno i się zamknę. Możesz to odkręcić. W tej chwili możesz złapać za słuchawkę, z powrotem ją tutaj sprowadzić i zaoszczędzić sobie kiepskiego samopoczucia. — Odczekałem chwilkę, żeby moje słowa zostały dobrze zrozumiane. — Chyba że już jej nie chcesz.

Chwila ciszy.

— Już jej nie chcę.

— Jesteś pewien?

Spojrzał niepewnie na kościół, na chodzących u jego podstawy ludzi. Myślałem, że może rozpatruje całą sytuację na nowo. A on powiedział:

— Myślisz, że to, że płakałem, było niemęskie?

— Co?

— Gdy zrywaliśmy. Ona też płakała.

— Ja myślę.

— Ale nie myślisz, że zachowuję się jak dzieciak czy coś?

— Myślę, że jeśli byś nie płakał, byłoby z tobą coś nie w porządku, byłbyś w pewien sposób chłodny i nieprzyjemny.

Przejechał samochód.

— Czy kiedykolwiek płakałeś z powodu dziewczyny? — spytał.

— Pytanie powinno brzmieć, czy istnieje dziewczyna, przy której nie płakałem — odpowiedziałem.

Gdy usłyszałem jego śmiech, gdy ujrzałem, tylko przez chwilę, że z jego twarzy znika zmartwienie (jakby wiatr zdmuchiwał popiół z pięknego stołu), poczułem ulgę, minęły delikatne mdłości, które odczuwałem. Gdybym tylko mógł go takiego zatrzymać, pomyślałem sobie. Widziałem jednak obrazki z przyszłości, budzącego się Jessego o trzeciej w nocy, rozmyślającego o niej, o betonowej ścianie, na którą pędził z zawrotną prędkością.

Ale nie w tej chwili. W tej chwili siedzieliśmy na ganku, dręczące go duchy wyfrunęły na moment z piwnicy, do której wrócić, wiedziałem o tym. Chciałem mu jeszcze raz pokazać Ostatnie tango w Paryżu, ale teraz wydawało mi się, że to kiepski pomysł.

Scena z masłem mogła wywołać różne niemiłe wyobrażenia.

Co było dalej? Tootsie (1982) - zbyt romantyczny; Wania na 42 ulicy (Vanya on 42nd Street, 1994) zbyt rosyjski; Ran (1985) zbyt dobry, żeby ryzykować, że w tej chwili nie przykuje jego uwagi. Znalazłem w końcu to, czego szukałem, film, który sprawia, że ma się ochotę wziąć strzelbę i władować kilka pocisków w drzwi własnego samochodu. Film w stylu „możecie mi wszyscy naskoczyć”.

Płytę DVD ze Złodziejem (Thief, 1981) Michaela Manna wsunąłem do odtwarzacza, jakbym ładował broń. Napisy początkowe (jedne z najlepszych w historii, w tle widać dwóch mężczyzn roz-

walających sejf). Muzyka Tangerine Dream, jakby przez szklane

112

rurki płynęła woda. Pastelowa zieleń, elektryzujący róż, neonowy błękit. Zwróć uwagę na to, w jaki sposób robiono ujęcia całej maszyny, powiedziałem, ta miłość, z którą oświetlono i ukazano lampy lutownicze oraz wiertła; kamera skupia się na nich niczym stolarz oglądający swoje narzędzia.

Potem oczywiście pojawia James Caan. To jego najlepsza rola.

Zwróć uwagę na moment, w którym wchodzi do biura faceta wypożyczającego pod zastaw, by zdobyć trochę pieniędzy, a lichwiarz udaje, że nie wie, o czym jest mowa. Zobacz, jaką Caan robi przerwę. Jakby był tak wściekły, że musi wziąć oddech, by wydobyć z siebie zdanie. „Jestem ostatnim facetem na ziemi, z którym chcesz mieć problemy”- mówi.

— Zapnij pasy — powiedziałem — zaczynamy.

Rebecca powróciła następnego popołudnia. Bardzo starannie dobrała strój, czarna jedwabna bluzka z małymi, złotymi guzikami, czarne dżinsy. Po raz ostatni pozwoliła Jessemu popatrzeć na deser, zanim zamknęła go pod kluczem. Usiedli na ganku i odbyli lakoniczną rozmowę. Waliłem garnkami w kuchni, puściłem głośno radio. Chyba nawet nuciłem pod nosem.

Rozmowa nie trwała długo. Gdy zakradłem się do salonu („tylko odkurzając”), żeby zerknąć, jak sprawy stoją, ujrzałem dziwną scenę. Jesse siedział pochylony do przodu na swoim plecionym krześle, przybrał pozę ukazującą zaniepokojenie, jakby

czekał na ostatnie miejsce w autobusie. Niżej, na chodniku, stała ożywiona Rebecca (teraz wydawała się pająkiem - czarną wdową) i rozmawiała z grupką chłopaków, kumpli Jessego, którzy go odwiedzili. Sposób zachowania Rebeki prezentował pełen wdzięku i radości spokój, nie wyglądała na kogoś, kto właśnie został bezapelacyjnie odrzucony, uświadomiłem sobie, że było

113

w niej coś niebezpiecznego. Przyszło mi na myśl, że Jesse był silniejszym egzemplarzem ode mnie.

Ja nigdy nie potrafiłbym odejść od tak ładnej dziewczyny, zrezygnować z narkotycznej przyjemności posiadania dziewczyny piękniejszej od wszystkich innych. Było to małostkowe, przerażające i żalosne, wiem. Wiem.

Wkrótce na ganku zaroilo się od kolegów. Rebeki już nie było. Zawołałem Jessego do domu i łagodnie zamknąłem drzwi. Powiedziałem cicho:

— Uważaj na to, co im mówisz, dobrze?

Jego blada twarz zwróciła się ku mnie. Poczułem, że z wrażenia się spocił.

— Wiesz, co mi powiedziała? „Nigdy już mnie nie zobaczysz”.

Machnąłem na to ręką.

— I dobrze. Ale obiecaj mi, że będziesz uważał na to, co mówisz.

— Pewnie, pewnie — odparł szybko, ale ze sposobu, w jaki to powiedział, wywnioskowałem, że już zdążył powiedzieć zbyt

wiele.

Rozdział 8

Urządziliśmy sobie festiwal horrorów. Gdy dzisiaj o tym myślę, widzę, że nie było to zbyt delikatne z mojej strony - Jesse był prawdopodobnie bardziej wrażliwy, niż twierdził- chciałem jednak zaofiarować mu coś, co nie pozwoliłoby na przypadkowe, melancholijne introspekcje, zazwyczaj wywoływane przez mniej wymagające filmy.

Zacząłem od Dziecka Rosemary (Rosemary's Baby, 1968), gotyckiego koszmaru opowiadającego o mieszkance Nowego Jorku (Mia Farrow), zapłodnionej przez Szatana. Powiedziałem do Jessego:

— Zwróć uwagę na słynne ujęcie starej kobiety - Ruth Gordon - rozmawiającej przez telefon. Z kim rozmawia? Najważniejsza jest jednak konstrukcja samego ujęcia. Do połowy kobietę zasłaniają drzwi. Dlaczego nie widzimy jej całej? Czy reżyser, Roman Polański, popełnił błąd, czy chciał osiągnąć jakiś efekt?

Opowiadam Jessemu trochę o tragicznym życiu Polańskiego; o śmierci jego matki w Auschwitz, gdy był małym chłopcem; o jego małżeństwie z Sharon Tate, która została zamordowana przez uczniów Charlesa Mansona, gdy była w ósmym miesiącu ciąży; i ostatecznie o ucieczce reżysera ze Stanów Zjednoczonych po oskarżeniu go o gwałt na trzynastolatce.

Jesse spytał:

— Myślisz, że za seks z trzynastolatką powinno się iść do więzienia?

— Tak.

— Nie wydaje ci się, że to zależy od trzynastolatki? Znam dziewczyny w tym wieku, które są bardziej doświadczone niż ja.

— Nieważne. To wbrew prawu i powinno być karalne.

Zmieniając temat, wspomniałem o ciekawym fakcie: gdy Polański wjeżdżał w bramę Paramount Pictures pierwszego dnia kręcenia Dziecka Rosemary - będącego bardzo ważną produkcją filmową z prawdziwymi gwiazdami: Mią Farrow i Johnem Cassavetesem, którzy byli dowodami na to, że mu się „udało” - poczuł dziwne rozczarowanie. Przeczytałem Jessemu fragment z autobiografii reżysera: „Miałem do dyspozycji sześćdziesięciosobową ekipę techniczną i od powiadałem za ogromny budżet- ogromny w porównaniu z tym, jakim do tej pory dysponowałem - ale myślałem tylko o bezsennej nocy wiele lat wcześniej w Krakowie, w przeddzień rozpoczęcia pierwszej krótkometrażówki Rower. Nigdy już nie odczuję tak silnych emocji; nigdy rzeczywistość nie dorówna marzeniu”³.

— Jakie wnioski płyną z tej historii?

— Sprawy nie zawsze mają się tak, jak je sobie wyobrażamy.

— I co jeszcze?

— Że być może teraz jest się szczęśliwszym, niż się nam wydaje.

— Zawsze myślałem, że moje życie zacznie się, gdy skończę studia. Potem myślałem, że zacznie się, gdy wydam powieść albo stanę się sławny, albo wymyślałem jeszcze inną głupotę.

Wyznałem, że pewnego razu mój brat powiedział mi zadziwia-

jącą rzecz - że według niego jego życie zacznie się dopiero po pięćdziesiątce.

— A ty? — spytałem Jessego. — Jak myślisz, kiedy zacznie się twoje życie?

3 Roman Polański, Roman by Polański (tytuł polskiego przekładu: Roman, przeł.

K. i P. Szymanowscy, Wydawnictwo Polonia, Warszawa 1989).

116

— Moje?

— Tak. Twoje.

— Nie wierzę w takie rzeczy — odparł, wstając w porywie podekscytowania, podekscytowania pomysłami. — Wiesz, co myślę na ten temat? Uważam, że życie zaczyna się w chwili twoich narodzin.

Stał na środku salonu, prawie się trząsał.

— Myślisz, że to prawda? Że mam rację?

— Uważam, że jesteś bardzo mądrym człowiekiem.

A on w geście niekontrolowanej radości nagle klasnął w dłonie, plask!

— Wiesz, co ja myślę? — powiedziałem. — Myślę, że powinienś iść na uniwersytet. Tam właśnie tak robią. Siedzą i gadają o takich sprawach. Tyle że w przeciwieństwie do tego salonu, w którym znajduje się tylko twój ojciec, są tam miliony dziewczyn.

Na te słowa podniósł głowę.

— Naprawdę?

I tak samo jak pierwszego dnia przy Czterystu batach - czyli

wieki temu! - wiedziałem, że w tym momencie należy skończyć temat.

Następnie pokazałem mu Ojczyzna (The Stepfather, 1987), niskobudżetowy film z głupiutkim wątkiem pobocznym, ale poczekał tylko na scenę, w której agent nieruchomości - właśnie zaszlachtował swoją rodzinę - oprowadza kupca po pustym domu; zwróć uwagę na wyraz jego twarzy, gdy powoli się orientuje, że nie rozmawia z klientem, lecz z terapeutą - ta scena jest niesamowita! Potem obejrzelśmy Tekszańską masakrę piłą mechaniczną (The Texas Chain Saw Massacre, 1974), kiepsko zagrany film, ale tak bardzo wypełniony grozą i terrorem, że pomysł na niego

117

mógł powstać jedynie w podświadomości; następnie obejrzelśmy wczesny film Davida Cronenberga Dreszcze (Shivers, 1975). Nieudany eksperyment naukowy z pasożytami, który sięje spustoszenie w eleganckim wieżowcu w Toronto. Na korytarzach czają się maniacy seksualni. Dreszcze były pierwowzorem nakręconej później sceny z eksplodującym brzuchem w filmie Obcy - ósmy pasażer Nostromo (Alien, 1979). Kazałem Jessemu czekać na finałowe, niepokojące ujęcie, ukazujące podobne do larw samochody, które wypełzają z apartamentu, by szerzyć chaos. Jest to film niskobudżetowy, o dziwnej erotyce, zapowiadający niespotykaną wrażliwość Cronenberga: mądrego faceta o brudnym umyśle.

Przeszliśmy do Psychozy Hitchcocka (Psycho, 1960). Jednym

ze znaków, że film wywarł na tobie głębokie wrażenie, jest to, że pamiętasz, kiedy go widziałeś. Psychozę oglądałem w Nortown Theater w Toronto w 1960 roku, czyli w roku jej premiery. Miałem jedenaście lat i uważałem nawet, że nienawidzę horrorów, i to z gwałtownością, która niepokoiła moich rodziców, tym razem jednak poszedłem do kina, ponieważ Psychozę chciał obejrzeć mój najlepszy przyjaciel, dzieciak ze skórą tak grubą jak u nosorożca. Są chwile, w których jesteś tak przerażony, że aż sparaliżowany, a przez twoje ciało przepływa prąd, jak gdybyś włożył palce w kontakt w ścianie. To właśnie działo się ze mną podczas kilku scen z Psychozy: nie chodzi o samą scenę z prysznicem, wtedy schowałem głowę w ramiona, ale o scenę tuż przed, gdy przez zasłonę prysznica widzisz, że coś weszło do łazienki. Pamiętam, jak tego letniego popołudnia wyszedłem z Nortown Theater i stwierdziłem, że ze światłem słonecznym jest coś nie tak. Wspomniałem Jessemu, że film został nakręcony i oświetlony w taki sposób, aby sprawiał wrażenie niskobudżetowego i tandetnego. Zasugerowałem również, że Psychoza była dowodem na to, iż także dzieło sztuki może mieć wady.

118

Przez chwilę nie mówiłem dlaczego. (Myślałem o tym strasznym, przegadany zakończeniu, ale chciałem, żeby Jesse sam to zauważył).

Następnie przeszliśmy do dość mało popularnego filmu Kobiety-diable (Onibaba, 1964). Nakręcony w baśniowej scenerii trzciny

i żuław czternastowiecznej Japonii z czasów feudalnych czarno-biały horror opowiada historię kobiety i jej synowej, które utrzymują się z mordowania zbłąkanych żołnierzy i sprzedawania ich broni. Jednak prawdziwym tematem przewodnim jest seks, jego nieprzeparty czar i przemoc, którą może wywołać u kogoś, kto zbyt się w nim zatraci. Gdy opowiadałem o filmie, spostrzegłem, że uwaga Jessego powędrowała gdzieś do wewnątrz. Myślał o Rebecce, o tym, co zamierzała zrobić, z kim i gdzie.

— O czym myślisz? — spytałem.

— O O.J. Simpsonie — odpowiedział. — Pomyślałem sobie, że gdyby poczekał sześć miesięcy, nie obchodziłoby go już, z kim była jego żona.

Ostrzegłem Jessego, żeby przygotował się na straszną scenę, w której stara kobieta próbuje zerwać z twarzy maskę diabła (maska skurczyła się na deszczu). Kobieta zrywają, ciągnie i szarpie, po jej szyi sploty krew, jej synowa rozbija maskę ostrym kamieniem, łup, łup, łup. Wspominam, że ta właśnie maska zainspirowała potem Williama Friedkina podczas tworzenia fizycznego portretu diabła w wielkim szlemie wszystkich horrorów, najstraszniejszym filmie wszech czasów, Egzorcysty {The Exorcist, 1973}. Film ten był następnym na liście i naprawdę nas wykończył.

Gdy po raz pierwszy obejrzałem Egzorcystę, miałem dwadzieścia trzy lata. Film przestraszył mnie tak bardzo, że uciekłem z kina po trzydziestu minutach. Kilka dni później spróbowałem ponownie. Udało mi się wytrzymać do połowy, ale gdy dziewczynka po-

woli odwrócić głowę przy dźwiękach pękających ścięgien, poczułem, że w żyłach ścina mi się krew, i zwałem po raz drugi.

119

Całość udało mi się obejrzeć za trzecim razem. W niektórych momentach patrzyłem przez palce i zatykałem uszy kciukami.

Dlaczego wciąż wracałem do tego obrazu? Miałem przeczucie, że był to „światny film”- nie pod względem intelektualnym, nie jestem pewien, czy reżyser w ogóle dbał o pomysły w nim zawarte, ale pod względem jedyne w swoim rodzaju mistrzowskiego osiągnięcia. Było to dzieło niezwykle utalentowanego reżysera, który był u szczytu swojej artystycznej dojrzałości.

Podkreśliłem również, że Friedkin, który niewiele wcześniej nakręcił Francuskiego łącznika (The French Connection), był według wielu relacji despotą i skrajnym psychopatą. Załoga mówiła o nim „Wacky Willie”, „szalony Willie”. Był on przedstawicielem starej szkoły, krzyczał na ludzi, często się pieniał, rano zwalniał ekipę, a po południu ponownie przyjmował ją do pracy. Potrafił strzelić w powietrze z pistoletu, żeby wystraszyć aktorów, lub puszczał dziwne taśmy - z odgłosami południowoamerykańskich rzekotek drzewnych lub ścieżkę dźwiękową z Psychozy - tak głośno, by działała ludziom na nerwy. Wszyscy byli na granicy wytrzymałości.

Na własną rękę zwiększył budżet Egzorcysty z czterech do dwunastu milionów dolarów. Pewnego dnia, podczas kręcenia sceny w Nowym Jorku, robił ponoć zbliżenie smażonego na blasze bekonu i nie podobał mu się sposób, w jaki bekon się zwijał.

Przerwał zdjęcia i po całym Nowym Jorku szukano bekonu bez konserwantów, który podczas smażenia pozostałby płaski. Friedkin pracował tak powoli, że gdy jeden z członków ekipy zachorował na trzy dni i wrócił do pracy, wciąż kręcono ujęcie z bekonem. Producenci chcieli, by rolę ojca Karrasa, starszego egzorcysty, zagrał Marlon Brando, lecz Friedkin był przekonany - niektórzy stwierdzą pewnie, że to paranoja - iż wtedy jego horror stanie się po prostu „filmem z Brando”.

(Złe duchy mówiły to samo do Francisca Coppoli o Ojcu chrzestnym, który wtedy właśnie wszedł do kin).

120

Całymi latami opowiadano historię o jednej ze scen, w której księdza nie grał zawodowy aktor (mężczyzna był prawdziwym księdzem). Friedkin nie był zadowolony z jego gry. Spytał go więc: „Czy ksiądz mi ufa?”. Sługa boży odpowiedział, że tak, a wtedy Willie cofnął się i uderzył go w twarz. Friedkin uzyskał ujęcie, jakiego chciał. Widać to w scenie, w której ojciec Damien otrzymuje ostatecznie namaszczenie u podnóża schodów. Dłonie księdza wciąż drżą. Wcześniej powiedziałem Jessemu, że talent znajduje się w dziwnych i czasami niezastługujących na to miejscach. Podkreśliłem, że Friedkin może i być kretynem, ale jego zmysłowi wzroku nie można było nic zarzucić. Za każdym razem, gdy kamera wjeżdża po schodach do pokoju dziecka, wiesz, że za chwilę wydarzy się coś nieprawdopodobnego, strasznego i jeszcze gorszego niż poprzednio.

Tej nocy Jesse spał na kanapie przy zapalonych dwóch lampach. Następnego ranka obaj byliśmy jeszcze zaaferowani obejrzanymi poprzedniego wieczoru horrorami i postanowiliśmy na jakiś czas zawiesić nasz festiwal. Mogliśmy oglądać wspaniałe komedie, złe dziewczyny, Woody'ego Allena, filmy Nowej Fali, cokolwiek. Tylko żadnych horrorów. W Egzorcyście są takie momenty - na przykład gdy dziewczynka siedzi w bezruchu na łóżku i spokojnie przemawia głosem mężczyzny - że człowiek ma wrażenie, iż jest na samej krawędzi i zaraz znajdzie się w miejscu, do którego nigdy nie powinien trafić.

4 Nouvelle Vague (franc), nurt w filmie francuskim końca lat 50. XX wieku, zainicjowany przez młodą generację reżyserów (C. Chabrol, J.L. Godard, A. Resnais, F. Truffaut). Głównymi cechami nowofalowej sztuki filmowej były: swobodna konstrukcja dramaturgiczna, odejście od intelektualnej, zdroworozsądkowej motywacji działań bohaterów, naturalność akcji oraz jej ścisły związek z miejscem akcji. W połowie lat 60. Nowa Fala ustąpiła innym prądom (przyp. red.).

Rozdział 9

Przeczytałem to, co napisałem - z mojego tekstu można wywnioskować, że oprócz oglądania filmów i kibicowania Jessemu w moim życiu niewiele się działo. Wcale tak nie było. Zacząłem pracować, pisałem recenzje książek, otrzymałem film dokumentalny, który wymagał wygładzenia, a nawet przez kilka dni uczyłem na zastępstwo (oczywiście myślałem, że będzie strasznie, ale nie było to doświadczenie rujnujące moje poczucie godności, czego wcześniej tak się obawiałem).

Sprzedalem mieszkanie w fabryce cukierków i niespodziewanie trafiła nam się oferta kupna wiktoriańskiej posiadłości na granicy Chinatown. Maggie wreszcie wróciła do domu. Jaka to była radość; nie mieszkała w nim od ponad roku. Wciąż jednak czuła, że Jesse „powinien mieszkać z mężczyzną”. Również wychodziłem z takiego założenia, moja żona na szczęście też. Na rodzinnym przyjęciu z okazji Bożego Narodzenia drobna ciotka, która przed emeryturą była dyrektorką liceum, powiedziała do mnie swoim wróblim głosem:

— Nie daj się nabrać. Nastoletni chłopcy wymagają poświęcenia im takiej samej uwagi co noworodki.

Tyle że tę uwagę muszą im poświęcić ojcowie.

Jesse przeniósł się więc razem ze mną i z Tiną do drugiej części miasta, zabrał ze sobą trzy wielkie wory na śmieci ubrań i tuziny

123

płyt CD bez pudełek. Wprowadził się do niebieskiej sypialni na trzecim piętrze, z której widać było całą drogę prowadzącą do jeziora. Był to najlepszy pokój w domu, najcichszy i najbardziej przewiewny. Kupiłem mu kopię obrazu autorstwa Johna Waterhouse'a - nagie panny pływające w stawie. Powiesił ją na ścianie między plakatami Eminema (w sumie ten chłopak wygląda dosyć pospolicie), Ala Pacino z cygarem (Człowiek z blizną) i jakiegoś zbira w nylonach na głowie, celującego ci w twarz z dziewięciomilimetrowego pistoletu, z nagłówkiem: SAY HELLO TO DA BAD GUYZ.

Gdy to piszę, znajduję się tylko kilka metrów od niebieskiej sypialni Jessego. Teraz jest ona pusta, jedna z jego porzuconych koszułek wciąż wisi z drugiej strony drzwi. W pokoju panuje większy porządek, na stoliku nocnym leży płyta DVD z filmem Chungking Express (Chung hing sam lam, 1994), obok niej Miasteczko Middlemarch (wciąż nieprzeczytane), Blichtr Elmore'a Leonarda (przynajmniej go nie sprzedał), Kozacy Tołstoja (mój pomysł) i The Nasty Bits Anthony'ego Bourdaina. Książkę tę Jesse zostawił ostatnim razem, gdy nocował tutaj ze swoją dziewczyną. Obecność tych przedmiotów jest dla mnie pocieszeniem, jakby wciąż tutaj był, przynajmniej duchem; i nabieram pewności, że pewnego dnia tutaj wróci.

Nie chcę być zbyt sentymentalny, ale idąc nocą do mojego gabinetu, zaglądam czasami do jego sypialni. Na łóżko pada światło księżycy, pokój jest bardzo cichy, i nie potrafię wtedy uwierzyć, że go nie ma. Mieliśmy jeszcze tyle planów co do tego pokoju, nowe obrazki, na ścianach nowe wieszaki na ubrania. Zabrakło nam jednak czasu.

Jesień w Chinatown; w wielkich lasach na północy miasta liście stają się czerwone. Na dłoniach kobiet, które obok naszego domu

124

przejeżdżają na rowerach, pojawiły się rękawiczki. Jesse dostał pracę na pół etatu, odbierał telefony dla dwóch podłych typów działających w telemarketingu, którzy zbierali pieniądze na „czasopismo dla strażaków”.

Pewnego wczesnego wieczoru zatrzymałem się przy „biurze”,

małej, brudnej melinie z sześcioma czy siedmioma kabinami, w których siedzieli: wyjątkowo biały dzieciak, Pakistańczyk oraz otyła kobieta z morzem coli przed sobą. Wszyscy odbierali telefony. Jezu, pomyślałem sobie. Oto firma, w której znalazłem mu pracę. Oto jego przyszłość.

Był tam, siedział na samym końcu ze słuchawką przy uchu, jego głos był zachrypnięty, ponieważ teraz w porze kolacji naga- bywał seniorów, osoby przesiadujące w domach i naiwniaków. Można było powiedzieć, że był dobry w sprzedaży. Dzwonił do lu- dzi, potrafił utrzymać ich przy telefonie, czarował ich, rozśmieszał i ściemniał im tak długo, aż połknęli haczyk.

Szefowie również tam byli, ubrany w żółtą wiatrówkę szcze- niak z okrągłą twarzą i jego partner - elegancik, przystojny cwa- niaczek o imieniu Dale. Przedstawiłem się. Powiedzieli, że Jesse to ich najlepszy pracownik. Numer jeden. Za nami słyszałem urywki ledwo zrozumiałego języka angielskiego, głos z Europy Wschod- niej z akcentem tak tęnym, że brzmiał jak z komedii; z drugiej kabiny dobiegał język bengalski; potem usłyszałem nosowy głos kobiety, przerywany odgłosem wciąganych przez słomkę kostek lodu. Brzmiało to jak łopata szorująca po cemencie.

Podszedł Jesse tym swoim lekkim krokiem - poruszał się tak, gdy był zadowolony. Rozglądał się na prawo i lewo.

Powiedział:

— Chodźmy pogadać na zewnątrz — co oznaczało, że nie chciał, abym zbyt długo rozmawiał z jego szefami i wypytywał ich

o „czasopismo dla strażaków”, mogłem przecież spytać o jakiś egzemplarz (którego oczywiście nie było).

125

Tego samego wieczoru zabrałem go na kolację do Le Paradis.

(Jeśli miałem jakiś nałóg, to nie był to alkohol, kokaina ani magazyny z dziewczynkami; było nim jądanie w restauracjach nawet wtedy, gdy byłem spłukany).

— Czy kiedykolwiek widziałeś to czasopismo? — spytałem.

Przez chwilę z otwartą buzią przeżuwał kawałek swojego płaskiego steku. Być może przyczyną była moja drzemka, którą uciąłem sobie tego popołudnia (kiepsko spałem), ale sam fakt, że po raz kolejny jadł z otwartymi ustami po tym, jak tysiące razy powtarzałem mu, żeby tego nie robił, wprowadził mnie w nerwową desperację.

— Jesse — powiedziałem. — Proszę.

— O co chodzi? — spytał.

W sposób prostacki wykrzywiłem usta.

Normalnie śmiałyby się z tego (nawet jeśli nie było to zabawne), przeprosiłby i jadł dalej, ale dzisiaj widziałem u niego wahanie. Jego twarz stawała się coraz bledsza. Spojrzał na talerz, jakby chciał podjąć poważną decyzję, by nie zareagować w sposób fizyczny. Potem powiedział po prostu: „Okej”. Czuć jednak było, że coś wisi w powietrzu. Jakbym otworzył drzwi do piekła, a potem je zamknął.

— Jeśli nie chcesz, żebym zwracał uwagę na twoje maniery przy stole... — zacząłem.

— W porządku — powiedział, machając na to ręką. Nie patrząc na mnie.

O Boże, pomyślałem, zakpiłem z niego. Uraziłem jego dumę, robiąc głupie miny. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, on przeżuwał stek, gapiąc się w talerz, ja patrzyłem na niego coraz mniej pewny siebie.

— Jesse — powiedziałem miękko.

— Tak? — spojrzał w górę, ale nie w sposób, w jaki się patrzy na swojego ojca, bardziej jak Al Pacino patrzy na dupka w Życiu Carlita (Carlito's Way, 1993). Właśnie zapoczątkowaliśmy jakiś

126
nowy etap. Jesse miał dość tego, że go straszę, i chciał, żebym o tym wiedział. W rzeczywistości równowaga zmieniała się jeszcze bardziej. Byłem onieśmielony jego gniewem.

— Chcesz wyjść na zewnątrz na papierosa i się uspokoić? — spytałem.

— Nie, wszystko jest w porządku.

— To, co zrobiłem, było chamskie. Przepraszam.

— W porządku.

— Chciałbym, żebyś mi to wybaczył. Dobrze?

Nie odpowiedział. Myślał o czymś innym.

— Dobrze? — powtórzyłem miękko.

— Jasne, pewnie. Zrobione.

— Co? — spytałem jeszcze bardziej miękko. Trzymał w dłoni serwetkę i wymachiwał nią nad plamą na stole w tę i z powro-

tem, w tę i z powrotem. Czyżby pamiętał tę scenę z liną i Jamesem Deanem? Mówiącym „nie” na wszystko, co mu zaproponowano.

— Czasami myślę, że masz nade mną zbyt dużą władzę — powiedział.

— Co masz na myśli?

— Nie wydaje mi się, żeby inne dzieciaki były tak — poszukał odpowiedniego słowa — paraliżowane z powodu kłótni ze swoimi ojcami. Część z nich po prostu kazałaby im się odpieprzyć.

— Nie chcę, żeby u nas tak to wyglądało — odpowiedziałem prawie bez tchu.

— Ja też nie. Ale czy nie powinieneś mieć na mnie mniejszego wpływu?

— A mam wpływ?

— Dlatego nie wpadam w kłopoty. Jestem przerażony tym, że będziesz na mnie wściekły.

Nie taką rozmowę planowałem, zapraszając go na kolację, na którą nie było mnie stać.

127

— Przerażony czym? Nigdy cię nie uderzyłem. Nigdy... — przerwałem.

— Jestem jak małe dziecko. — Jego oczy zaszyły mgłą frustracji. —

Nie powinienem być taki zdenerwowany w twoim towarzystwie.

Odłożyłem widelec. Poczujęm, że blednę.

— Masz nade mną większą władzę, niż myślisz.

— Naprawdę?

— Tak.

— Na przykład kiedy?

— Na przykład w tej chwili.

Potem spytał:

— Czy myślisz, że masz nade mną zbyt dużą władzę?

Miałem problem ze złapaniem oddechu.

— Myślę, że chcesz, żebym dobrze o tobie myślał.

— Nie uważasz, że jestem tylko małym dzieckiem, które się ciebie boi?

— Jesse, masz ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Gdybyś tylko chciał, mógłbyś mi wybić z głowy wszystko.

— Myślisz, że bym mógł?

— Jato wiem.

Jego ciało jakby się rozluźniło. Powiedział:

— Teraz muszę zapalić — i wyszedł na zewnątrz.

Widziałem, jak po drugiej stronie francuskich drzwi chodził w jedną i w drugą stronę, po chwili wrócił i powiedział coś do barmana, który się zaśmiał. Potem Jesse przeszedł przez salę, jakaś ciemnowłosa uczennica bacznie mu się przyglądała. Widziałem, że był zadowolony, rozglądał się na prawo i lewo, szedł sprężystym krokiem, usiadł z powrotem przy stole, wziął serwetkę i wytarł usta. Pomyślałem, że na ten moment dałem mu to, czego potrzebuje, ale niedługo będzie potrzebował czegoś więcej.

— Czy możemy porozmawiać o czasopiśmie dla strażaków? —

spytalem.

128

— Jasne — odpowiedział, nalewając sobie wina. (Przeważnie to ja nalewałem). — Kocham tę restaurację — powiedział. — Myślę, że gdybym był bogaty, jadłbym tutaj co wieczór.

Nasze stosunki zdecydowanie się zmieniały. Wiedziałem, że już niedługo będziemy mieli wymianę strzałów i przegram. Tak samo jak wszyscy inni ojcowie w historii. W ten oto sposób wybrałem kolejny film.

Pamiętacie te słowa: „Wiem, o czym myślisz, śmieciu: «Strzelił sześć razy czy tylko pięć?». Szczerze mówiąc, w tej całej zabawie straciłem rachubę. Ale zakładając, że to magnum 44, najpotężniejszy pistolet na świecie, może elegancko odstrzelić ci głowę... musisz sobie zadać pytanie: «Czy mam dziś szczęście?». Masz, śmieciu?».

Gdy dobry Bóg wezwie Clinta Eastwooda do domu, a przemowa ta pojawi się w wiadomościach o osiemnastej na całym świecie, ujrzemy Brudnego Harry'ego patrzącego ponad lufą swojego pistoletu na bandytę obrabowującego banki i zobaczymy, jak daje mu nauczkę.

Film ten - jeśli nie ta przemowa - sprawił, że Clint Eastwood znalazł się w czołówce amerykańskich odtwórców ról głównych obok Johna Wayne'a i Marlona Brando. Rok później, w 1973 roku, do Eastwooda zadzwonił scenarzysta i powiedział, że czytał o szwadronach śmierci w Brazylii i złych policjantach zabijających przestępców bez stawiania ich przed sądem. A gdyby Brudny Harry od-

krył istnienie szwadronów śmierci w LAPD? Film nosiłby tytuł Siła magnum {Magnum Force}.

Film został nakręcony; gdy wszedł do kin w święta Bożego

Narodzenia następnego roku, sprzedano więcej biletów niż na

Brudnego Harry'ego; rzeczywiście, w ciągu pierwszych tygodni

5 Departament policji w mieście Los Angeles. W LAPD służy ponad 10 000 policjantów, którzy chronią ponad 4 miliony obywateli na obszarze 1290 km². Jest trzecim pod względem wielkości miejskim departamentem policji w USA (przyp. red.).

129

zarobił dla Warner Bros więcej pieniędzy niż jakikolwiek inny film.

Siła magnum jest zdecydowanie najlepszym sequelem Brudnego Harry'ego; ten film scementował miłość pomiędzy widzami a bronią, która „mogła wysadzić kadłub silnika z odległości stu jardów”.

— Ale — powiedziałem — to nie dlatego pokazuję ci ten film.

— Nie? — spytał.

Zatrzymałem film zaraz na początku, gdy inspektor „Brudny” Harry Callahan schodzi z chodnika na słonecznej ulicy San Francisco i zbliża się do samochodu ofiary morderstwa, w środku znajduje się ciało z raną postrzałową głowy. Na chodniku za Eastwoodem stoi długowłosy facet z brodą.

— Poznajesz go? — spytałem.

— Nie.

— To mój brat.

W rzeczy samej był to mój dziwny brat, który podczas kręcenia filmu akurat szedł ulicą w San Francisco.

W pośpiechu jechał przez cztery dni na zachód, by przyłączyć się do jakiegoś kultu religijnego, nie pamiętam już jakiego. Jednak gdy zapukał do drzwi, nie został wpuszczony. Kupił więc bilet na nagrania na żywo programu The Merv Griffin Show i poszedł tam. Następnie wrócił do Toronto tak szybko, jak z niego wyjechał. W którejś chwili tego pierwszego dnia załapał się na ujęcie.

— To twój wujek — powiedziałem.

Obaj dokładnie przyjrzelśmy się ekranowi; za bujnym owłosieniem i brodą krył się przystojny, młody, podobny do Krisa Kristoffersona dwudziestopięcioletni mężczyzna.

— Czy kiedykolwiek go poznałem? — spytał Jesse.

— Raz, gdy byłeś młodszy, zjawił się pod naszymi drzwiami.

Chciał czegoś. Pamiętam, że odesłałem cię z powrotem do wnętrza domu.

130

— Dlaczego?

Znowu spojrzałem na ekran.

— Ponieważ — odparłem — mój brat miał wyjątkowe zdolności do skłócania ze sobą ludzi. Nie chciałem, żeby zatruwał twoje uszy, gdy miałaś czternaście lat, i opowiadał ci o mnie złe rzeczy. Trzymałem go więc od ciebie z daleka.

Ponownie włączyliśmy film; nieruchome zdjęcie się poruszyło, a mój brat zniknął z ekranu.

— Jednak nie jest to jedyny powód — kontynuowałem. —
Prawdziwą przyczyną jest to, że gdy byłem od niego mniejszy,
potwornie się go bałem. A ludzi, których się boimy, z reguły nie-
nawidzimy. Rozumiesz, co mówię?

— Tak.

— Nie chcę, żeby to się stało z nami — powiedziałem. — Proszę.
I to „proszę” dało mu coś, czego nie dałyby mu setki wyjaśnień
i przeprosin.

Nie było żadnego czasopisma dla strażaków; było to oszustwo.
Kilka tygodni później, gdy Jesse poszedł do „pracy”, biuro zostało
zamknięte, Dale i szczeniak zniknęli. Oszukali go na kilkaset do-
larów, ale zdawał się tym nie przejmować. Praca spełniła swoje
zadanie, uczynił pierwszy krok do uniezależnienia się od swoich
rodziców. (Myślę, że intuicyjnie wyczuwał, iż zależność finansowa
łączy się z zależnością emocjonalną).

Były jeszcze inne, gorsze oferty pracy i wkrótce został zatrudnio-
ny. Znowu chodziło o telemarketing, tym razem sprzedawał karty
kredytowe biednym rodzinom na głębokim Południu, w Georgii,
Tennessee, Alabamie, Missisipi. Nie zostałem zaproszony, by poznać
szefa. Czasami, gdy nocami wracał do domu z głosem zachrypnię-
tym od mówienia i palenia, zadawałem mu pytanie:

131

— Wyjaśnij mi, dlaczego MasterCard miałby powierzyć sprze-
dawanie kart kredytowych grupie młodych chłopaków w czap-
kach bejsbolowych? Nie rozumiem tego.

— Ja też nie, tato — odpowiadał. — Ale to działa.

W tym czasie nie było nawet śladu po Rebecce - ani w klubie, ani na ulicy, nie było rozmów telefonicznych, nic. Wyglądało na to, że miała specjalny radar, który ostrzegał ją, kiedy Jesse był w pobliżu, i po prostu znikła. Zapowiadając: „Nigdy mnie już nie zobaczysz”, najwyraźniej mówiła prawdę.

Pewnej nocy obudziłem się zupełnie bez powodu. Obok mnie spała moja żona, wyglądała, jakby we śnie próbowała rozwiązać jakieś zadanie matematyczne.

Całkiem rozbudzony i odrobinę niespokojny spojrzałem przez okno. Księżyc był otulony pierścieniem mgły. Założyłem szlafrok i zszedłem po schodach. Na kanapie leżało otwarte pudełko po DVD. Pewnie Jesse oglądał film późno w nocy, podczas gdy my poszliśmy spać. Podeszedłem do odtwarzacza, żeby zobaczyć, co to było, ale gdy się do niego zbliżałem, miałem przeczucie, jakbym wkraczał w niebezpieczną strefę, w której znajdę coś, co mi się nie spodoba. Może jakiś straszny film pornograficzny albo coś, co podkopie moje przekonania o słuszności obranych metod wychowawczych.

Jednak było coś silniejszego od tego przeczucia - nie wiem, czy była to przewrotność, irytacja, czy niecierpliwość - i wyjąłem płytę. I cóż to było? Nie to, czego oczekiwałem. Był to filmik z Hongkongu, Chungking Express, który pokazałem Jessemu kilka miesięcy temu. Ujęcia chudej azjatyckiej dziewczyny, tańczącej samotnie w mieszkaniu obcego człowieka. Co to była za piosenka? Ach tak, California Dreamin', hit zespołu The Mamas & The Papas. W tej scenie utwór

brzmiał piękniej i bardziej świeżo niż w latach 60.

Stałem się czujny: miałem coś przed nosem, ale nie wiedziałem, co to jest. Czułem się jak w scenie z bezcennymi znaczkami w Szaradzie (Charade, 1963) Stanleya Donena. Co to było?

132

Gdzieś w domu usłyszałem bardzo delikatny odgłos, jakby pstryknięcie. Wszedłem na schody. Odgłosy przybrały na sile. Udałem się na trzecie piętro. Miałem zamiar zapukać - w środku nocy nie wchodzi się bez zaproszenia do sypialni młodego mężczyzny - gdy ujrzałem go w szczelinie w drzwiach.

— Jesse? — szepnąłem.

Brak odpowiedzi. Pokój był skąpany w zielonym świetle, Jesse siedział przy komputerze, tyłem do mnie. Ze słuchawek w jego uszach dochodziły odgłosy owadów. Coś do kogoś pisał. Bardzo osobista chwila, stuk, stuk, stuk, stuk, ale siedział sam, była czwarta rano, pisał do kogoś oddalonego o tysiące mil; o czym rozmawiali? O rapie, seksie, samobójstwie? Ponownie ujrzałem go na dnie lśniącej studni, dookoła tylko tynk i cegły, żadnej możliwości wspięcia się na górę (za ślisko), nie da się przebić przez ścianę (zbyt trudne), tylko perspektywa wiecznego czekania na to, żeby coś się nad nim pojawiło, chmura, twarz czy zrzucona lina.

I wtedy nagle zrozumiałem, dlaczego moją uwagę przykuł film, właśnie ten film, Chungking Express. Ta piękna dziewczyna przypominała mu Rebekę; oglądając go, był trochę jakby obok niej.

Wróciłem do sypialni i poszedłem spać. Miałem straszne sny.
O chłopaku czekającym w wilgotnej studni.
Następnego popołudnia nie wstał, dopóki nie zawołałem go
po raz trzeci. Udałem się na górę i delikatnie potrząsnąłem go
za ramię. Spał zbyt głęboko. Zejście na dół zajęło mu dwadzie-
ścia minut. Liście spadały w późnopołudniowym słońcu. Iście
nadmorska sceneria, jakbyśmy razem z tymi złotymi i zielonymi
odcieniami znajdowali się pod wodą. Na biegnącej na górze li-
nii energetycznej wisiała para adidasów (czyjś wybryk). Dalej na
ulicy wisiało ich więcej. Minął nas jadący na rowerze chłopiec
w czerwonej koszulce, porywając ze sobą małe kupki liści. Jesse
był jakiś apatyczny.

133

— Powinieneś zacząć chodzić na siłownię — chciałem powie-
dzieć, ale tego nie zrobiłem.

Wyciągnął papierosa.

— Proszę, nie przed śniadaniem.

Wyprostował się, lekko przechylając głowę do przodu i do tyłu.

— Myślisz, że powinienem zadzwonić do Rebeki? — spytał.

— Wciąż o niej myślisz? — głupie pytanie.

— Każdego dnia o każdej porze. Sądzę, że popełniłem duży błąd.

— Myślę, że Rebecca sama w sobie oznacza kłopoty, a tobie
udało się wydostać z płonącego domu przed jego zawaleniem
się — powiedziałem po chwili.

Widziałem, że bardzo chciał zapalić, nie będzie w stanie się

skupić, dopóki tego nie zrobi.

— Zapal sobie, jeśli chcesz. Wiesz, że źle się po tym czuję.

Gdy dym wypełnił jego płuca, uspokoił się (wydawało mi się, że jego cera jeszcze poszarzała) i zapytał:

— Czy tak już będzie zawsze?

— Jak?

— Czy zawsze już będę tęsknić za Rebeką?

Pomyślałem o Pauli Moors, która kiedyś złamała mi serce; w ciągu dwóch tygodni schudłem dwadzieścia funtów.

— Będzie to trwało tak długo, aż znajdziesz kogoś, kogo polubisz tak samo jak ją — odpowiedziałem.

— Nie tak po prostu kolejną dziewczynę?

— Nie.

— A jeśli ona jest po prostu miłą dziewczyną? Tak jak mówi mama.

Ta uwaga - wraz z towarzyszącym jej domniemaniem, że jakaś „miła” dziewczyna byłaby w stanie sprawić, iż Jesse zapomni o seksualnym pociągu do Rebeki - odzwierciedlała tę cechę charakteru Maggie, która była zarówno urocza, jak i denerwująca. Moja eks była kobietą, która uczyła w szkole średniej w niewielkiej farmerskiej

134

provincji Saskatchewan i która w wieku dwudziestu pięciu lat postanowiła, że chce zostać aktorką, rzuciła pracę, pośród łez pożegnała na dworcu kolejowym swoją rodzinę i wyjechała do Toronto - oddalonego od rodzinnych stron o dwa tysiące mil - by spełnić

swoje marzenie.

Gdy ją poznałem, miała zielone włosy i występowała w punkowym musicalu. Jednak w jakiś sposób, rozmawiając z naszym synem o jego życiu, zwłaszcza o jego „przyszłości”, zapominała o tym wszystkim i wygłaszała zapierające dech w piersiach, naiwne teorie. („Może tego lata powinieneś pojechać na obóz matematyczny?”). Zamartwianie się o jego dobro sparaliżowało jej inteligencję, która w normalnym przypadku jest intuicyjna i wspaniała. Świetne było na przykład to, że przekazywała mu demokratyczną wrażliwość, umiejętność odnajdywania w ludziach dobrych cech, których nie opanował jego zbyt szybki w potępianiu ludzi ojciec.

Mówiąc krótko, potrafiła osłodzić jego duszę.

— Twoja matka chce dobrze — powiedziałem — ale w tej kwestii się myli.

— Uważasz, że jestem uzależniony od Rebeki? — spytał.

— Niedośłownie.

— A jeśli nigdy już nie spotkam nikogo, kto będzie mnie tak pociągał?

Ponownie pomyślałem o Pauli Moors i jej odejściu mającym efekt odchudzający; była brunetką z odrobinę krzywymi zębami, defektem, który dodawał kobiecie niesamowitego seksapilu. Boże, jak ja za nią tęskniłem. Wzdychałem za nią. Wyobrażałem sobie różne niedorzeczności, co sprawiało, że w środku nocy musiałem zmieniać koszulkę.

— Pamiętasz Paulę? Gdy mnie zostawiła, miałeś dziesięć lat —
powiedziałem.

— Czytała mi przed snem.

135

— Myślałem, że będzie mnie prześladować do końca życia,
nieważne, z kim będę.

Że zawsze będzie mi towarzyszyć myśl: „Tak, ale ona nie jest
Paulą”.

— No i?

Ostrożnie dobieierałem słowa, nie chciałem, żeby były zbyt
kumpelskie.

— Nie była to pierwsza, druga ani trzecia kobieta w moim życiu.

Jednak gdy wreszcie to się stało, gdy chemia zadziałała i wszystko
się udało, nigdy już nie pomyślałem o Pauli.

— Byłeś wtedy załamany.

— Pamiętasz to? — spytałem.

— Tak.

— Co pamiętasz?

— Jak po kolacji usypiałeś na kanapie.

— Brałem tabletki nasenne. Duży błąd — przerwa. — Kilka
razy sam musiałeś kłaść się spać, pamiętasz?

Przypomniała mi się owa straszna wiosna, słońce świeciło zbyt
jasno, szedłem po parku, przypominając szkielet, biegający Jesse od
czasu do czasu patrzył na mnie. Raz wziął mnie za rękę i powiedział:

— Tatusiu, zaczynasz czuć się lepiej, prawda? — dziesięciola-

tek opiekujący się ojcem. Jezu.

— Czuję się jak ten facet z Ostatniego tanga w Paryżu — rzekł Jesse. — Zastanawiając się, czyjego żona robi to samo z mieszkającym niżej facetem w szlafroku, co z nim.

Patrzył na mnie niepewnie, nie wiedział, czy ma kontynuować.

— Myślisz, że to prawda? — spytał.

Wiedziałem, o czym myślał.

— Nie wydaje mi się, żeby rozmyślanie o tym miało jakikolwiek sens — odpowiedziałem.

On jednak potrzebował czegoś więcej. Jego oczy przyglądały się mojej twarzy, jakby szukały bardzo małej kropki. Pamiętam

136

noce, podczas których leżąc w łóżku, zmuszałem się do wizualizowania najbardziej pornograficznych wyobrażeń, na jakie było mnie stać, Paula robiąca to, Paula robiąca tamto.

Musiałem tak robić, by sparaliżować moje końcówki nerwowe, by przyspieszyć osiągnięcie mety, chwili, w której obojętne było mi już to, co Paula robi palcami, bierze do ust itd.

— Radzenie sobie po rozstaniu z kobietą ma własny harmonogram, Jesse. To jak rosnące paznokcie. Możesz robić wszystko, co chcesz, możesz brać pigułki, zająć się innymi dziewczynami, iść na siłownię, nie iść na siłownię, pić, nie pić, nieważne. I tak nie przejdziesz na drugą stronę ani sekundę wcześniej.

Spojrzał na ulicę; w swoim ogródku pracowali nasi pochodzący z Chin sąsiedzi, wciąż się nawoływali.

— Powinienem być poczekać, aż znajdę sobie inną dziewczynę — powiedział.

— Ona mogła cię rzucić pierwsza. Pomyśl o tym.

Przez chwilę patrzył przed siebie, oparł łokcie o kolana i coś sobie wyobrażał.

— Co myślisz o tym, żebym do niej zadzwonił?

Otworzyłem usta, by odpowiedzieć. Pamiętam, jak obudziłem się wcześniej pewnego lutowego poranka po odejściu Pauli. Po oknie spływał mokry śnieg, a ja myślałem, że zwariuję przez ten czekający na mnie, kolejny dzień. Masz do czynienia z delikatną materią. Działaj z wyczuciem.

— Wiesz, co ona zrobi, prawda? — spytałem.

— Co?

— Ukarze cię. Będzie cię coraz bardziej kusić i nęcić, a gdy już będziesz myślał, że się udało, spuści kurtynę.

— Tak myślisz?

— Jesse, ona nie jest głupia. Dobrze wie, czego chcesz. I nie da ci tego.

— Chcę tylko usłyszeć jej głos.

137

— Wątpię — powiedziałem, ale później spojrzałem na jego nieszczęśliwą twarz, na apatię, która zdawała się ogarniać całe jego ciało. Rzekłem więc miękko:

— Myślę, że jeśli jeszcze raz z nią zaczniesz, będziesz tego żałować. Jesteś już prawie na mecie.

— Jakiej mecie?

— Na linii końcowej, na której uda ci się o niej zapomnieć.

— Nieprawda. Nie jestem nawet w pobliżu tej mety.

— Jesteś już dalej, niż ci się wydaje.

— Skąd wiesz? Tato, nie chcę być niegrzeczny, ale skąd możesz to wiedzieć?

— Ponieważ w takiej sytuacji byłem jakieś trzy miliony razy — powiedziałem chytrze.

— Nigdy nie pogodzę się z tym rozstaniem — odparł, oddając się rozpacz.

Na skórze poczułem delikatne ukłucia irytacji, podobne do występujących kropli potu - nie dlatego, że kwestionował moje zdanie, ale dlatego, że był nieszczęśliwy, a ja nie mogłem zrobić nic, by mu ulżyć. Sprawiało to, że się na niego złościłem, jakbym chciał uderzyć dziecko, które upada i się kaleczy. Rzucił mi zmartwione spojrzenie jedno z tych, jakie pamiętałem z jego dzieciństwa, które mówiło: „Oho, zaczyna być na mnie zły”.

— To jak z facetem rzucającym palenie — powiedziałem. — Mija miesiąc, facet się upija i myśli: co mi szkodzi? W połowie drugiego papierosa przypomina sobie, dlaczego rzucił palenie. Teraz jednak wrócił do nałogu. Zanim po raz kolejny dotrze do chwili przed ponownego zapalenia, ma przed sobą jakieś dziesięć tysięcy papierosów. Niezgrabnie i czule Jesse położył dłoń na moim ramieniu i powiedział:

— Tato, rzucić palenia też nie potrafię.

Rozdział 10

Dosłownie kilka dni później jadłem kolację z Maggie. Do jej domu w Greektown pojechałem rowerem, ale po kolacji i winie nie chciałem ryzykować niepewnej jazdy po prowadzącym do miasta moście. Wraz z rowerem wgramoliłem się więc do metra. Podróż do domu nie trwała długo, z dziesięć lub piętnaście minut, ale jechałem w ten sposób już wiele razy, ogarnęło mnie więc znudzenie i żałowałem, że nie zabrałem ze sobą jakiejś książki do czytania. Gapiłem się na swoje odbicie w szybie, przechodzących pasażerów, mijane tunele - i kogóż ujrzałem? Paulę Mors! Siedziała naprzeciwko mnie, pięć czy sześć rzędów dalej. Nie wiem, jak długo tam była ani kiedy wsiadła. Przez chwilę gapiłem się na jej profil, na ostro zakończony nos, szpiczasty podbródek. (Słyszałem, że wyprostowała zęby). Jej włosy były teraz dłuższe, ale wyglądała tak samo jak wtedy, gdy wypowiadała te straszne słowa: „Skłaniam się ku temu, żeby już nigdy cię nie kochać”. Cóż za zdanie! Cóż za dobór słów!

Przez sześć miesięcy, może przez rok, nie pamiętam już, jej nieobecność była dla mnie odczuwalna niczym ból zęba. Nocami łączyła nas tak wielka zażyłość, mówiliśmy sobie i robiliśmy bardzo osobiste rzeczy, a teraz oboje siedzieliśmy bez słowa w tym samym pociągu metra. Gdybym był młodszy, odebrałbym to jako coś tragicznego, ale teraz była to dla mnie po prostu

dliwe ani wesołe, była to naturalna kolej rzeczy, tajemnica ludzi zjawiających się w twoim życiu i z niego znikających. (Przecież gdzieś musieli iść).

Zastanawiałem się, w jaki sposób mógłbym sprawić, że Jesse to zrozumie (na stacji Broadview wysiadła Indianka), w jaki sposób przyspieszyć jego drogę w ciągu następnych miesięcy, nawet roku, aż do tej wspaniałej chwili, w której pewnego ranka budzisz się i zamiast odczuwać stratę kobiety (ból zęba), ziewasz, kładziesz ręce pod głowę, „muszę dzisiaj dorobić klucze do domu”, myślisz sobie, „posiadanie tylko jednego kompletu kluczy jest niebezpieczne”. Do głowy przychodzą ci banalne, uwalniające myśli (czy zamknąłem okno na dole?), z pożaru nie bije już gorące powietrze, pamięć o odczuwanym bólu jest tak odległa, że nie wiesz już, dlaczego trwał on tak długo, o co tak w ogóle chodziło ani kto co wyprawiał z jej ciałem. (Ale spójrz - sąsiedzi sadzą nową brzozę). Jakby zerwał się łańcuch od kotwicy (nie pamiętasz, gdzie byłś ani co robiłeś), zauważasz, że nagle odzyskujesz kontrolę nad swoimi myślami; twoje łóżko nie jest już puste, jest po prostu twoje, możesz w nim czytać gazetę, spać albo... o rany, co to ja miałem dzisiaj zrobić? A, klucze do drzwi wejściowych! Racja.

Jak sprawić, żeby Jesse szybciej dotarł w to miejsce?

Rozglądając się po wagonie metra (właśnie wsiadła młoda kobieta jedząca ziemniaczane chipsy), zauważyłem, że nie ma już Pauli. Musiała wysiąść na wcześniejszej stacji. Byłem trochę zaskoczony faktem, że w ogóle zapomniałem o jej istnieniu, oboje

jechaliśmy przez ciemne tunele, zajęci swoimi sprawami, że-
z całą pewnością dotyczyło to także jej - byliśmy do tego przy-
zwyczajeni, obecność drugiej osoby stała się nam obojętna w cią-
gu pięciu minut. Jakie to-właśnie, jakie?-dziwne. Wydaje mi
się, że to odpowiednie słowo. Ale nawet ta myśl szybko minęła.

Gdy prowadziłem rower po peronie, pociąg metra już odjeżdżał,

140

zauważyłem, że dziewczyna z chipsami miała aparat na zębach.

Jadła z otwartą buzią.

Pewnego razu Jesse wstał przed południem. Było to wyda-
rzenie, które ucziłem, pokazując mu Doktora No (Dr. No, 1962).

Pierwszy film z Jamesem Bondem. Próbowałem wyjaśnić Jessemu,
jakie podekscytowanie wywoływały te filmy, gdy ukazały się po raz
pierwszy. Z jednej strony były ugrzecznione, a z drugiej - frywol-
ne. Gdy jesteś młody, filmy wywierają na tobie określone wrażenie,
wyjaśniłem; są dla ciebie fantazyjnym doświadczeniem, które po-
zostaje poza twoim zasięgiem, kiedy jesteś starszy. Po prostu „ku-
pujesz” film w sposób, który później jest już niemożliwy.

Gdy teraz idę do kina, zauważam o wiele więcej: kilka rzędów
dalej mężczyzna rozmawia ze swoją żoną, ktoś kończy jeść po-
pcorn i wyrzuca torebkę w boczny przejściu; uświadamiam so-
bie istnienie edycji, kiepskich dialogów i aktorów. Czasami oglą-
dam scenę ze statystami i zastanawiam się, czy są prawdziwymi
aktorami, czy są zadowoleni z tej roli, czy przeciwnie, są nieszczę-
śliwi, ponieważ nie znajdują się w świetle reflektorów? Na przy-

kład ta młoda dziewczyna w centrum komunikacyjnym w jednej z pierwszych scen Doktora No. Wypowiada jedną czy dwie linijki, ale nigdy już nie ujrysz jej na ekranie. Zastanawiałem się na głos, co stało się z tymi wszystkimi ludźmi ze scen zbiorowych i scen przyjęć: jak potoczyły się ich losy? Czy zrezygnowali z aktorstwa i zajęli się innymi zawodami?

Wszystkie te sprawy przeszkadzają w odbieraniu filmu; gdy byłem młodszy, przy mojej głowie można było strzelać z pistoletu, a ja wciąż byłem skoncentrowany tylko na akcji, wciąż współuczestniczyłem w puszczanym na dużym ekranie filmie. Wracam do klasyków kina nie tylko po to, by jeszcze raz obejrzeć te filmy,

141

ale z nadzieją, że poczuję się tak jak wtedy, gdy oglądałem je po raz pierwszy. (Nie chodzi tylko o uczucia towarzyszące filmom, ale o moje ogólne samopoczucie z tamtych lat).

Gdy Jesse wyszedł na ganek, wyglądał na roztrzęsionego. Znowu był listopad, do jego osiemnastych urodzin pozostało kilka dni. Jak to możliwe? Teraz zdawało mi się, że urodziny Jessego wypadają co cztery miesiące, jakbym rzeczywiście coraz szybciej zbliżał się do grobu.

Spytałem go o to, jak spędził wieczór; tak, było w porządku, chociaż nic specjalnego się nie wydarzyło. Wskoczył w odwiedzinny do znajomego. Oho. Jakiego znajomego?

Cisza.

— Deana.

— Nie znam go, prawda?

— To tylko kolega.

Kolega? (Gdy słyszysz słowo, które wypadło już z obiegu, masz ochotę od razu zadzwonić na policję). Jesse widział, że na niego patrzę.

— I co robiliście?

— Niewiele; oglądaliśmy telewizję; leciały same nudy. —

W jego odpowiedziach wyczuwałem uniki, jakby nie chciał, żeby dialog się rozwinął. Minęła nas idąca chodnikiem kobieta, której twarz przedwcześnie się postarzała.

— Powinna ufarbować włosy — powiedział Jesse.

— Jesteś dzisiaj jakiś roztrzęsiony — odparłem. — Co wczoraj piliście?

— Tylko piwo.

— Nic mocniejszego?

— Trochę.

142

— Co?

— Tequilę.

— Po tequili jest porządny kac — powiedziałem.

— Na pewno.

Znowu cisza. Był to dziwny, pełen bezruchu dzień. Niebo było białe jak prześcieradło.

— Czy w trakcie tego wieczoru z tequilą braliście też narkotyki?

— Nie — odpowiedział odruchowo. A potem: — Tak, były.

— Jakie narkotyki, Jesse?

— Nie chcę cię okłamywać, rozumiesz?

— Tak.

Cisza. Decyzja. Strzał.

— Kokaina.

Kobieta z postarzałą twarzą wracała, trzymając małą, plastikową torbę z artykułami spożywczymi.

— Czuję się strasznie — powiedział. Przez chwilę pomyślałem, że wybuchnie płaczem.

— Po kokainie człowiek czuje się bardzo nędznie — powiedziałem miękko, kładąc dłoń na jego chudym ramieniu.

Szybko się wyprostował, jakby jego nazwisko zostało wycytane podczas sprawdzania listy obecności.

— Tak, właśnie tak się czuję. Nędznie.

— I gdzie to było, u Deana?

— Nie nazywa się Dean — przerwa. — Nazywa się Choo-choo.

Do cholery, co to za imię?

— Czym się zajmuje Choo-choo? — spytałem.

— Jest białym raperem.

— Tak?

— Tak. Z całą pewnością.

— Zajmuje się muzyką?

— Nie do końca.

— Czyli handluje kokainą?

Kolejna przerwa. Kolejna próba zebrania myśli, które się roz-
pierzchły.

— Wczoraj wieczorem poszedłem do jego domu. Po prostu
cały czas donosił.

— A ty cały czas brałeś?

Skinął głową, gapiąc się z odrętwieniem na ulicę.

— Czy wcześniej bywałeś już u Choo-choo?

— Naprawdę nie chcę teraz o tym rozmawiać — odpowiedział.

— Gównu mnie obchodzi, czy chcesz o tym rozmawiać, czy
nie. Czy bywałeś wcześniej w domu Choo-choo?

— Nie. Szczerze.

— Czy kiedykolwiek wcześniej brałeś kokę?

— Nie taką.

— Nie taką?

— Nie.

Po chwili powiedziałem.

— Przecież o tym rozmawialiśmy.

— O kokainie?

— Wiesz, o czym mówię — powiedziałem.

— Tak, rozmawialiśmy.

— Ustaliliśmy, że jeśli przyłapię cię na braniu narkotyków, zry-
wamy umowę. Wszystkie ustalenia związane z czynszem, kieszon-
kowym i tak dalej natychmiast zostają unieważnione. Pamiętasz?

— Tak.

— Myślisz, że żartowałem?

— Nie. Ale, tato, jedna sprawa. Ty mnie nie przyłapałeś.

Sam ci o tym powiedziałem.

Nie przyszła mi do głowy żadna natychmiastowa odpowiedź.

Po chwili spytałem:

— Dzwoniłeś do kogoś?

Wyglądał na zaskoczonego.

144

— Skąd wiesz?

— Tak robią ludzie będący pod wpływem kokainy. Dzwonią.

I zawsze tego żałują. Do kogo dzwoniłeś? Do Rebeki?

— Nie.

—Jesse?

— Próbowałem. Nie było jej. — Gwałtownie przechylił się na krześle. — Jak długo będzie to jeszcze trwało?

— Ile wzięłeś?

— Brałem przez całą noc. Wciąż donosił.

Wszedłem do domu, z szuflady ze skarpetami wyjąłem tabletkę nasenną i wyniosłem ją na zewnątrz wraz ze szklanką wody.

— Zakładam, że był to jednorazowy wyskok. Jeśli jeszcze raz to zrobisz, będziesz musiał to przecierpieć — Dałem mu tabletkę i kazałem ją połknąć.

— Co to? — spytał.

— Nieważne. — Poczekalem, aż połknie i znowu zaczął słuchać tego, co do niego mówię. — Nie będziemy teraz o tym roz-

mawiać, okej? Rozumiesz, co mówię?

— Tak.

Siedziałem z nim, dopóki nie stał się ospały po tabletkach. Trochę rozwiązała mu język.

— Pamiętasz tę przemowę z dokumentu Pod wulkanem! — spytał. — W której konsul mówi o swoim kacu, o tym, że słyszy, jak pod jego oknem przechadzają się ludzie i powtarzają jego imię z pogardą?

Przytaknąłem.

— To właśnie przydarzyło mi się tego ranka. Gdy tylko się obudziłem. Czy skończę tak jak ten facet?

— Nie.

Wszedł po schodach. Przykryłem go.

— Gdy się obudzisz, będziesz trochę przygnębiony — powiedziałem.

145

— Jesteś na mnie zły?

— Tak.

Przez całe popołudnie snułem się po domu. Jesse zszedł na dół jakiś czas po zapadnięciu zmroku. Był bardzo głodny. Złożyliśmy zamówienie w Chicken Chalet. Gdy zjadł i otarł tłuszcz z ust oraz palców, położył się na kanapie.

— Mówiłem wczoraj głupoty — powiedział.

A potem kontynuował, jakby miał potrzebę torturowania siebie samego.

— Przez chwilę myślałem, że jestem kimś w rodzaju gwiazdy rocka —jęknął. — Znasz to uczucie?

Nie odpowiedziałem. Domyślałem się, że chciał, abym poczuł się współwinnym zaistniałej sytuacji. Ja w nic nie grałem.

— Gdy wyszedłem od Choo-choo, zaczęło się robić widno. Wszędzie w jego gównianym mieszkaniu leżały kartony po pizzy, wybac mi mój język, ale to był totalny burdel. Zobaczyłem się w lustrze. Wiesz, co miałem na głowie? Coś w rodzaju bandanki.

Przez dłuższą chwilę nad czymś myślał.

— Nie mów o tym mamie, dobrze?

— Jesse, nie mam zamiaru mieć sekretów przed twoją matką.

Jeśli coś mi powiesz, ja jej to powtórzę.

Przyjął to ze spokojem. Nieznacznie kiwnął głową. Niezdziwił się ani nie stawiał oporu. Nie wiem, o czym myślał; być może o czymś, co zostało powiedziane zeszłej nocy, o jakimś groteskowym pozerstwie, jakiejś głupiej próżności, o której przezornie nikomu się nie opowiada. Pragnąłem jednak ulżyć jego duszy, przepędzić obrazki przedstawiające kartony po pizzy, zasrane mieszkania i wszystkie te złe rzeczy, które musiał o sobie myśleć, wracając do domu metrem o świcie, gdy wszyscy dookoła niego byli świeżo wypoczęci i gotowi, by przyjąć nowy dzień. Chciałem odwrócić jego ciało na lewą stronę i splukać mu wnętrzności ciepłą wodą.

146

Zastanawiałem się jednak, czyjego wewnątrz jest słońce.

Był chłopakiem o beztroskim kroku. Ale czy faktycznie wiedziałem, jak naprawdę wyglądają pokoje w tym pałacu? Wmawiam sobie, że wiem, czasami jednak, słuchając, jak rozmawia na dole przez telefon, wyczuwam w jego głosie coś obcego, szorstkiego, czasem nawet chamskiego i zastanawiam się, czy to naprawdę on? Czy to może tylko poza? A może twarz, którą ja znam, to poza? Kim jest ten biorący kokę dzieciak w zasranym mieszkaniu, zachowujący się jak lubiący rozróbę gwiazdor rocka? Czy kiedykolwiek ujrzę w nim tego faceta?

— Chcę ci coś pokazać — powiedziałem i podszedłem do odtwarzacza DVD.

Bardzo słabym głosem, głosem, który sugerował, nie chce żadnych kłopotów, który sygnalizował, że spodziewa się, iż zupełnie obcy ludzie będą go policzkować, powiedział:

— Tato, wydaje mi się, że nie dam rady obejrzeć teraz żadnego filmu.

— Wiem, że nie dasz rady. Puszczę ci więc tylko jedną scenę.

Pochodzi ona z pewnego włoskiego filmu. To ulubiona scena mojej matki. W naszym letniskowym domku wciąż rozbrzmiewała ścieżka dźwiękowa z tego filmu. Wracając z molo, słyszałem tę muzykę dochodzącą z naszego domu i wiedziałem już, że matka będzie siedzieć na zabudowanej werandzie, pijąc gin z tonikiem i delektując się tym nagraniem. Gdy słyszę tę muzykę, myślę właśnie o niej. Nie wiem dlaczego, ale zawsze sprawia, że czuję się szczęśliwy. To musiało być wspaniałe lato. Mam zamiar pokazać ci

ostatnią scenę filmu. Myślę, że szybko zrozumiesz, dlaczego. Facet - gra go Marcello Mastroianni - pił, uganiał się za dziewczynkami i pieprzył sobie życie każdej nocy, w scenie tej wraz z innymi imprezowiczami kończy na plaży o wschodzie słońca. Przypomniałem mi o niej, mówiąc o walających się po mieszkaniu Choo-choo pudełkach po pizzy.

147

— Jest więc na plaży, ma kaca, wciąż jest ubrany jak na imprezę i słyszy, że woła go młoda dziewczyna. Rozgląda się, widzi ją, ale nie dociera do niego, co ona mówi.

Jest taka piękna, taka czysta, jakby była uosobieniem morza i jasnego ranka, być może nawet uosobieniem jego dzieciństwa.

Chcę, byś zobaczył tę scenę i ją zapamiętał. Ten facet, ten imprezowicz idzie na dno; wie o tym, dziewczyna również o tym wie. Ale twoje życie dopiero się zaczyna, wszystko przed tobą. Sam decydujesz, czy chcesz je zniszczyć.

Włączyłem Słodkie życie Federica Felliniego (La Dolce vita, 1960) i przewinąłem do ostatniej sceny. Mastroianni idzie, brodząc po kostki w piachu, dziewczyna woła go z odległości około pięćdziesięciu metrów, dzieli ich niewielka kałuża. Mężczyzna wzrusza ramionami, gestem pokazuje, że nie rozumie, co ona mówi. Zaczyna odchodzić; jego przyjaciele czekają. Macha dziewczynie na pożegnanie w taki zabawny sposób, jego palce są jakby zgięte. Jakby jego dłoń zamarła. On zamarł. Dziewczyna patrzy, jak on odchodzi; wciąż się uśmiecha, najpierw z czułością,

potem zrozumieniem, ale na końcu ze zdecydowaniem. Zdaje się mówić: dobrze, skoro tego chcesz. Ale wtedy bardzo powoli spogląda prosto w kamerę. „A wy? - pyta wzrokiem widzów - co zrobicie ze swoim życiem?”.

— Chcę ci powiedzieć o kokainie tylko tyle, że zawsze kończy się to w ten sposób — powiedziałem.

Następnego ranka obejrzelśmy *To wspaniałe życie* (It's a Wonderful Life, 1946). Wiedziałem, że z początku film mu się nie spodoba, przerysowana gra aktorska, jej fałsz, pewna siebie wspaniałość Jamesa Stewarta. Jesse tego nie kupi. Zwłaszcza kiedy jest w tym stanie, gdy odbiera świat jako swego rodzaju -jak to nazywaliśmy, będąc w jego wieku - „kosmiczną wyprzedź”.

Gdy jednak film staje się mroczny - James Stewart również zaczyna coraz bardziej hipnotyzować swoją grą (jest niepokojący,

148

jak ktoś, kto na przyjęciu u twoich rodziców ciska komuś innemu drinka w twarz) - nabieram pewności, że Jesse zostanie pochłonięty, nawet wbrew własnej woli. Będzie musiał wiedzieć, jak to się skończy, będzie musiał się dowiedzieć dla swojego dobra, ponieważ od tej pory historia z ekranu stanie się jego własną historią. A czy ktokolwiek, nawet zdołowany nastolatek z kacem po tequili i kokainie, może oprzeć się finałowej scenie filmu?

Dostał pracę na zmywaku w restauracji na St. Clair Avenue, niedaleko okolicy, w której dorastałem. Stanowisko załatwił mu kucharz, wysoki chłopak z rumieńcami. Jack Jakiś Tam. „Raper”.

(Mogłoby się zdawać, że każdy „rapował”). Wciąż nie znam jego nazwiska, ale czasami po nocnej zmianie zjawiali się w naszym domu w Chinatown i z piwnicy dochodziły odgłosy riffowania, rymowania i „bycia złym”. Układali niezwykle wulgarne i pełne przemocy teksty (nie mówiąc już o tym, że niektóre z nich sobie pożyczali). Założyłem, że jakoś trzeba zacząć. Nie było sensu puszczać im / Want to Hold Your Hand.

Byłem pewien, że nie wytrzyma na zmywaku nawet czterech dni. Un plongeur. Nie żeby łatwo rezygnował albo był maminsynkiem, ale ta praca - na najniższym szczeblu bezwzględnej hierarchii w restauracji, osiem godzin zmywania brudnych naczyń i zaschniętych garnków - po prostu nie potrafiłem sobie wyobrazić go wstającego z łóżka, ubierającego się i jadącego metrem w celu robienia tego aż do północy.

Jak to często okazuje się w przypadku własnych dzieci, znowu byłem w błędzie. Myślisz, że znasz je lepiej niż ktokolwiek inny, wszystkie te lata spędzone na bieganiu za nimi po schodach, przykrywaniu ich, smutkach, radościach i zmartwieniach - ale wcale ich nie znasz.

149

Koniec końców zawsze zrobią to, czego w życiu byś się po nich nie spodziewał.

Sześć tygodni później stało się coś, w co ciężko mi było uwierzyć - wstał pewnego popołudnia, wpadł do kuchni tym swoim ciężkim, radosnym krokiem i oznajmił, że dostał awans. Okazało

się, że Jack musiał odejść do innej restauracji i on, Jesse, został pomocnikiem kucharza. Poczułem ulgę. Ciężko było ją określić. Podejrzewam, że po prostu chodziło o świadomość, że jeśli musiał, to potrafił sobie zapewnić start nawet z najbardziej gównianej pracy (nie to co jego ojciec).

Nadeszła zima, zmierzch zaczął wcześniej pukać do szyb. Którejś nocy zauważyłem na dachach delikatną posypkę ze śniegu; domy wyglądały trochę jak z bajki, a trochę jak ciastka na witrynie sklepowej. Gdyby po północy do okien mojej piwnicy zbliżył się pieszy, usłyszałby pewnie zbuntowane głosy dwóch wysokich chłopców, za dnia będących kucharzami, a w nocy raperami, opowiadających o upokorzeniach dorastania w getcie, braniu heroiny, okradaniu sklepów, sprzedawaniu broni; tatuś - diler narkotykowy, mamusia - dziwka sprzedająca się za crack. Idealny obraz dzieciństwa Jessego! (Ojciec Jacka był nawróconym chrześcijaninem i regularnie chodził do kościoła).

Stojąc na szczycie schodów do piwnicy (częściowo podsłuchując), musiałem wreszcie zauważyć, że zaczynali rapować jakoś tak - nie wiem - cool. Chemia działała, ci chuderlawi chłopcy w zbyt luźnych ciuchach byli niezli. Boże, pomyślałem, może on ma talent.

Pewnej chłodnej, jasnej nocy z piwnicy dochodziły odgłosy radosnego podniecenia. Głośna muzyka, podniesione głosy. Chłopcy (ich zespół nazywał się teraz Corrupted Nostalgia) wbiegli po schodach, mieli na sobie czapki bejsbolowe, bandanki, zwisające

do kolan spodnie, okulary przeciwsłoneczne i zbyt duże bluzy z kapturami. Dwóch bardzo złych gości w drodze na swój pierwszy występ.

Czy mogłem iść z nimi?

Nie było szans. Żadnych.

Wyszli gdzieś, Jesse odrzucał głowę niczym czarny mężczyzna przed policjantem z Los Angeles.

Zdawało mi się, że bardzo szybko zaczęli dawać następne koncerty, a potem następne i następne, grali w brudnych klubach o nisko zawieszonych sufitach, w których nie przestrzegano zakazu palenia.

— Co myślisz o naszych tekstach? — spytał Jesse pewnego dnia. — Wiem, że ich słuchałeś.

Wiedziałem, że ta chwila kiedyś nadejdzie. Zamknąłem oczy (metaforycznie rzecz ujmując) i wskoczyłem do wody.

— Myślę, że są świetne. — (Po prostu podlej roślinkę, aT.S. Eliota zachowaj dla siebie).

— Naprawdę? — spojrzenie jego brązowych oczu przemknęło po mojej twarzy w poszukiwaniu oznak kłamstwa.

— Czy mogę coś zasugerować?

Jego twarz pociemniała od podejrzeń. Uważaj. Takie rozmowy ludzie pamiętają - albo o nich piszą - nawet pięćdziesiąt lat później.

— Może powinieneś spróbować pisać o czymś, co jest bliższe twojemu życiu — powiedziałem.

— Na przykład?

Udałem, że się namyślałem. (Wcześniej przeprowadziłem próby przed lustrem). — O czymś, co wywarło na ciebie duży wpływ.

— Na przykład?

— Na przykład o, hm, Rebecę Ng.

— Co?

— Napisz o Rebecę.

— Tato. — Powiedział to głosem zarezerwowanym dla pijane-

151

go wujka, który o północy chce się wybrać rodzinnym samochodem na „przejażdżkę”.

— Jesse, wiesz przecież, co powiedział Lawrence Durrell. Jeśli chcesz przestać myśleć o kobiecie, napisz o niej.

Kilka tygodni później stałem właśnie na szczycie schodów, gdy usłyszałem, jak Jesse i Jack rozmawiali o tym, gdzie będą grać tej nocy. Wraz z kilkoma innymi grupami mieli dać koncert po północy, w klubie, do którego trzydzieści lat temu chodziłem w poszukiwaniu dziewcząt.

Poczekalem do wpół do dwunastej, potem wymknąłem się na mroźną noc. Przeszedłem przez park (czując się jak złodziej), przez Chinatown (wystawione kubły na śmieci, wszędzie koty), a potem poszedłem ulicą prawie do samych drzwi klubu. Stało przed nim pół tuzina młodych mężczyzn palących papierosy, wdychających dym pełną pierśią i głośno się śmiejących. I plujących. Wszyscy mężczyźni pluli.

Stał tam, wyższy o głowę od większości swoich kolegów.

Wślizgnąłem się do kawiarenki po drugiej stronie, z której niezauważony mogłem trzymać rękę na pulsie. Była sobotnia noc w Chinatown: elektryczne, zielone smoki, wybuchające koty, całonocne restauracje z tym brzydkim, odblaskowym oświetleniem. Dalej, przed Scott Mission, zebrali się żebracy tego miasta otuleni w koce.

Minęło pięć minut, potem piętnaście; jeden z chłopców odchylił się, rozmawiał z kimś stojącym na schodach klubu.

Potem zjawił się Jack. Jego twarz wyglądała bardzo świeżo.

Prezentował się jak chłopiec z chóru kościelnego. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Para z ust. Dreszcze. Nagle cała grupa weszła szybko do środka, elegancko wyrzucony przez ostatniego chłopaka papieros zatoczył łuk i upadł na ulicę.

Poczekalem, aż będzie pusto, i popędziłem przez zatłoczoną ulicę. Ostrożnie wszedłem po schodach; czułem, jak powietrze

152

się zmienia; z każdym krokiem stawało się cieplejsze i bardziej śmierdzące (jak zapach szczeniaków w połączeniu ze zwietrzalym piwem). Z zaplecza dochodziła muzyka. Jeszcze nie zaczęli.

Poczekaj na zewnątrz, aż zaczną, potem wślizgniesz się do środka. Stałem na szczycie schodów i wychyliłem się zza rogu; przy aparacie telefonicznym stał młody chłopak, spojrzał przed siebie i zauważył mnie. Był to Jesse.

— Oddzwonię do ciebie — powiedział do słuchawki i rozłączył się. — Tato — zwrócił się do mnie, jakby się ze mną witał. Podszedł

do mnie, uśmiechał się, a ciałem blokował wejście na salę. Zerknąłem mu przez ramię.

— To tutaj gracie? - spytałem.

— Nie możesz dzisiaj tutaj być, tato. Może innym razem, ale nie dzisiaj.

Bardzo delikatnie mnie odwrócił i zaczęliśmy schodzić po schodach.

— Wydaje mi się, że grali tutaj Stonesi — powiedziałem, z nadzieją patrząc przez ramię, pod jego ręką (jaki on jest silny!) prowadzącą mnie na dół, wciąż na dół, aż weszliśmy na chodnik.

— Mógłbym zostać chociaż na jeden kawałek? — spytałem błagalnie.

— Tato, kocham cię, ale dzisiejsza noc nie jest twoją nocą — powiedział. (Czy nie słyszałem tego tekstu ostatnio w Na nabrzeżach, gdy na tylnym siedzeniu taksówki Brando zwrócił się w ten sposób do swojego brata?).

— Innym razem, obiecuję — był nieustępliwy.

Gdy dwadzieścia minut później cichutko wślizgiwałem się do łóżka, usłyszałem, jak w ciemności moja żona odwraca się do mnie.

— Przyłapali cię, co?

Rozdział 11

Była to zupełnie przypadkowa uwaga. Wracaliśmy do domu z kolacji i przez chwilę stanęliśmy przed parterowym, rozwalającym się domem, w którym mieszkaliśmy, gdy Jesse był jeszcze dzieckiem z ciemnorudymi włosami, a na tej samej ulicy mieszkała jego

mała, chudziutka dziewczyna.

— Zatrzymujesz się tutaj czasami? — spytałem.

— Nie. Odkąd mieszkają tutaj obcy ludzie, nie lubię tędy przechodzić. Zawsze czuję, jakbym ich nachodził.

Dom w ogóle się nie zmienił - wciąż nie miał prawego narożnika i był otoczony rozwalającym się, kołkowym płotem.

— Nie wiedziałem, że jest taki mały. Gdy byłem dzieckiem, wydawał się ogromny — dodał.

Postaliśmy chwilę, rozmawiając o jego matce i o tym, jak został zatrzymany za malowanie sprayem po ścianach pobliskiej szkoły. Następnie, ogrzani wspomnieniami, udaliśmy się na południe do naszego domu.

Tego wieczoru, będąc wciąż pod wrażeniem naszej rozmowy, popędziłem do wypożyczalni po Amerykańskie graffiti (American Graffiti, 1973).

Nie powiedziałem Jessemu, co to za film - wiedziałem, że za-
protestuje albo spojrzy na pudełko od płyty i znajdzie na nim coś,
co mu się nie spodoba lub sprawi, że film będzie się zdawał „zbyt
155

przestarzały". Amerykańskiego graffiti nie widziałem od dwudziestu lat i obawiałem się, że jego urok i lekkość straciły już swoją moc. Myliłem się. Nadal jest czarujący i głęboki tak jak wtedy, gdy oglądałem go po raz ostatni. (Dobre filmy stanowią większe wyzwanie intelektualne, niż myślałem, przynajmniej na etapie swojego powstawania).

Amerykańskie graffiti nie opowiada tylko o grupie młodych ludzi i ich sobotniej nocy. Jest tu na przykład wspaniały moment, gdy bardzo młody Richard Dreyfuss zagląda do lokalnej rozgłośni radiowej i obserwuje, jak Wolfman Jack zachrypniętym głosem wykonuje swój zwykły numer. Dreyfuss pojmuje nagle, co tak naprawdę jest prawdziwym centrum wszechświata: nie ma ono konkretnej lokalizacji, lecz jest uosobieniem pragnienia, by nigdy niczego nie przegapić - innymi słowy nie można tam pójść, jest raczej miejscem, w którym chcesz być. Uwielbiam również przemowę kierowcy hot rodów o tym, jak kiedyś trzeba było zatankować do pełna, żeby urządzić przejażdżkę po mieście, podczas gdy teraz wszystko zostaje załadowane w ciągu pięciu minut. Nieświadomie mówi o końcu dzieciństwa. Świat się skurczył, podczas gdy ty patrzyłeś w drugą stronę. (Tak samo jak rozwalający się dom zmniejszył się w oczach Jessego).

Nie chciałem nadużywać zainteresowania Jessego, mówiąc o Amerykańskim graffiti i Prouście, ale w jaki inny sposób można wytłumaczyć obecność pięknej dziewczyny w thunderbirdzie, która pojawia się i znika z pola widzenia Dreyfussa? Tylko jako przykład Proustowskich rozważań na temat tego, że posiadanie i pragnienie wzajemnie się wykluczają. Żeby pozostać dziewczyną marzeń, dziewczyna ta musi zawsze odjeżdżać.

— Tato, myślisz, że to prawda, że nie można mieć kobiety i jednocześnie jej pragnąć? — spytał Jesse.

— Nie. Ale myślałem tak, będąc w twoim wieku. Nigdy nie potrafiłem brać żadnej dziewczyny na serio, jeśli za bardzo mnie lubiła.

— I co się zmieniło od tego czasu?

156

— Na przykład moja zdolność do wyrażania wdzięczności — powiedziałem.

Ponuro przyglądał się wyłączonemu ekranowi telewizora.

— Rebecca Ng jest jak ta dziewczyna z thunderbirda, prawda?

— Tak, ale musisz pamiętać, że to działa w dwie strony. Tak samo było z twoją byłą dziewczyną, Claire Brinkman, tą na rolkach.

Jak myślisz, w jaki sposób traktowała cię po waszym zerwaniu?

— Jak chłopaka z thunderbirda?

— Prawdopodobnie tak.

— Tato, ale czy to nie oznacza, że jeśli bym z nią nie zerwał, to tak bardzo by mnie nie lubiła?

— Oznacza to, że polubiła cię jeszcze bardziej, ponieważ nie mogła cię mieć.

Kolejna wypełniona rozważaniami cisza.

— Nie wydaje mi się, żeby Rebecce Ng zależało na tym, żeby móc mnie mieć.

— Mam nadzieję, że tak właśnie jest — odparłem i zmieniłem temat.

Pewnego razu spytałem Davida Cronenberga, czy istnieją filmy, które lubi, a które jednocześnie wywołują w nim wyrzuty sumienia, bo wie, że są beznadziejne. Sam przyznałem się do swojej słabości do *Pretty Woman* (1990) z Julią Roberts. W całym filmie nie ma ani jednego wiarygodnego momentu, ale jest on rozbraja-

jący, jeśli chodzi o sposób opowiedzenia całej historii, jedna uroczą sceną przechodzi w drugą i znalazłszy się raz w jej idiotycznym uścisku, bardzo trudno jest się od niej odwrócić.

— Chrześcijańska telewizja — Cronenberg odparł bez wahania. Wspomniał coś o hipnotyzującym go, południowym ewangelicystę z pucołowatą twarzą, który przemawiał do ludu.

157

Obawiając się, że klub filmowy może się wydać Jessemu trochę sztywniacki (obejrzelśmy pięć filmów Nowej Fali pod rząd), ułożyłem listę kiepskich produkcji, które nam się podobają. Oglądanie ich zaplanowałem na pierwszy tydzień lutego. Chciałem uwolnić Jessego od pospolitego przekonania, że przy kiepskim filmie nie można się dobrze bawić. Trzeba nauczyć się przestać myśleć w ten sposób.

Zaczęliśmy od Rocky'ego III (1982). Zwróciłem uwagę na tani, lecz nieprzeparty urok spoconego Mr.T. robiącego brzuszki i podciągnięcia w swojej małej, brzydkiej piwnicy. Nie należały mu się żadne miękkie dywany ani żadna kawa z papierosem! Następnie obejrzelśmy film noir⁶ W mroku nocy (Night Moves, 1975), w którym rozpustną nimfetkę zagrała osiemnastoletnia Melanie Griffith. Obserwując ją z daleka, jej „starszy” chłopak mówi do Hackmana: „Prawo powinno istnieć”. Śmiertelnie poważny Hackman odpowiada: „Istnieje”.

Potem przeszliśmy do Nikity (La Femme Nikita, 1990). Absurdalny film o pięknej narkomance wyszkolonej na rządową zabójczy-

nię. Nawet teraz jest w nim coś urzekającego - prawdopodobnie dlatego, że tak świetnie się go ogląda. Luc Besson był młodym, przemądrzałym, francuskim reżyserem, który pracę z kamerą zdawał się mieć we krwi, stawiał na wizualne doświadczenia i pracował z takim zapałem, że można było wybaczyć mu głupotę i nieprawdziwość historii.

6 Dosłownie „czarny film”; nurt filmowy popularny w latach 40. i pierwszej połowie lat 50. XX wieku w kinie amerykańskim, reprezentowany zwykle przez filmy czarno-białe, nacechowane charakterystyczną, mroczną atmosferą, z galerią negatywnych postaci - detektywa w filcowym kapeluszu i długim płaszczu, femme fatale z idealnym makijażem i papierosem w ręku czy gangsterów. Do najwybitniejszych filmów tego typu należą Chinatown, Sokół maltański, Bulwar zachodzącego słońca, Podwójne ubezpieczenie czy Dotyk zła (przyp. red.).

158

Zwróć uwagę na to, w jaki sposób film się zaczyna - ulicą idzie kobieta i trzech facetów; jeden z nich ciągnie nieprzytomnego mężczyznę. To jak wideo do nagrania rockowego, halucynacja po LSD do W samo południe z Garym Cooperem. A jeśli chodzi o strzelaninę: obserwuj zajście w sklepie - można czuć, jak kule przelatują ci koło ucha.

Nikita była jednak tylko rozgrzewką. Teraz już byliśmy gotowi na króla wszystkich kiepskich, a jednocześnie uwielbianych filmów, prawdziwą kichę, która sprawia, że wstydzisz się przed ludźmi oglądać ją w swoim domu. Pełny pożądania, głupi i odrażający film Showgirls (1995) nie cofa się przed niczym. Po jego

obejrzeniu widzowie kręcą głowami z niedowierzaniem i zastanawiają się, co będzie dalej z tą młodą dziewczyną, która opuszcza dom (i to jaki!), by zostać striptizerką w Las Vegas. W filmie jest dużo nagości dla tych, którzy ją lubią, ale na końcu odczuwa się już przesyt. Ile można na to patrzeć.

— Showgirls — powiedział Jessemu — jest czymś w rodzaju kinowego dziwadła, kiepskiego filmu bez ani jednego dobrego zagrania.

Gdy Showgirls wszedł do kin, został przywitany wrzaskami niedowierzania i drwin zarówno ze strony krytyków, jak i publiczności. Kariera gwiazdy filmu, Elizabeth Berkley, zakończyła się, zanim na dobre się rozpoczęła; aktor weteran Kyle MacLachlan [Blue Velvet, 1986] ośmieszył się swoją rolą „dyrektora przedstawienia” z podkręconym wąsem. W ciągu nocy Showgirls skoczył na pierwsze miejsce listy najgorszych filmów 1995 roku.

Jednak ostateczną katastrofę filmu przypieczętowały pokazy realizowane w nowojorskiej społeczności gejów, w których drag queens odgrywały role z filmu wraz z dialogami, a oryginalne dzieło było emitowane na olbrzymim ekranie za ich plecami. Była to najlepsza rozrywka od czasów Ukochanej mamusi (Mommie Dearest, 1981).

159

Poprosiłem Jessego, żeby policzył, ile razy miss Berkley z oburzeniem wybiega z pomieszczenia. Zwróciłem jego uwagę na scenę, w której grozi nożem kierowcy taksówki. Był to szczególny ro-

dzaj aktorstwa.

— Kształcące okropieństwo — stwierdził. Jego słownictwo mi imponowało.

— Showgirls — podsumowałem — to film, który uczyni nas proktologami. Niektórzy mogą się upierać, że najgorszym filmem wszech czasów jest Plan dziewięć z kosmosu (Plan 9 from Outer Space), ale jest to po prostu myślenie odziedziczone po wcześniejszych pokoleniach. Ja stawiam na ten właśnie film.

W momencie, w którym miss Berkley liże metalową rurę w lokalu ze striptizem, uświadomiłem sobie, że do Showgirls uczyniłem dłuższy wstęp niż do Czterystu batów i w ogóle całej francuskiej Nowej Fali.

Oglądając kiepskie filmy, z impetem wzięliśmy się za Liberatora {Under Siege, 1992}, wspaniały kawałek nonsensu, chełpiący się dwoma łajdakami, Garym Buseyem i Tommym Lee Jonesem, świetnymi aktorami, którzy próbowali walczyć z akcją. Para prawdziwych jambons. Po prostu wiesz, że w przerwach między kręceniem scen leżeli i kwiczeli ze śmiechu. Poprosiłem Jessego, żeby wypatrywał sceny, w której Busey, oskarżony o utopienie swoich towarzyszy rejsu, odpowiada: „I tak nigdy mnie nie lubili”.

Na koniec wypożyczyliśmy sobie kilka odcinków Waltonów (The Waltons, 1972-1981). Chciałem, żeby Jesse posłuchał monologów zamykających każdy odcinek, w których narrator podsumowuje ukazane w filmie wydarzenia z perspektywy dorosłego człowieka. Dlaczego te retrospekcje są tak sugestywne? Spytałem go o to.

— Co?

— W jaki sposób udało im się sprawić, że zatęskniłeś za życiem, którego nigdy nie prowadziłeś?

— Nie wiem, o czym mówisz, tato.

160

Gdy Jesse i trzech jego kumpli jechało do Montrealu na koncert rapowy, byłem podenerwowany. Dałem mu sto dolarów, powiedziałem, że go kocham, i patrzyłem, jak podekscytowany wybiega przez frontowe drzwi. Krzyknąłem coś do niego, gdy przebiegał przez trawnik. Trzech kolegów siedziało już grzecznie w samochodzie ojca któregoś z nich.

Nie wiem, co do niego krzyknąłem, ale wrócił jeszcze na zmarniętą trawę. Chciałem tylko wywołać opóźnienie, piętnaście, dwadzieścia sekund, tak żeby ewentualna, czekająca na niego na drodze śmierć zdążyła go minąć - o metry, może o sekundy.

Wrócił do domu w nocy w następny poniedziałek i opowiedział mi dziwną historię. Wyglądał strasznie, jego twarz zdawała się eksplodować.

— Jeden z jadących z nami chłopaków był kumplem Jacka.

Gruby, czarny facet. Nigdy wcześniej go nie spotkałem. Siedziałem obok niego w samochodzie i byliśmy jakieś sto mil przed Toronto, gdy zadzwoniła jego komórka. I wiesz, kto dzwonił? Rebecca. Rebecca Ng. Teraz mieszka i studiuje w Montrealu.

— O Jezu.

— Siedzący tuż obok mnie czarny chłopak zaczyna z nią roz-

mawiać. Staralem się czytać albo wyglądać przez okno - nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Nie potrafiłem trzeźwo myśleć. Byłem pewien, że zaraz dostanę zawału albo wybuchnie mi głowa, tak jak temu facetowi w filmie...

— Skanerzy.

— A potem on mówi przez telefon: „Jest tutaj Jesse Gilmour.

Chcesz z nim pogadać?” i podaje mi słuchawkę. I jest. Nie widziałem Rebeki przez rok ani nic, ale jest. Rebecca. Moja Rebecca.

— I co powiedziała?

— Żartowała, flirtowała, wiesz, jak to Rebecca. Mówi: „Wow, co za niespodzianka. Nie spodziewałabym się tego”. I pyta mnie, gdzie będziemy spać w Montrealu. Podałem nazwę hotelu, a ona

161

na to: „Co robicie dzisiaj wieczorem? Mam nadzieję, że nie będziecie siedzieć w hotelu”.

— A ja mówię, że to zależy od chłopaków. Ona wtedy: „Dobrze ja będę w tym i tym klubie - może wpadnijcie?”.

— Podróż do Montrealu zajęła nam sześć albo siedem godzin.

Może trochę dłużej - padał śnieg. Dojechaliśmy, zameldowaliśmy się w hotelu; był mocno wysłużony, taki Holiday Inn drugiej kategorii, ale znajdował się bardzo blisko centrum i dzielnicy studenckiej.

— Wyszliście więc z hotelu i kupiliście hektolitry piwa...

— Wyszliśmy z hotelu, kupiliśmy hektolitry piwa i wróciliśmy do hotelu; wszyscy byliśmy w tym samym pokoju, czarny chłopak, który znał Rebeke, miał osobne łóżko. Gdzieś o dziesiątej czy jede-

następ w nocy...

— Wszyscy byliście już nieźle wstawieni.

— Wszyscy byliśmy już nieźle wstawieni i wyszliśmy do knajpy.

Do klubu, o którym mówiła Rebecca. Gdzieś na Saint Catherine Street. Wszędzie byli studenci. Powinienem być zrozumieć, co to oznaczało. Ale nie rozumiałem. Wchodzimy do klubu, legitymuje nas wielki, wąsaty facet. Prosi o dowody osobiste. Nie mam. Pozostali mają. I wszyscy wchodzą do środka.

Ale mnie facet nie chce wpuścić. Mówię mu nawet, że w klubie jest moja była dziewczyna, której nie widziałem od bardzo dawna. Mówię mu wszystko. Ale to na nic. Stoję więc na chodniku, w środku są moi kumple i Rebecca, i myślę sobie, że to najgorsza rzecz, jaka kiedykolwiek mnie spotkała.

— Ale potem Rebecca podchodzi do wejścia. Nigdy w życiu nie wyglądała lepiej - jest po prostu powalająca. Rozmawia z ochroniarzem, wiesz, jak to ona, staje blisko niego, patrzy w górę, trzepocze rzęsami. Bardzo się stara. A bramkarz uśmiecha się z zakłopotaniem i nie patrząc na nią ani na mnie, odpina sznur i wpuszcza mnie do środka.

— Wow. (Co innego można powiedzieć?)

162

Kontynuował.

— Usiadłem obok Rebeki na krześle przy barze i zacząłem pić dużo i szybko...

— Czy ona też dużo piła?

— Niedużo, ale piła. Nie potrzebuje za dużo alkoholu.

— No i?

— Upiłem się. Naprawdę bardzo się upiłem. I zaczęliśmy się kłócić. Krzyčeliśmy na siebie. Barman kazał przestać mi pić; potem przyszedł bramkarz i kazał nam obojgu wyjść. Wyszliśmy więc na chodnik, śnieg już nie padał, ale było zimno, jak to w Montrealu, widzisz swój oddech. Wciąż się kłóciliśmy. Spytałem, czy nadal mnie kocha. A ona odpowiedziała: „Nie będę z tobą o tym rozmawiała, Jesse. Po prostu nie będę. Mieszkam z kimś”. Zawołała taksówkę i wsiadła do niej.

— Widziałeś się z nią jeszcze?

— Nie martw się, to nie koniec opowieści. — Przerwał i zaczął gapić się na drugą stronę ulicy, jakby przypomniat sobie coś albo nagle rozpoznał osobę idącą z naprzeciwka.

— Co się jeszcze wydarzyło? — spytałem zaniepokojony, zabrzmiało to opryskliwe.

— Myślisz, że pytając ją o to, czy mnie kocha, zachowałem się jak mięczak?

— Nie. Ale wiesz... — przez chwilę pomyślałem, jak to ująć.

— Wiem co? — spytał szybko, jakbym chował nóż pod kurtkę.

— To jest właśnie to, o czym mówiłem przez jakiś ostatni rok.

Czyli że najważniejszych rozmów nie wolno przeprowadzać pod wpływem alkoholu. — (Jezu, jak to brzmi, pomyślałem).

— Ale tylko wtedy naprawdę chce się je przeprowadzać — powiedział.

— I to właśnie stanowi problem. Nieważne, mów dalej.

— Wróciliśmy we czwórkę do hotelu. Któryś miał ze sobą butelkę tequili.

163

— O mój Boże.

— Następnego ranka obudziłem się z potwornym kacem.

Wszędzie walały się butelki po piwie, spałem w ubraniu, wydałem wszystkie swoje pieniądze. Wciąż pamiętałem, jak spytałem Rebeke o to, czy nadal mnie kocha, a ona odpowiedziała: „Nie będę z tobą o tym rozmawiała” i wsiadła do taksówki.

— Straszne.

— Starąłem się zasnąć.

— Słusznie.

— Miliony razy planowałem, co jej powiem, gdy ją spotkam, a wydarzyło się właśnie to.

Gapił się na dom po drugiej stronie ulicy.

— Czy kiedykolwiek przydarzyło ci się coś takiego? — spytał.

— Co było dalej?

— Wyszliśmy na śniadanie. Musiałem być jeszcze pijany, bo gdy wróciliśmy do pokoju, wszystko zwymiotowałem.

— Skąd miałeś pieniądze na śniadanie?

— Pożyczyłem od Jacka. Nie martw się - zajmę się tym.

Przerwał i zapalił papierosa. Wydmuchał dym.

— Nie pamiętam, co robiliśmy następnego dnia - wydaje mi się, że poszliśmy na Mount Royal, ale było za zimno. Nie miałem odpowied-

niej kurtki ani rękawiczek. Przez chwilę się tam kręciliśmy - właśnie odbywał się studencki zjazd, myśleliśmy, że może uda nam się poznać jakieś dziewczyny - ale strasznie wiało, przewiewało mi nogawki.

— Tego wieczoru poszliśmy na koncert rapowy, było całkiem fajnie, pomijając fakt, że wciąż rozglądałem się za Rebeką. Po prostu wyczuwałem jej obecność na sali, ale jej nie widziałem. Następnego ranka czarny chłopak powiedział, że musi iść po coś do Rebeki, po jakąś paczkę.

— Poszedłeś z nim?

— Chciałem się z nią zobaczyć, więc po co miałem udawać?

(Pomyślałem, że jest bardziej odważny ode mnie).

164

— Poszliśmy do mieszkania, w którym mieszka razem ze swoim chłopakiem. Gdy wsiedliśmy do windy, pomyślałem sobie, że to jest winda, którą codziennie jeździ; to jest korytarz, którym codziennie chodzi; to są jej drzwi...

— Jezu, Jesse.

— Nie było ani jej, ani jej chłopaka, była tylko współlokatorka, która nas wpuściła.

Wszedłem do mieszkania i zerknąłem do jej sypialni. Nie potrafiłem się powstrzymać. Pomyślałem, że to tutaj śpi, to tutaj się ubiera rano. I wtedy się zjawia. Rebecca. Wygląda tak, jakby cały ranek spędziła na dobieraniu ubrania.

— Prawdopodobnie tak właśnie było.

— Usiadłem w rogu i patrzyłem, jak gadała z chłopakami. Jak to

ona. Gawędziła, żartowała i rozmawiała ze wszystkimi oprócz mnie.

— A potem?

— Potem wstałem, wyszliśmy i wróciliśmy do domu.

— To musiała być długa droga.

Skinął głową, nieobecny. Znowu stał z Rebeką na zimnej ulicy

i pytał, czy wciąż go kocha.

Rozdział 12

I wtedy wyszło słońce. Nastąpiło to zaraz po obejrzeniu filmu Kurosawy. To musiał być Ran. Jesse był zaaferowany filmem bardziej niż zwykle, bardzo podobały mu się sceny walki i ścięcie zdradzieckiej kochanki; ostatnie ujęcie, w którym ślepiec błądzi po klifie, przyprawiło go o zawrót głowy.

W ciągu ostatnich kilku dni zachowanie Jessego się zmieniło.

Tryskał szczególnym rodzajem entuzjazmu młodego człowieka, który ma na co czekać. Na coś, co było do osiągnięcia. Zastanawiałem się, czy energii dodały mu pogoda, piękne wiosenne dni, słońce, zapach wilgotnej ziemi, zima, która już nie powróci. Wyczuwałem, że niezależnie od przyczyny była to sprawa prywatna; jednak bardzo chciał mi o tym powiedzieć. Bezpośrednie pytanie by go wystraszyło, zszedłby do podziemi - byłem tego pewien - musiałem więc rozegrać sprawę pasywnie, poczekać na chwilę, w której nasze spojrzenia się spotkają i będę mógł wyciągnąć z niego całą historię.

Siedzieliśmy na ganku, opadały z nas emocje po seansie Ran, ptaszki ćwierkały, nasza chińska sąsiadka pracowała w ogrodzie, wtykając w ziemię pale pod winorośl i tajemnicze owoce; dobie-

gała osiemdziesiątki i nosiła przepiękne, jedwabne płaszcze. Nad nami świeciło wyjątkowo grzejące jak na tę porę roku słońce.

— Z marcem jest tak — powiedziałem możliwie jak najnudniejszym głosem — że myślisz: zima już się skończyła. Nieważne, ile lat

167

już tutaj mieszkasz, wciąż popełniasz ten sam błąd. — Widziałem, że Jesse prawie mnie nie słucha, ale ciągnąłem dalej. — Mówisz sobie, okej, super, zima się skończyła. I w chwili gdy wypowiadasz te słowa, wiesz, co się dzieje?

Nie odpowiedział.

— Powiem ci, co się dzieje. Zaczyna padać śnieg. I pada i pada, i pada.

— Mam nową dziewczynę — powiedział.

— Wiosna to podstępna pora roku — odparłem. (Nudziłem nawet samego siebie).

— Pamiętasz, jak opowiedziałeś mi historię o Arthurze Cramnerze, twoim starym przyjacielu? Tym, który wziął jedną z twoich dziewczyn?

Chrząknąłem.

— Nie żeby po tylu latach miało to jakieś ogromne znaczenie, ale on jej nie wziął. Ja oddałem ją wcześniej, niż byłem na to gotowy, to wszystko.

— Wiem, wiem — powiedział. (Czy skrywał uśmiech?). — Ale mnie spotkała podobna historia.

Spytał, czy pamiętam jego przyjaciela Morgana.

— To twój kumpel z pracy.

— W bejsbolowej czapce.

— A tak, ten.

— On był właśnie z tą dziewczyną, Chloe Stanton-McCabe; chodzili ze sobą od czasów liceum. Był wobec niej obojętny. Mówiłem mu: „Uważaj na nią, Morgan, ona jest naprawdę piękna!”. A on odpowiadał — Jesse naśladował głos tępaka — „No i co z tego”.

Skinąłem głową.

— Studiuje ekonomię na uniwersytecie w Kingston.

— I chodzi z Morganem?

— Morgan to świetny chłopak — odparł szybko (jego odpowiedź 168

mnie zaskoczyła). — Ale jakiś rok temu zerwali ze sobą. Kilka dni później Jack, chłopak z mojego zespołu...

— Kolejny typek w bejsbolowej czapce.

— Nie, to Morgan.

— Żartuję.

— Jack to ten koleś z czerwonymi policzkami.

— Wiem, wiem, mów dalej.

— Pewnego wieczoru Jack zadzwonił do mnie i powiedział, że spotkał tę dziewczynę, Chloe Stanton-McCabe, w barze i ciągle o mnie mówiła, jaki to ze mnie fajny chłopak, jaki dowcipny i w ogóle.

— Tak?

— A najdziwniejsze jest to, tato, że tego wieczoru leżałem w łóżku i w ciemnościach zastanawiałem się, jakby to było z nią być, ożenić się z nią. Prawie jej nie znałem. Widywałem ją na imprezach, spotkałem kilka razy w klubach, ale nic specjalnego się nie działo i nigdy nie była sama.

— Taki telefon musiał być dla ciebie miłym zaskoczeniem.

— Zdecydowanie tak. Ale tydzień później ona i Morgan zeszli się.

Poczułem się trochę rozczarowany, ale nie było tak źle. Były jeszcze inne dziewczyny. Ale tak, było to rozczarowujące. Nawet bardzo.

Patrzył na ulicę; na drugim piętrze na zaimprovizowanym sznurze na białinę wisiały prześcieradła i dziecięce spodenki.

Czuć było ciepły powiew wiatru.

Kontynuował.

— Pewnego dnia po pracy Morgan powiedział - był już trochę wcięty - „Przez jakiś tydzień podobałeś się mojej dziewczynie”. I zaczął się śmiać, jakby to wszystko było dobrym dowcipem. Ja też się śmiałem. Potem widziałem Chloe kilka razy; trochę ze mną flirtowała, ale wciąż była z Morganem. Raz stałem

169

przy barze, poczułem czyjąś rękę na moim tyłku, a gdy się odwróciłem, ujrzałem, jak ta blondwłosa piękność odchodzi. Pewnego dnia spytałem Morgana, czy mogę się z nią spotkać, a on na to: „Jasne, jest mi to obojętne. Ja po prostu lubię z nią sypiać,

to wszystko". Oczywiście użył innego słowa.

— Domyślam się.

— Ja jednak byłem bardzo ostrożny. Nie chciałem, żeby Morgan się ze mnie śmiał: „Ja nawet jej nie chcę, a ty nie potrafisz jej zdobyć”.

— Fajnie.

— Więc — spojrzał na ulicę, żeby zebrać myśli, jakby musiał nabrać siły, by wkroczyć w kolejny etap. — W ostatni weekend udałem się do baru na Queen Street. To było jak scena z Ulicę-ndy. Po prostu wziąłem prysznic, umyłem włosy, założyłem nowe ciuchy i poczułem się świetnie. Wszedłem do baru, akurat grali piosenkę, którą naprawdę lubię, i poczułem, że mogę dostać absolutnie wszystko, czego chcę.

Chloe też tam była; przyjechała do domu na weekend. Siedziała przy stoliku ze znajomymi i wszyscy zaczęli mówić: „Oooo, Chloe, zobacz, kto przyszedł!”. Podeszedłem więc do niej, pocałowałem ją w policzek i powiedziałem: „Cześć, Chloe”. Ale nie zostałem. Udałem się na koniec baru i kupiłem sobie drinka. Za chwilę podeszła do mnie i zaproponowała: „Chodźmy na zewnątrz na papierosa”. Wyszliśmy z baru; usiedliśmy na poręczy i powiedziałem, tak po prostu: „Bardzo chciałbym cię pocałować”. A ona odpowiedziała: „Naprawdę?”. A ja: „Tak”. „A co z Morganem?”-spytała. „Załatwię to z nim - obiecałem. - Dowiedział się o tym?”. Powiedziałem mu następnego dnia. Odpowiedział — Jesse obniżył głos o oktawę — „Co mnie to obchodzi”. Ale tego wieczoru poszliśmy po pracy na

piwo i naprawdę się upił, pił bardzo szybko, i spytał: „Myślisz, że jesteś teraz gościu, bo jesteś z Chloe, prawda?”. Zadzwoił do mnie następnego ranka; było to trochę smutne i trochę odważne, bo

170

powiedział: „Słuchaj, trochę dziwnie się czuję, wiedząc, że jesteś z nią”. A ja na to: „Tak, ja też tak się czuję”.

Zapalił papierosa i trzymał go z drugiej strony krzesła, żeby dym na mnie nie leciał.

— Świetna historia — odezwałem się (pościel delikatnie powiewała na wietrze). Oparł się, patrzył prosto przed siebie, wyobrażając sobie Bóg wie co, może szkołę rodzenia z Chloe albo tournée z Eminemem.

— Myślisz, że Morgan i ja to przetrwamy? Mam na myśli naszą przyjaźń. Ty i Arthur Cramner przetrwaliście.

— Jesse, będę z tobą szczery. Kobiety to krwawy sport.

— Tak? — spytał. Widać było, że chciał jeszcze porozmawiać o Chloe. Za szybko opowiedział mi tę historię.

Było to dobre lato dla nas obu. Pracowałem tu i ówdzie (powoli nabierałem rozpędu), kilka razy byłem gościem w programach telewizyjnych, pojechałem do Halifaxu na nagranie audycji dotyczącej książek, na Manhattanie przeprowadziłem kolejny wywiad z Davidem Cronenbergiem do magazynu dla mężczyzn. Nie wychodziłem co prawda na prostą, więcej pieniędzy wydawałem niż zarabiałem, ale nie miałem już poczucia, że marnotrawię pieniądze, że za pięć lat czeka mnie coś smutnego, a nawet tragicznego.

Wtedy wydarzyło się coś, co jakby postawiło „kropkę nad i”.

Poczułem, że mój pechowy okres dobiegł końca. Dla postronnego obserwatora nie było to być może nic wielkiego. Zostałem poproszony o napisanie recenzji filmu dla czasopisma o krajowym zasięgu. Płaca była kiepska, robota jednorazowa, ale - jakby to wyjaśnić - zawsze chciałem to robić. Niektóre rzeczy mają wartość o wiele większą niż zadośćuczynienie finansowe, tak jak wykład naukowca, który chce wygłosić referat właśnie na uniwersytecie

171

w Sorbonie, albo występ aktora, który koniecznie chce zagrać w filmie z Marlonem Brando. (Nawet w kiepskim filmie. Nieważne).

Jesse pracował na wieczorną zmianę. Wciąż był pomocnikiem kuchennym, mył i kroił warzywa, czyścił kałamarnice, ale czasami pozwalano mu pracować przy grillu - miało to ten sam urok co moje pisanie recenzji. Takie sprawy są zatrważająco indywidualne.

Stojący przy grillu faceci są twardzi, tacy macho; pocą się, przeklinają, piją, pracują o niemożliwych porach dnia i rozmawiają o „cipkach” i „świniach z opieki społecznej”. Teraz Jesse był jednym z nich. Po skończonej pracy - to była jego ulubiona pora - lubił siadać w swoim białym ubraniu, palić papierosy i omawiać wydarzenia z całej nocy, jak już po dziewiątej zostali zavaleni (wszyscy klienci zjawili się naraz), jak urządzili kelnerce „karniaka” (opóźnili jej zamówienie). Z chłopakami z kuchni się nie zadziera.

W kuchni - tak jak we wszystkich kuchniach, opowiadał - co

chwila slychać bylo pseudogejskie żarty, chłopaki nazywali sie-
bie ciotami, zastanawiali się, komu teraz wsadzą w dupę itd. Niko-
go nie wolno bylo jednak nazwać „dupkiem”. Traktowano to wtedy
jako prawdziwą obelgę.

Lubił, gdy po pracy odbierała go Chloe, ta Marilyn Monroe z dia-
mentowym kolczykiem w nosie. Wszyscy kolesie z pracy się na nią
gapili.

— Lubisz ją? — spytał mnie pewnego wieczoru, bardzo zbliża-
jąc swoją twarz do mojej.

— Tak — powiedziałem.

— Zawahałeś się.

— Nie, wcale nie. Uważam, że jest świetna.

— Tak?

— Tak.

Przez chwilę myślał.

— A gdyby ze mną zerwała, co byś wtedy powiedział?

172

— Stanąłbym po twojej stronie.

— Co masz na myśli?

— To znaczy, że powiedziałbym wszystko, żebyś tylko poczuł
się lepiej.

Cisza.

— Myślisz, że ze mną zerwie?

— Jesse. Błagam.

Teraz już nie oglądaliśmy tak często filmów. Może ze dwa na

tydzień, czasami nawet mniej. Czułem, że świat stara się wyciągnąć nas z salonu, że dobiega końca coś bardzo ważnego. Fin de jeu. Biała wstęga.

Rozpocząłem program pod tytułem „Ukryte skarby”.

Pokazałem Jessemu Quiz Show (1994) Roberta Redforda. Za każdym razem gdy oglądam ten film, staje się on lepszy i bogatszy. Opowiada historię przystojnego, czarującego profesora, Charlesa Van Dorena (Ralph Fiennes), skompromitowanego na skutek skandalu w latach 50., gdy, jak się okazało, uczestnicy teleturnieju znali pytania przed programem. Podobnie jak w przypadku manipulacji podczas World Series w 1919 roku, był to cios w samo serce naiwnej i ufnej amerykańskiej publiczności. Czarę goryczy przelał fakt, że w skandal uwikłany był jeden ze złotych chłopców, syn wybitnego uczonego, Marka Van Dorena (w tej roli genialny Paul Scofield).

Tak samo jak Wielki Gatsby, Quiz Show zabiera cię w niemoralny świat, ale ukazuje go w tak pięknym świetle, że rozumiesz, dlaczego ludzie chcą się w nim znaleźć i postanawiają tam pozostać. Zwróciłem uwagę Jessego na straszliwą chemię między grającym urzędnika Kongresu Robem Morrowem a Ralphem Fiennesem, który mówi „tak” wtedy, gdy powinien był odmówić.

173

Najlepszą grę aktorską, najwspanialsze momenty odzwierciedlają oczy Ralpha Fiennesa. (Może się wydawać, że w niektórych scenach ma zrobiony specjalny makijaż oczu). Poradziłem Jesse-

mu, żeby wypatrywał ujęcia, w którym ktoś pyta Fiennesa o to, jak w telewizyjnym turnieju poradziłby sobie „prawy Abraham Lincoln”. Należy zwrócić uwagę na wyraz jego oczu, gdy rozmawia z Robem Morrowem: to swego rodzaju zabawa w chowanego; patrzy na młodzieńca, jakby zadawał sobie przy tym pytanie: Ile on wie? Ile on wie?

Jest taka scena, w której grają w pokera: Fiennes obstawia, a Morrow mówi: „Wiem, że kłamiesz”. Niemal słychać bicie serca Fiennesa, który odpowiada z zapierającą dech w piersiach paranoją: „Blefujesz. Odpowiednie słowo to «blefujesz»”. Przypomina Raskolnikowa w Zbrodni karze Dostojewskiego.

— Tęsknisz za telewizją? — spytał Jesse po obejrzeniu filmu.

— Czasami — odparłem. Wyjaśniłem, że brakowało mi pieniędzy, ale najbardziej tęskniłem za dziesiątkami powierzchownych, trzydziestosekundowych rozmów z ludźmi, których prawie nie znałem.

— Wierz lub nie, ale coś takiego może rozświetlić cały twój dzień — powiedziałem.

— Ale czy teraz brakuje ci występów w telewizji?

— Nie, tego mi nie brakuje. A tobie?

— Czy brakuje mi taty w telewizorze? Nie. Nawet o tym nie myślę.

Z tymi słowy wstał i udał się na górę, a jego fizyczność i niewymuszone ruchy przez chwilę nie przypominały tych u nastolatka.

Kolejne ukryte skarby. To jak wyjadanie ciasta z kremem bananowym prosto z lodówki. (Talerz nieważny). Ostatnie zadanie

(TheLastDetail,-\973).

174

— Oto pięć powodów — powiedziałem — dla których kocham Jacka Nicholsona.

1. Ponieważ przez czterdzieści pięć lat Jack grał w filmach według zasady „Nietrudno dostać się na szczyt. Trudno jest na nim pozostać”. Nikt nie ma „szczęścia” ani nie potrafi ukrywać swoich wad tak długo. Trzeba być świetnym.

2. Uwielbiam sposób, w jaki Jack Nicholson w ważnym fragmencie Chinatown (1974) gra detektywa z opatrunkiem na nosie.

3. Kocham moment w Lśnieniu, gdy Jack przyłapuje swoją żonę na czytaniu przyprawiających o obłąd stron jego powieści i pyta: „Jak ci się podobało?”.

4. Uwielbiam fakt, że z nauką golfa Jack poczekał do pięćdziesiątki.

5. Uwielbiam moment w Ostatnim zadaniu, gdy Jack ciska swoją broń na ladę i mówi: „To ja jestem pieprzoną marynarką wojenną!”.

Według niektórych najlepszą rolą Nicholsona jest ta w Ostatnim zadaniu. Jako „Bad Ass” Buddusky, palący cygaro i nieprzyzwyczajony klnący marynarz - bardzo nerwowy facet - ma przewieźć przez kraj młodego chłopaka do więzienia.

Jack chce, żeby przed rozpoczęciem odsiadki chłopak przeżył dobry czas, upija go i sprowadza mu kobietę.

Gdy film wszedł do kin, Roger Ebert napisał, że Nicholson

„tworzy tak doskonałą i złożoną postać, że przestajemy myśleć

o filmie, zastanawiamy się tylko, co u diabła ten aktor jeszcze zrobi". W niektórych filmach przeklinanie staje się formą sztuki. Pamiętacie ogniomistrza z Full Metal Jacket (1987)? Słowa na „p” i „k” odmieniane są przez wszystkie przypadki, wiele z nich można usłyszeć również w Ostatnim zadaniu. Kierownicy studia chcieli

175

wyglądzić scenariusz, zanim został odegrany przed kamerami. Byli przerażeni ilością przekleństw i wiedzieli, że Jack Nicholson z dziką radością je wypluje. Przypominam sobie słowa jednego z kierowników: „W ciągu pierwszych siedmiu minut padły sto czterdzieści dwa «fucki». W Columbi nie można było używać takiego języka, tak samo jak nie można było uprawiać seksu”.

Robert Towne (Chinatown), autor scenariusza, powiedział: „Jeśli w Columbi kręcono scenę seksu, to z odległości około trzystu metrów. Filmy jednak stawały się coraz bardziej bezpruderyjne i mieliśmy okazję pisać takie dialogi, jakimi marynarze posługiwali się w rzeczywistości. Kierownik studia posadził mnie i spytał: «Bob, czy dwudziestu sukinsynów nie byłoby lepszych niż czterdziestu?». Odpowiedziałem, że nie, tak właśnie mówią ludzie, którzy są bezsilni. Potwornie przeklinają”. Towne nie chciał więc pójść na kompromis. Nicholson go poparł - a ponieważ był wielką gwiazdą, nastąpił koniec dyskusji.

Wybieranie filmów dla ludzi to bardzo ryzykowna sprawa. W jakimś stopniu jest to tak zdradliwe jak pisanie listów. Ukazuje to twój sposób myślenia, wskazuje na to, co cię porusza, czasami nawet

ujawnia to, w jaki sposób uważasz, że świat postrzega ciebie. Więc gdy pełen zapału polecasz film znajomemu, gdy mówisz: „Och, to świetny film - na pewno ci się spodoba!”, a następnego dnia ów znajomy pyta cię, marszcząc brwi: „Uważasz, że to było zabawne?” to jest to bardzo przykre doświadczenie.

Pamiętam, jak raz poleciłem Ishtara kobiecie, która mi się podobała - podczas następnego spotkania zlustrowała mnie wzrokiem, który mówił: „Och, więc podoba ci się coś takiego”.

Przez lata nauczyłem się więc zamykać gębę na kłódkę w wypożyczalniach filmów, w których czasami miałem straszną

ochotę ostrzegać zupełnie obce osoby, chciałem wyrwać z ich rąk jakiś film i zapewnić, że inny film, ten, który tam stoi, jest o wiele lepszym wyborem. Mimo wszystko istnieje kilka realizacji, które nigdy mnie nie zawiodły. Jedną z nich jest *The Late Show* (1977). Wybrałem ją więc jako następną.

Jest to prosty thriller o załamany prywatnym detektywie (Art Carney) i młodej, zwariowanej dziewczynie medium (Lily Tomlin), którzy zostają uwikłani w serię zabójstw w Los Angeles. Pomimo tego, że film ma już trzydzieści lat, praktycznie nikt go nie widział. Ale po jego obejrzeniu - przynajmniej tak było w przypadku ludzi, których do tego namówiłem - reakcją jest zachwyt, zaskoczenie i wdzięczność. Myślę nawet, że w niektórych przypadkach znajomi zmienili o mnie zdanie.

Gdy przygotowywałem wstęp dla Jessego do seansu *The Late*

Show, przeczytałem oryginalną recenzję filmu autorstwa Pauline Kael z „The NewYorkera”.

Bardzo jej się podobał, ale nie potrafiła go nigdzie przyporządkować. „Właściwie to nie jest thriller” - napisała. „Jest to film jedyny w swoim rodzaju - pełen jednocześnie miłości i nienawiści poemat na cześć słabości”.

Przyjaciele Eddiego (The Friends of Eddie Coyle) bardzo szybko wszedł do kin i został wycofany w 1973 roku. Wciąż nie można znaleźć go w wypożyczalniach, nawet tych małych i wyspecjalizowanych, w których są finlandzkie horrory. Reżyserem filmu jest Peter Yates (Bullitt), ale powinno się go obejrzeć dla czarodzieja z zaspanymi oczami, Roberta Mitchuma, który gra drobnego oszusta, Eddiego Coyle'a. Każdy z nas zna kogoś takiego jak Eddie, faceta urodzonego, by podejmować złe decyzje. Taki wujaszek Wania - recydywista.

Z czasem Robert Mitchum staje się coraz lepszy - szeroka klata, głęboki głos, jego sposób płynięcia przez film z urokiem i łatwością kota, który dostaje się na uroczystą kolację. Miał

177
ogromny talent, a mimo to radość sprawiało mu zaprzeczanie temu. „Mam trzy pozy”, zwykł mawiać, „mogę patrzeć na lewo, na prawo i prosto przed siebie”. Charles Laughton, reżyser Nocny myśliwego (Night of the Hunter, 1955), powiedział, że ta mrugliwa postawa „Kotku, jest mi wszystko jedno” to tylko maska. W rzeczywistości Robert Mitchum był wykształcony, miły,

grzeczny, pięknie się wysławiał i byłby najlepszym Makbetem pośród współczesnych mu aktorów. Mitchum określił to inaczej: „Jedyną różnicą między mną a moimi kolegami po fachu jest to, że spędziłem więcej czasu w więzieniu”.

Podczas oglądania tych filmów odniosłem jednak wrażenie, że Jesse jest ze mną raczej z obowiązku. Trzydzieści minut po rozpoczęciu Wspomnień z gwiazdznego pyłu (Stardust Memories, 1980) Woody'ego Allena po postawie mojego syna (wymowne oparcie się na łokciach) domyśliłem się, że film go nudzi, i zacząłem podejrzewać, że ogląda go tylko dla mnie, żeby dotrzymać mi towarzystwa.

— Zgadnij, kto był filmowcem przy Wspomnieniach — zapytałem.

— Kto?

— Nazywano go „Księciem Ciemności”.

— Gordon Willis?

— Ten sam facet, który nakręcił Ojca chrzestnego.

— Ten sam facet, który nakręcił Klute — odparł bez wahania.

Po chwili dyplomatycznej ciszy powiedziałem miękko:

— Nie wydaje mi się, żeby nakręcił Klute.

— To ten sam facet.

— Stawiam pięć dolców, że Gordon Willis nie nakręcił Klute.

Jesse zwyciężał z wdziękiem, nie napawał się swoim triumfem, gdy nie patrząc na mnie, chował pieniądze do tylnej kieszeni spodni.

— Zawsze myślałem, że Klute nakręcił Michael Ballhaus — po-

wiedziałem smętnie.

178

— Widzę — odparł. — Może pomyślałeś o wczesnych filmach Fassbindera. Są jakieś takie ziarniste.

Gapiłem się na niego tak długo, aż podniósł wzrok.

— O co chodzi? — spytał. Dobrze wiedział, o co chodzi.

Rozdział 13

Jesień 2005. Chinatown. Chloe zmieniła specjalizację na administrację biznesową i wróciła na studia do Kingston w Ontario. Krótco potem Jesse oznajmił, że chce rzucić pracę w restauracji i udać się na północ, aby przez miesiąc pisać muzykę ze swoim kumplem, gitarzystą, którego ledwo znałem. Ojciec kumpla był prawnikiem działającym w sektorze rozrywkowym i miał duży dom nad jeziorem Couchiching. I łódź. Mogli tam mieszkać za darmo. Znaleźć pracę na zmywaku w miejscowej knajpie. Co o tym myślę? Obaj wiedzieliśmy, że nie było to pytanie. Powiedziałem, że nie ma sprawy.

No i zniknął. Pomyślałem, że ma już dziewiętnaście lat, taka jest kolej rzeczy. Przynajmniej wie, że Michael Curtiz nakręcił dwa zakończenia Casablanki, w razie gdyby to smutne nie znalazło aprobaty u widzów. Wiedza ta musi mu pomóc w świecie. Nikt mi nie powie, że nie przygotowałem mojego syna do życia.

Po raz pierwszy niebieski pokój w Chinatown świecił pustkami.

Tak jakby ktoś wyssał z domu całe życie. Później jednak, gdzieś około drugiego tygodnia, zaczęło mi się to podobać. Żadnego ba-

łaganu w kuchni, żadnych lepkich śladów po palcach na drzwiach lodówki, nikt nie biega po schodach o trzeciej w nocy.

Do domu dzwonił od czasu do czasu, bardziej chyba z obowiązku: opowiadał, że drzewa były nagie, jezioro zimne, ale praca

181

w porządku; wszystko poza tym było okej. Pisali dużo piosenek.

Nocami leżeli w łodzi, przykrywali się kocami, gapili w gwiazdy, a kumpel przygrywał na gitarze. Być może razem z Joelem (tak miał na imię gitarzysta) wynajmą w mieście jakieś mieszkanie. Na jeden z weekendów miała przyjechać Chloe.

A później pewnego dnia (ludzie znowu jeździli na rowerach w rękawiczkach) zadzwonił telefon i usłyszałem głos Jessego. Roztrzęsiony, jakby nie mógł się odnaleźć w teraźniejszości, jakby ślizgał się na lodzie, nie potrafiąc się zatrzymać.

— Pozbyto się mnie.

— Wyrzucono cię z pracy?

— Nie. Chloe. Właśnie mnie rzuciła.

Pokłócili się przez telefon (o jego życie bez konkretnego kierunku, jego przyjaciół nieudaczników; nazywała ich „kelnerami i pracownikami lotniska”). Któryś z nich rzucił słuchawkę. Zwykle to ona oddzwaniała. (Wcześniej już tak bywało). Jednak nie tym razem.

Minęło kilka dni. Trzeciego ranka, jasnego, miedzianego od liści poranka na wsi obudził się z pewnością, taką pewnością, jakby widział to w filmie, że Chloe znalazła sobie innego chłopaka.

— Zadzwoń więc na jej komórkę — powiedział. — Nie odebrała. Była ósma rano. Pomyślałem sobie, że to niezbyt pomyslny rozwój wypadków, ale zachowałem to dla siebie.

Dzwonił do niej w ciągu dnia z kuchni w restauracji; zostawił kilka wiadomości. Oddzwoni, proszę. Zapłacę za rozmowę międzymiastową. Był głęboko przekonany, pewność rozlewała się w jego ciele niczym plama atramentu, że oto właśnie działo się coś bardzo ważnego, że znajduje się w położeniu, w którym nigdy wcześniej się nie znajdował.

W końcu oddzwoniła około dziesiątej wieczorem. W tle słyszał hałasy. Muzykę, przytłumione głosy. Gdzie była? W knajpie.

— Zadzwoń do ciebie z knajpy? — zdziwiłem się.

182

Spytał ją, czy coś jest nie tak; ledwo słyszał jej głos. Jakby rozmawiał z kimś obcym. „Musimy porozmawiać”- powiedziała. Potem dodała coś niezrozumiałego. Nie był pewien, ale brzmiało to, jakby zastoniła słuchawkę dłonią i zamówiła martini u barmana.

Nie marnował czasu (zawsze mi tym imponował) i przeszedł do sedna sprawy. Spytał: „Czy ty ze mną zrywasz?” „Tak” — padła odpowiedź.

A potem popełnił błąd. Odłożył słuchawkę. Rozłączył się i czekał, aż Chloe, zalana łzami, oddzwoni do niego. W tę i z powrotem przemierzał salon położonej na północy chatki i gapił się na telefon. Rozmawiał z nią na głos. Ale nie oddzwoniła. On więc zadzwonił. Spytał: „O co chodzi?”.

Wtedy ona odegrała swoją rolę. Myślała o tym. Nie pasowali do siebie; ona jest młoda, idzie na studia, miała perspektywy na „świetną karierę zawodową”.

Jeden pusty frazes za drugim, wszystko to wypowiedziane głosem dziewczyny pełnej energii i pewności siebie; bywało, że słyszał go już wcześniej, ale teraz zareagował inaczej, nie miał ochoty jej za to udusić - zaczął się jej bać. „Chloe, będziesz tego żałować” - powiedziała. „Być może” - odparła wesoło. „Dobrze, czyli nie jestem już częścią twojego życia”.

— I wiesz, co ona wtedy odpowiedziała, tato? „Do widzenia, Jesse”. Bardzo miękko wypowiedziała moje imię. Gdy usłyszałem, jak wypowiada je w ten sposób, pękło mi serce.

Późno w nocy, po skończonej zmianie, wrócił jego przyjaciel Joel. Jesse wszystko mu opowiedział. „Naprawdę?” - spytał Joel. Słuchał historii przez jakieś dziesięć minut, zakładając nowe struny do swojej gitary akustycznej, a potem, tak to przynajmniej wyglądało, stracił zainteresowanie całą sprawą i chciał pogadać o czymś innym.

— Spałeś w ogóle? — spytałem.

— Tak — odpowiedział, zdziwiony tym pytaniem. Wiedziałem,

183

że czegoś ode mnie chciał, ale był jednocześnie świadomy tego, że nie mogłem mu nic dać, poza określeniem kierunku, w jakim powinien wydmuchać truciznę, która zbierała się w jego ciele przez ostatnich kilka dni.

W końcu powiedziałem (zupełnie niepotrzebnie):

— Chciałbym móc ci pomóc.

I wtedy zaczął mówić. Nie pamiętam, o czym, nieważne, po prostu mówił i mówił, i mówił.

— Może powinieneś wrócić do domu — zaproponowałem.

— Nie wiem.

— Mogę ci coś doradzić? — spytałem.

— Jasne.

— Nie rzucaj się teraz w narkotyki ani picie. Po prostu wypij kilka piw.

Wiem, że strasznie się czujesz, ale jeśli zaczniesz teraz szaleć, obudzisz się rano i pomyślisz, że jesteś w piekle.

— Już w nim jestem — powiedział z ponurym śmiechem.

— Uwierz mi, to może o wiele bardziej pogorszyć sprawę.

— Mam nadzieję, że wciąż mnie kochasz.

— Oczywiście, że tak.

Cisza.

— Myślisz, że ma nowego chłopaka?

— Nie mam pojęcia, synku. Ale nie wydaje mi się.

— Dlaczego?

— Dlaczego co?

— Dlaczego uważasz, że nie ma nowego chłopaka?

— Bo to byłoby zbyt szybko, dlatego.

— Ale ona jest cholernie ładna. Chłopaki cały czas za nią szaleją.

— To nie oznacza jednak, że od razu ma iść z nimi do domu.—

Pożałowałem tych słów, gdy tylko je wypowiedziałem. Stworzyły one pole do popisu dla nowych wyobrażeń. On jednak przeszedł do kolejnej myśli.

184

— Wiesz, czego się boję? — spytał.

— Wiem.

— Nie — powiedział. — Czego naprawdę się boję?

— Czego?

— Że prześpi się z Morganem.

— Nie wydaje mi się — odparłem.

— Dlaczego?

— Przecież z nim skończyła.

— Gdyby przespała się z kimś innym, tak bardzo by mnie to nie bolało.

Nic nie powiedziałem.

— Naprawdę czułbym się okropnie, jeśli zrobiłaby to z Morganem.

Nastąpiła długa chwila przerwy. Widziałem go oczyma wyobraźni w tym wiejskim domku, jezioro spokojne i opustoszałe, nagie drzewa, w lesie kracząca wrona.

— Może powinieneś wrócić do domu.

Po długiej, pełnej przemyśleń przerwie, podczas której wyobrażał sobie straszne rzeczy (czułem to), spytał:

— Możemy jeszcze trochę porozmawiać?

— Jasne. Mam cały dzień.

Czasami, gdy telefon dzwonił późno w nocy, miałem chwilę

wahania. Zastanawiałem się, czy będę w stanie stawić czoło jego straszliwemu cierpieniu. Czasami myślałem sobie, że nie odbiorę. Porozmawiam z nim jutro. Wtedy jednak przypomniałem sobie Paulę Moors i te przerażające, zimowe poranki, gdy budziłem się zbyt wcześnie, a kolejny, okropny dzień ziewał mi prosto w twarz.

— Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałeś, że Chloe cię nudzi? —
spytałem go pewnej nocy.

— Powiedziałem coś takiego?

185

— Powiedziałeś, że boisz się wybrać z nią w podróż, bo może cię znudzić już w samolocie. Mówiłeś, że często trzymałeś słuchawkę z dala od ucha, ponieważ nie mogłeś już wysłuchiwać jej paplania o karierze.

— Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek odczuwał coś takiego.

— Ale tak było. Taka jest prawda.

Długa chwila przerwy.

— Myślisz, że rozmawiając o tym z ojcem, zachowuję się dziecinnie? Nie mogę rozmawiać z przyjaciółmi. Gadają głupoty - nie robią tego celowo, ale obawiam się, że powiedzą coś, co naprawdę mnie zrani. Wiesz, co mam na myśli?

— Jasne.

Delikatna zmiana głosu jak u człowieka, który w końcu chce się do czegoś przyznać.

— Zadzwoń do niej — powiedział.

— No i?

- Spytałem ją.
- Odważny jesteś.
- Powiedziała, że nie.
- Że nie: co?
- Że nie sypia z nikim, ale to i tak nie jest moja sprawa.
- To brzydko powiedziała.
- To nie moja sprawa? Kilka dni temu chodziliśmy ze sobą, a teraz to nie moja sprawa.
- Dlaczego... — przerwałem.— Co według niej zrobiłeś, że aż tak się wściekła?
- Morgan źleją traktował. Zdradzał ją przy każdej okazji.
- Naprawdę?
- Tak.
- Ale co ty zrobiłeś, Jesse?
- Myślisz, że kiedykolwiek będę miał jeszcze tak ładną dziewczynę jak ona?

186

I tak dalej. Tej jesieni miałem jeszcze inne problemy: z żoną, z dużym artykułem na temat Flauberta, który zobowiązałem się napisać do gazety, z odpadającymi dachówkami, kolejną recenzją filmu dla „tego czasopisma”, lokatorem w piwnicy, który nie mógł zapłacić czynszu na czas, zębem trzonowym, który potrzebował koronki (ubezpieczenie Tiny pokrywało tylko połowę kosztów), ale i tak nie potrafiłem się pozbyć z myśli seksualnego horroru Jessego.

Ludzie mówili:

— Nic mu nie będzie. Takie jest życie; każdemu z nas się to zdarza— ale wiedziałem, że filmy, które wyświetlają ci się w głowie w środku nocy, mogą cię doprowadzić do szaleństwa z bólu.

Dziwne było również to, że gdy już przyzwyczałem się do tego, iż nie ma go w domu, gdy życie wypchnęło go w świat, w pewien sposób odzyskałem go z powrotem. Nie chciałem, żeby tak to wyglądało. Byłbym o wiele szczęśliwszy, zajmując ostatnie miejsce na jego liście znajomych, będąc ojcem, z którym idzie się na kolację, gdy wszyscy inni kumple są zajęci.

Rozdział 14

Wrócił do domu kilka tygodni później, zimną porą, gdy po naszej ulicy wiatr szalał niczym rabuś. Czekał tylko, aż wyjdiesz z domu, i kiedy byłeś już w dostatecznym oddaleniu, łapał cię za kołnierz i dostawałeś plaśnięcie w twarz. Bardzo dobrze pamiętam te pierwsze dni: siedzący na plecionym krześle na zewnątrz Jesse, gapiący się tępo przed siebie, przestawiający w swojej głowie te same, stare meble, starający się znaleźć jakiś mniej straszliwy układ, by móc wydostać się z teraźniejszości, której nie potrafił zaakceptować.

Siadałem razem z nim. Niebo miało kolor asfaltu, przypominało przedłużenie ulicy, jakby gdzieś na horyzoncie się z nią stykało. Opowiedziałem Jessemu wszystkie straszliwe historie, jakie mnie spotkały: Daphne w ósmej klasie (pierwsza dziewczyna, przez którą płakałem), Barbara w liceum (rzuciła mnie podczas przejażdżki na diabelskim młynie), Raissa na studiach („Kochałam cię,

skarbie, naprawdę cię kochałam!") - kilkanaście ciosów zadanych z bliska.

Opowiedziałem mu te historie ochoczo i z życiem, żeby mu pokazać, że udało mi się to przetrwać. Przeżyłem to wszystko i opowiadanie o tym sprawiało mi teraz frajdę, chociaż wtedy było to dla mnie prawdziwym koszmarem, za każdym razem przeżywałem „beznadziejność chwili”.

189

Opowiedziałem mu te historie, ponieważ - starałem mu się wbić to do głowy - chciałem, żeby zrozumiał, że żadna z tych lalek ze szpikulcami do lodu, żadna z tych dziewcząt i kobiet, przez które płakałem i wiłem się jak robak pod lupą w południe, nie była kimś, z kim nadal powinienem być.

— Miały rację, Jesse. Koniec końców okazywało się, że porzucając mnie, miały rację. Nie byłem dla nich odpowiednim facetem.

— Myślisz, że Chloe miała rację, że mnie rzuciła?

Mój błąd. Nie liczyłem się z tym, że samochód skręci w tę drogę.

Czasami słuchał niczym ktoś, kto oddychał pod wodą przez trzcinę i jego przetrwanie zależało od usłyszenia historii, która dostarczała mu tlenu. Kiedy indziej - musiałem być wtedy bardzo ostrożny - mogłem wywołać straszliwe fantazje.

Miało się wrażenie, że w stopie utkwiał mu kawałek szkła i nie potrafił myśleć o niczym innym.

— Przykro mi, że wciąż o tym gadam — mówił wtedy i kontynuował rozmowę na ten sam temat.

Nie mówiłem mu, że według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie jeszcze gorzej, o wiele gorzej, dopiero później poczuje się lepiej, znajdzie się w owej krainie szczęśliwości dnia dzisiejszego, gdy budzisz się z myślą: „Hmmm, chyba mam pęcherz na pięcie. Zobaczmy. Rzeczywiście!". Cóż to za raj! I kto by w to uwierzył? Musiałem ostrożnie dobierać filmy. Jednak nawet wtedy, gdy wybierałem coś, co nie miało nic wspólnego z seksem albo zdradą (a wybór był bardzo ograniczony), widziałem, że używał ekranu jako swego rodzaju trampoliny do dręczących go fantazji, że zwracając wzrok w jego kierunku, udawał, iż ogląda film, podczas gdy w rzeczywistości myszkował po świecie swoich myśli niczym włamywacz po rezydencji. Czasami słyszałem, jak, znalazłszy coś, jęczy z bólu.

— Wszystko w porządku? — pytałem.

Zmieniał pozycję na kanapie.

190

— W porządku. — Pokazałem mu jeszcze jakiś film z serii „Ukryte skarby”, tak jakbym serwował dziecku deser przed daniem głównym. Robiłem wszystko, by odwrócić jego uwagę od jego własnej, dręczącej go wyobraźni. Wszystko, byle tylko się uśmiechnął.

Pokazałem mu Ishtara. Z powodu tego filmu atakowano mnie już wiele razy, ale pozostałem nieugięty. Nikt nie zaprzeczy, że historia zaskakuje, gdy dwaj niedoszli muzycy, Warren Beatty i Dustin Hoffman, trafiają do położonego na pustyni królestwa Ishtar

i zostają uwikłani w lokalną politykę. W filmie występują jednak zabawne perełki, gdy Warren i Dustin w opaskach na głowach śpiewają z całego serca i tańczą two-stepa. Bosko. Ishtar to dobry, niepozbowiony skaz film, uduszony już podczas narodzin, ponieważ rozkapryszona prasa znudziła się faktem, że Warren miał tyle pięknych dziewczyn.

Jednak nawet Ishtar nie pomógł Jessemu. Równie dobrze mogłem mu pokazać dokument o fabryce gwoździ.

W ciągu kolejnych kilku tygodni obejrzelismy wiele filmów z serii „Ukryte skarby”. Wyczuwałem poruszenie siedzącego obok na kanapie Jessego; jego ciało było złożone, jakby był zwierzęciem czekającym w ciemności. Czasami zatrzymywałem film. Pytałem:

— Chcesz to dalej oglądać?

— Jasne — odpowiadał, wychodząc z letargu.

Jest taka historia o Elmore'emu Leonardzie, którą bardzo lubię.

W latach 50. pracował dla Chevroleta jako autor tekstów reklamowych. Aby napisać jakiś fajny tekst o półtonowych ciężarówkach, Leonard udał się w teren, by przeprowadzić wywiad z facetami, którzy nimi jeździli. Jeden z nich powiedział: „Ten sukinsyn jest nie do zdarcia. W pewnej chwili nie możesz już na niego patrzeć i kupujesz drugiego”.

Szefowie Chevroleta śmiali się, gdy Elmore pokazał im to hasło, ale go nie zaakceptowali; nie o takim billboardzie myśleli. Jednak dekadę

191

później w powieściach kryminalnych Leonarda pojawił się właśnie

taki język. Zdawał się ordynarny, ale w rzeczywistości taki nie był. Pamiętacie tę scenę z napisanej w 1990 roku powieści Leonarda Dorwać małego (Get Shorty)? Palmerowi skradziono w restauracji drogi płaszcz; nie mówi: „Hej, gdzie mój płaszcz - kosztował czterysta dolarów”. Nie, nie. Zamiast tego bierze na bok właścicielka knajpy i pyta: „Czy widzi pan gdzieś czarny, skórzany płaszcz o długości przed kolano, z klapami? Jeśli nie, jest mi pan winien trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów”. Oto model dialogu w stylu Elmore'a Leonarda. Śmieszny i charakterystyczny.

Albo ten krótki opis z thrillera Riding the Rap (1995). Amerykański policjant Raylan Givens natknął się na dwóch niczego niepodejrzewających złodziei, którzy właśnie kradli samochód.

Leonard opisuje całe zajście w następujący sposób: „Raylan wy-celowwał z dubeltówki do obu facetów... i uczynił coś, co każdemu przedstawicielowi prawa zapewniało uwagę i szacunek. Przeładował broń; twardy, metaliczny dźwięk, skuteczniejszy niż gwizd, sprawił, że złodzieje zorientowali się, iż jest już po sprawie”.

Na podstawie powieści Elmore'a Leonarda nakręcono wiele filmów. Hombre (1967) z Paulem Newmanem, Mr. Majestyk (1974), Stick z Burtem Reynoldsem (1985), Ostra rozgrywka (52 Pick-Up, 1986). Większość z tych wczesnych filmów nie odzwierciedlała czarnego humoru i bezwstydnie dobrych dialogów charakteryzujących powieści Leonarda. Doceniło je dopiero nowe pokolenie młodych filmowców. Quentin Tarantino zrobił świetny - nawet jeśli zbyt długi - film Jackie Brown (1997); ton powieści Leonarda

podchwycił również film Dorwać małego; należy też wspomnieć o tym, że to właśnie gwiazdor filmowy, John Travolta, nalegał, aby wykorzystać w produkcji dialogi z powieści.

A potem w 1998 roku przyszła kolej na Co z oczu, to z serca (Out of Sight) Stevena Soderbergha z George'em Clooneyem i Jennifer Lopez. Krytycy pokochali ten film, jednak ludzie nie

192

kupowali biletów i smutna historia się powtórzyła - produkcja bardzo szybko zniknęła z kin. A wielka szkoda, ponieważ był to jeden z najlepszych filmów tamtego roku. To klasyczny ukryty skarb i dlatego wybrałem go dla Jessego.

Zanim zaczęliśmy, poprosiłem go, by obserwował aktora Steve'a Zhana, który w filmie gra naprutego nieudacznika o imieniu Glenn. Nie wiem, czy rzeczywiście udało mu się ukraść film Jennifer Lopez i George'owi Clooneyowi, ale jest bardzo blisko. Zhan jest nieznanym aktorem, ukończył Harvard, swoją drogą nie potrafił nawet dostać się na przesłuchanie do filmu, musiał nagrać własne przesłuchanie i wysłać je do reżysera. Soderbergh obejrzał piętnaście sekund nagrania i powiedział: „To on”.

Znowu nie wiem, ile z filmu Jesse tak naprawdę obejrzał.

Od czasu do czasu interesował się filmem, myślę, że gdy się skończył, poczuł ulgę; dość szybko zwiął po schodach na górę. Potem jednak trafiłem w dziesiątkę. Wybrałem film tak dobry, który tak poruszył Jessego, że przez kilka godzin przestał myśleć o Chloe.

Lata temu, idąc pewnego letniego dnia Yonge Street w Toronto, spotkałem starego przyjaciela. Nie widzieliśmy się jakiś czas i z miejsca zdecydowaliśmy, że idziemy do kina - najlepiej ogląda się filmy po spontanicznej decyzji. Zajrzeliśmy do pobliskiego kina, grali sześć filmów. „Musisz obejrzeć ten - powie dział znajomy. - Po prostu musisz”.

Obejrzeliśmy więc. Prawdziwy romans (True Romance, 1993) ogląda się nieprawdopodobnie dobrze. Taką przyjemność można sobie sprawić tylko dwa razy do roku. Quentin Tarantino napisał scenariusz o kokainie, morderstwie i szczenięcej miłości, gdy miał dwadzieścia pięć lat. Był to jego pierwszy scenariusz. Próbował go sprzedać przez pięć lat - nie znalazł nabywców.

Tekst miał w sobie ten rodzaj świeżości, który dla kierowników studiów był „nieodpowiedni”. Dopiero gdy Tarantino nakręcił

193

Wściekłe psy (Reservoir dogs, 1992), gdy jego nazwisko stało się znane, scenariusz Prawdziwego romansu został zaakceptowany przez brytyjskiego reżysera Tony'ego Scotta.

W Prawdziwym romansie jest taka ośmio- czy dziewięciominutowa scena spotkania Dennisa Hoppera i Christophera Walkena, która jest według mnie najlepszą niezależną sceną w filmie. (Wiem, że coś takiego można powiedzieć tylko raz, więc specjalnie zachowałem swoją opinię dla tego właśnie filmu). Wspaniale jest oglądać dobrych aktorów, którzy z „architekturą” świetnych dialogów potrafią zdziałać cuda. Czuć również, że praca sprawia

im przyjemność. Popisują się. Gdy siedziałem w ciemnej sali kinowej i rozpoczęła się ta właśnie scena - Christopher Walken ogłosił: „Ja jestem Antychrystem”- mój przyjaciel przechylił się do mnie i wyszeptał: „Zaczynamy”.

W filmie są również inne godne uwagi sceny: aktorski popis Gary'ego Oldmana jako dilera narkotyków z pokrytą dreadami głową; jest facet, dla którego przemoc jest czymś tak oczywistym, że potrafi, jak zauważył Jesse, „jeść chińszczyznę pałeczkami na chwilę przed”. Jest Brad Pitt jako kalifornijski wielbiciel trawki, Val Kilmer jako duch Elvisa Presleya - ciągle jest coś nowego.

Poprosiłem Jessego, żeby nie przegapił finałowego wyznania miłości - Christian Slater i Patricia Arquette figlujący na meksykańskiej plaży, złoty zachód słońca, krwistoczerwone chmury i jej głos mówiący: „You're so cool, you're so cool, you're so cool”.

Ostatnia scena poprawiła mu samopoczucie. Dostał swego rodzaju kopa, jakby gdzieś tam czekała na niego piękna dziewczyna, która pewnej nocy zagadnie go przy barze, a w tle będzie lecieć odpowiednia piosenka. Youaresocool.

Później opatuliliśmy się w płaszcze, padały pierwsze migoczące płatki śniegu, które topiły się, dotykając ziemi.

— Nigdy nie lubiłem oglądania filmów z Chloe — powiedział Jesse. — Nie podobało mi się to, co wtedy mówiła.

194

— Nie można być z kobietą, z którą nie da się oglądać filmów — odparłem (czułem się przy tym jak dziadek Walton). — Co takiego

mówiła?

Przez chwilę patrzył na padający śnieg; w świetle latarni ulicznych jego oczy wydawały się bardzo błyszczące, jak szkło.

— Mówiła głupstwa. Starła się być prowokacyjna. To była część jej stylu młodej karierowiczki.

— To mogło być męczące.

— Jest, jeśli oglądasz film, który naprawdę ci się podoba. Nie chcesz, żeby ktoś starał się nim zainteresować na siłę. Po prostu chcesz, żeby film mu się spodobał. Wiesz, co ona kiedyś powiedziała? Że Lolita Stanleya Kubricka jest lepsza niż Adriana Lyne'a. — Potrząsnął głową i zgarbił się. Przez chwilę wyglądał jak młody żołnierz. — To nie może być prawda — powiedział. — Lolita Adriana Lyne'a jest arcydziełem.

— To prawda.

— Pokazałem jej Ojca chrzestnego. Jednak zanim zaczęliśmy, zazna-
czyłem, że nie chcę, żeby w jakikolwiek sposób krytykowała ten film.

— I co ona na to?

— Że ją „kontroluję”. Że ma prawo do własnego zdania.

— I co jej powiedziałaś?

— Że nie ma prawa do własnego zdania, jeśli chodzi o Ojca chrzestnego.

— Co się stało potem?

— Wydaje mi się, że się pokłóciliśmy — powiedział ze znużeniem. (Wszystkie myśli prowadzą do Rzymu).

Padał coraz gęstszy śnieg; tańczył dookoła i kręcił młynki w świetle ulicy; widać go było w reflektorach przejeżdżających

samochodów.

— Po prostu chciałem, żeby jej się podobał. To takie proste.

— Nie wiem, Jesse, nie wydaje mi się, żeby to był jakiś wymarzony związek. Nie możesz iść z nią do kina, bo cię denerwuje; nie możesz iść z nią na spacer, bo cię nudzi.

195

Potrząsnął głową.

— To zabawne — odezwał się po chwili. — Teraz o tym zapominałem. Pamiętam tylko, że świetnie się z nią bawiłem.

Z domu wyszła moja żona; zapaliła światło na werandzie. Usłyszeliśmy szuranie nóg krzesła na drewnianej podłodze. Przerwaliśmy rozmowę, potem ją wznowiliśmy. Tina wiedziała, że może się do nas dosięść. Po chwili zostawiłem ich samych. Pomyślałem sobie, że być może powie mu coś, co polepszy jego samopoczucie. W czasie studiów nasza Tina była imprezową dziewczyną. Wiedziałem, że może zinterpretować historię z Morganem w zupełnie inny sposób, ale wolałem nie być przy tym, jak opowiada anegdotę ilustrującą jej interpretację. W pewnej chwili wyjrzałem przez okno salonu; siedzieli bardzo blisko siebie. On mówił, ona słuchała, a potem, zaskoczony, usłyszałem coś, czego się nie spodziewałem: śmiech - śmiali się.

Stało się to pewnego rodzaju rytuałem: pod koniec dnia siadali na werandzie, palili papierosy i rozmawiali. Nigdy nie dotrzymałem im towarzystwa; były to ich prywatne chwile, a ja pocieszałem się tym, że Jesse mógł porozmawiać ze starszą od niego kobietą (do tego bardzo doświadczoną). Wiedziałem, że opowiada

mu historie z czasów „impresowych” (jak je nazywała), o których ja prawdopodobnie nie miałem pojęcia. Nigdy nie starałem się dowiedzieć, w jaki sposób ewoluowały ich relacje. Niektóre drzwi powinny pozostać zamknięte.

Na jednej z żółtych karteczek czytam, że rozważałem ponowne obejrzenie z Jessem Tego wspaniałego życia, obawiałem się jednak, że w roli Donny Reed ujrzy Chloe, w ostatniej chwili zmieniłem więc film na Szmer w sercu (Le souffle au coeur, 1971). Niechętnie pokazywałem mu francuskie kino niezależne - wiedziałem, że w tym okresie oczekuje głównie rozrywki - ale film był tak dobry, że zaryzykowałem.

Tak samo jak Czteryśa batów, Szmer w sercu Louisa Malle'a opowiada o dorastaniu, o dziwnej nieporadności i wyjątkowo

196

bogatym życiu wewnętrznym, którego doświadczają młodzi chłopcy u progu dojrzałości.

Jest to okres nadzwyczajnej wrażliwości, do którego pisarze uwielbiają wracać - prawdopodobnie dlatego, że jest to czas głębokiego przeżywania, gdy cement jest jeszcze miękki.

Chłopak w Szmerach w sercu zdaje się nosić tę wrażliwość w całym swoim ciele; jego ramiona są delikatnie zaokrąglone, ręce chuderlawe, gdy idzie przez życie, zdarza mu się w coś uderzyć, o coś zahaczyć, przypomina trochę żyrafę. Film otula nas atmosferą nostalgii, jakby scenarzysta, Louis Maile, pisał o okresie swojego życia, w którym był bardzo, bardzo szczęśliwy i uświadomił to sobie dopiero wiele lat

później. Film ma również posmak młodości, zobrazowano ją z taką wrażliwością, że wszystko wydaje się znajome - mamy takie przebyte, jakbyśmy w latach 50. również dorastali we francuskiej rodzinie mieszkającej w małym miasteczku.

I cóż za klimat. Trudno uwierzyć, że ktokolwiek mógłby zakończyć film w sposób, który wybrał Louis Maile. Nie zdradzę nic więcej poza tym, że często zdarza się coś takiego: myślimy, że znamy kogoś na wylot, potrafimy wymienić każde ważne wydarzenie w jego życiu - a to nieprawda.

— Dobry Boże! — powiedział Jesse, patrząc na mnie najpierw z niedowierzaniem, potem ze swego rodzaju rozbawieniem, a na końcu z zachwytem. — Nareszcie reżyser z jajami!

Podczas oglądania ukrytych skarbów widziałem, jak Jesse poczynił pewne obserwacje, i wciąż zaskakiwało mnie to, jak wiele nauczył się o filmach przez te ostatnie trzy lata. Nie żeby miało to dla niego jakieś duże znaczenie; myślę, że oddałby to wszystko za jeden telefon.

— Wiesz — powiedziałem, gdy film się skończył — stałeś się całkiem niezłym krytykiem filmowym.

— Tak? — odparł nieobecny głosem.

— Wiesz o filmach więcej, niż ja wiedziałem, będąc oficjalnym krytykiem filmowym dla CBC.

197

— Tak? — brak zainteresowania. (Dlaczego nigdy nie chcemy robić rzeczy, w których jesteśmy dobrzy?).

— Mógłbyś zostać krytykiem filmowym — powiedziałem.

— Po prostu wiem, co mi się podoba, nic więcej.

Po chwili powiedziałem łagodnie:

— Wysłuchaj mnie, dobrze?

— Jasne.

— Czy możesz mi wymienić z głowy trzy innowacje, które przybyły wraz z nastaniem francuskiej Nowej Fali?

Zamrugnął oczami i usiadł prosto.

— E, niski budżet?

— Tak.

— Płynny ruch kamery?

— Tak.

— Filmy, które wyszły ze studiów na ulice?

— Czy możesz wymienić trzech reżyserów Nowej Fali?

— Truffaut, Godard i Eric Rohmer. — (Zaczął mu się to podobać).

— Jaka jest francuska nazwa Nowej Fali?

— Nouvelle Vague.

— Twoja ulubiona scena z Ptaków Hitchcocka?

— Scena, w której nad barkami mężczyzny widzisz drzewo, a w następnym ujęciu na drzewie siedzi pełno ptaków.

— Dlaczego ta scena jest tak dobra?

— Bo sugeruje widzom, że zaraz stanie się coś złego.

— I jak to się nazywa?

— Suspens? — powiedział. — Tak samo jak zbudowanie drugiej klatki schodowej w Oślawionej.

7 Chwył w filmach i powieściach polegający na wstrzymaniu biegu akcji, stosowany w celu spotęgowania napięcia albo zaskoczenia widza lub czytelnika niespodziewanym zwrotem akcji (przyp. red.).

198

Bez problemu przywołał tę wiedzę, sprawiło mu to przyjemność. Przez chwilę miałem wrażenie, że marzy, żeby to wszystko słyszała Chloe, trzecia osoba w pokoju.

— Ulubiony filmowiec Bergmana?

— To proste. Sven Nykvist.

— Który nakręcił jaki film Woody'ego Allena?

— Nakręcił dwa. Zbrodnie i wykroczenia i Inną kobietę.

— Co według Howarda Hawksa składa się na dobry film?

— Trzy dobre sceny i ani jednej złej.

— W Obywatelu Kane mężczyzna opisuje coś, co pięćdziesiąt lat wcześniej zobaczył w porcie w New Jersey. Co to było?

— Kobieta z parasolką.

— Ostatnie pytanie. Jeśli odpowiesz dobrze, stawiam kolację.

Wymień trzech reżyserów ruchu „nowego Hollywood”.

Zaczął wyliczać na palcach: Francis Coppola — przerwa —

Martin Scorsese — dłuższa przerwa — Brian De Palma.

Po chwili powiedziałem:

— Wiesz już, co miałem na myśli?

Rozmowa ta musiała zrobić na nim jakieś wrażenie, ponieważ później tego wieczoru włożył do mojego komputera CD.

— To jest brutalne — powiedział w ramach wprowadzenia.

Była to piosenka, którą napisał na północy podczas jednego z owych wieczorów, gdy za szybami wiał wiatr, kiedy Chloe odeszła i miała już nigdy nie wrócić. Piosenka zaczynała się od grających tę samą frazę skrzypiec, potem doszedł rytm, bas, perkusja, a na końcu głos Jessego.

Wiem, że większość z nas uważa, że nasze dzieci to geniusze, nawet jeśli wcale nimi nie są (przyczepiamy ich powalane farbą malunki na drzwiach lodówki niczym dzieła Picassa), ale o piosence Angels, 199

której niedawno znowu wysłuchałem, na długo po całej tej sprawie z Chloe, mogę powiedzieć, że zawiera nadzwyczajne przesłanie skierowane do młodej, niewiernej dziewczyny. W głosie osoby będącej kimś innym niż chłopak, który obecnie siedzi ze mną na kanapie, a jego usta wypowiadają słowa piosenki, słycać przekonanie.

Jednak nie to mnie tak uderzyło. Nastąpiła zmiana w tekście.

W jednej chwili był oskarżycielski i ostry, w kolejnej - błagalny.

Słowa były okrutne, miały ranić, były obraźliwe, jakby autor wyraził całe swoje wnętrze. Po raz pierwszy tekst był prawdziwy: nie było już pieprzenia o dorastaniu w getcie, chciwości wielkich korporacji czy dzieciństwie spędzonym na podwórzu pełnym igieł, strzykawek i kondomów. Piosenka Angels była autentyczna - jakby ktoś zdarł z Jessego skórę i nagrał jego wrzask.

Słuchając tego utworu, uświadomiłem sobie - z ulgą, a nie przykrością, co było dziwne - że miał więcej talentu niż ja. Naturalnego talentu. Odkryło go cierpienie po odejściu Chloe. To ona

wytopiła szczenięcy tłuszcz z jego tekstów.

Gdy głos na CD zamilkł tak samo jak przejmujące skrzypce (przypominały ręczną piłę, która co chwila kaleczyła i zagłębiała się w ranę), spytał:

— I co o tym myślisz?

Powoli, z namysłem, żeby mógł to posmakować, odparłem:

— Myślę, że masz duży talent.

Skoczył na równe nogi, tak samo jak wtedy, gdy spytałem go, czy chce rzucić szkołę.

— Nie jest źle, prawda? — powiedział podekscytowany. Pomyślałem, że być może jest to sposób, by pozbyć się Chloe.

Tego wieczoru wróciłem późno do domu. Na ganku było ciemno; nie dostrzegłem Jessego, dopóki nie wszedłem po schodach.

200

— Jezu — powiedziałem — ale mnie przestraszyłeś. — Za nim dostrzegłem przez okno krzątającą się po jasno oświetlonej kuchni Tinę i wszedłem do środka.

Zwykle Jesse, spragniony rozmowy, wchodził za mną do domu, paplając o tym i o tamtym. Czasami nawet stawał przed toaletą i mówił do mnie przez drzwi. Omówiłem miłe wydarzenia dnia z żoną (tutaj praca, tam praca, wszędzie praca i praca) i wyszedłem na zewnątrz. Zapaliłem światło. Jesse obrócił głowę, by mnie zobaczyć, na jego ustach pojawił się krzywy uśmiech.

Cicho usiadłem obok niego.

— Pamiętasz, czego tak bardzo się bałem?

— Tak.

— Wydarzyło się.

Zadzwoił przyjaciel i przez telefon przekazał mu wieści.

— Jesteś pewien?

— Tak.

— Skąd wiesz, że chodzi o Morgana?

— Bo powiedział to mojemu przyjacielowi.

— Który potem przekazał to tobie?

— Tak.

— Jezu, dlaczego on to zrobił?

— Bo ona wciąż mu się podoba.

— Mam na myśli to, dlaczego przyjaciel ci to powiedział?

— Bo jest moim przyjacielem.

Mieszkająca po drugiej stronie ulicy Chinka wyszła z domu z miotłą i żwawo zaczęła zamiatać schody. Ledwo odważyłem się na niego spojrzeć.

— Myślę, że popełnia straszny błąd — powiedziałem bezsilnym głosem.

Szur, szur, mała kobieta kiwała małą głową niczym ptak.

— Teraz już nigdy jej nie odzyskam — odrzekł. — Nigdy.

Zsunął się z krzesła i zaczął schodzić po schodach. Wte-

201

dy zwróciłem uwagę na jego uszy. Były czerwone, jakby siedział w krześle i ciągle je tarł. Jego czerwone uszy i sposób chodzenia mówiły mi, że nie ma dokąd pójść, jakby wszystkie zadania, wszyst-

kie ludzkie działania oprócz niej były bezcelowe, niczym pusty parking ciągnący się aż do linii horyzontu. Ścisnęło mi się serce, miałem ochotę za nim krzyknąć.

Miałem zamiar pokazać mu Glinę Jeana-Pierre'a Melville'a {Un flic, 1947), ale on chciał jeszcze raz obejrzeć Chungking Express.

Przyniósł płytę ze swojego pokoju.

— Chcę obejrzeć coś z okresu sprzed Chloe. — Jednak w połowie filmu, gdy szczuplutka dziewczyna tańczyła w mieszkaniu do California Dreamin', wyłączył odtwarzacz.

— Nie działa — powiedział. — Myślałem, że w jakiś sposób mnie to zainspiruje.

— W jaki sposób?

— Wiesz, o co chodzi - udało mi się pozbyć Rebekę; teraz chcę zapomnieć o Chloe.

— Tak?

— Ale nie potrafię tam wrócić. Nie pamiętam, jak to było lubić Rebekę. Wciąż myślę tylko o Chloe. To zbyt romantyczne. Pocą mi się dłonie.

Następnego wieczoru nie wrócił do domu, na automatycznej sekretarce zostawił tylko trochę uroczystą, zdradzającą napięcie, wiadomość, że na noc zostaje w „studiu”. Nigdy tam nie byłem, ale wiedziałem, że było to małe pomieszczenie, „w którym nie ma nawet miejsca, żeby się obrócić”. Skoro tak, to gdzie właściwie Jesse zamierzał spać? W jego głosie było coś podejrzanego, niepokojąca ciężkość. Był to głos młodego człowieka przyznającego się do kra-

dzieży samochodu.

202

Tej nocy kiepsko spałem. Około ósmej rano, wciąż zaspany, zadzwoniłem na jego komórkę i zostawiłem wiadomość, że mam nadzieję, iż wszystko w porządku, i żeby do mnie oddzwonił przy najbliższej okazji. A potem, zupełnie bez związku, dodałem, że wiem, że czułem się fatalnie, ale każde narkotyki, a już kokaina w szczególności, sprawią, że prawdopodobnie wyląduje w szpitalu. Mogą go też zabić

— Nie da się tego uniknąć — powiedziałem, chodząc w tę i z powrotem po pustym salonie, na zewnątrz słońce znaczyło plamkami werandę. — Nie istnieje droga na skróty.

Moje słowa brzmiały pretensjonalnie i zupełnie nieprzekonująco. Jednak gdy odłożyłem słuchawkę, poczułem się spokojniejszy; może i zabrzmiało to głupio, ale przynajmniej to powiedziałem. Oddzwonił dwadzieścia minut później. Bardzo dziwne, że był na nogach o tej porze. Ale oddzwonił, mówił głębokim i ostrożnym głosem, jakby ktoś celował w niego z pistoletu albo uważnie słuchał każdego słowa, które do mnie wypowiadał.

— Wszystko w porządku? — spytałem.

— Tak, tak, naprawdę wszystko jest okej.

— Twój głos nie brzmi zbyt dobrze.

Zirytowane parsknięcie.

— No cóż, nie jest mi tutaj łatwo.

— Wiem, Jesse — powiedziałem. Przerwa. Nie odezwał się. —

A więc widzimy się wieczorem.

— Może się okazać, że będziemy mieć próbę — odparł.

— Dobrze, ale później chcę się z tobą zobaczyć. Wypijesz z Tiną kieliszek wina.

— Zobaczę, co da się zrobić.

Zobaczę, co da się zrobić. (Synu, ja nie proszę o dobrowolne oddanie krwi).

Miałem silne przeczucie, żeby nie naciskać, że wypuścić się na smyczy bardzo, bardzo daleko, a smycz ta w zagadkowy sposób

203

stała się cienka. Wyjątkowo łatwo było ją zerwać. Pożegnałem się.

Dzień był dziwnie piękny, oślepiająco słoneczny, drzewa nagie, po niebie szybko przesuwały się chmury. Jakiś nierzeczywisty dzień.

Telefon zadzwonił raz jeszcze. Tępy głos. Pozbawiony modulacji.

— Przepraszam, że cię okłamałem — powiedział. Cisza. — Brałem wczoraj narkotyki. Teraz jestem w szpitalu. Myślałem, że mam zawał; straciłem czucie w lewej ręce, więc zadzwoniłem po pogotowie.

— Kurwa mać — tylko tyle byłem w stanie powiedzieć.

— Przepraszam, tato.

— Gdzie jesteś?

Podał nazwę szpitala.

— A gdzie to jest, do cholery?

Usłyszałem, jak zakrywa słuchawkę dłonią. Potem podał mi

adres.

— Jesteś teraz na izbie przyjęć?

— Nie. Jestem z pielęgniarkami. Leżę w łóżku.

— Zostań tam.

Chwilę później, gdy się ubierałem, zadzwoniła jego matka.

Miała próbę na naszej ulicy; mogłaby wpaść na lunch?

Wsadziłem Maggie do samochodu Tiny i jasnym popołudniem pojechaliśmy do szpitala, zaparkowaliśmy samochód, przeszliśmy trzy mile korytarzy, rozmawialiśmy z kimś na ostrym dyżurze.

Otworzyły się przesuwne drzwi; mineliśmy grupkę dowcipkujących pielęgniarek, lekarzy i sanitariuszy w niebieskich fartuchach, skręciliśmy w lewo, potem w prawo, doszliśmy do łóżka numer 24.

Był tam. Bledszy od ściany. Szklane oczy, pociemniałe i przesuszowane usta, brudne paznokcie. Nad jego głową pikał monitor serca.

Matka pocałowała go czule w czoło. Przyglądałem mu się chłodno. Spojrzałem na monitor.

— Co powiedzieli lekarze? — nie potrafiłem go dotknąć.

204

— Że moje serce naprawdę przyspieszyło, ale to nie był zawał.

— Powiedzieli, że to nie zawał?

— Tak myślą.

— Tak myślą, czy są pewni?

Jego matka rzuciła mi karcące spojrzenie. Położyłem dłoń na jego nodze i powiedziałem:

— Dobrze, że zadzwoniłeś po pogotowie. — Powstrzymałem

się przed dodaniem, że mam nadzieję, iż nie będę musiał za to zapłacić.

Potem zaczął płakać; patrzył w biały sufit, a po jego policzkach płynęły łzy.

— Wygrała — powiedział.

— Kto?

— Chloe. Wygrała. Ona teraz zabawia się ze swoim byłym, a ja jestem tutaj, w pieprzonym szpitalu. Wygrała.

Poczułem, jak para silnych palców wrywa mi serce. Miałem wrażenie, że mogę zemdleć. Usiadłem.

— Jesse, życie jest bardzo długie. Nigdy nie wiadomo, kto ostatecznie wygra.

— Jak do tego doszło? — szlochał. — Jak do tego doszło?

Poczułem, jak zaczyna mi drzeć w klatce piersiowej. Pomyślałem sobie, Boże, spraw, żeby już nie płakał.

— Zadzwoń do niego i go przeleciała — powiedział, w jego oczach był taki ból, że musiałem odwrócić wzrok.

— Wiem, że sprawy wyglądają kiepsko — odparłem.

— Właśnie — zapłakał. — Wyglądają bardzo kiepsko. Nie jestem w stanie spać ani zamknąć oczu. Nie potrafię wyrzucić z głowy tych obrazów.

Pomyślałem, że z tego powodu jeszcze umrze.

— Kochanie, sprawy wyglądają tak kiepsko z powodu kokainy.

To przez nią jesteś taki bezbronny. Po kokainie wszystko wydaje się o wiele gorsze niż w rzeczywistości.

Takie chrzaniecie, odrażająco nieefektywne, zasługujące na pogardę słowa. Jak płatki kwiatów na drodze buldożera.

— Naprawdę? — a jego osobliwy głos kogoś szukającego kamizelki ratunkowej kazał mi mówić. Mówiłem przez piętnaście minut; oczy Maggie wpatrzone w jego twarz; mówiłem i mówiłem, i mówiłem wszystko, co przychodziło mi do głowy; czułem się, jakbym po omacku poruszał się w ciemnym pokoju, szukając palcami tu i ówdzie, w jego kieszeni, w szufladzie, pod tym ubraniem, tam, przy lampie, szukając odpowiedniego doboru słów, które mogłyby jeszcze raz wywołać takie „Naprawdę?” i co za tym idzie chwilową ulgę.

— Możesz przestać myśleć o tej dziewczynie, ale nie uda ci się to za pomocą kokainy — powiedziałem.

— Wiem.

Zaczął, gdy tylko dojechali do studia, by zrobić próbę. Przez cały czas miał wrażenie, że Jack coś wie, że coś przed nim ukrywa. Może Chloe zdradzała go cały czas, może Morgan był najlepszy na świecie w... czymkolwiek.

Spytał więc:

— Czy wiesz o czymś, o czym mi nie mówisz?

A Jack, którego dziewczyna ledwo znała Chloe, powiedział, że nie. Jesse wciąż naciskał. Nie, nie wie nic nowego, mówił mu to już z pięć razy: zadzwoniła do Morgana, on wsiadł w autobus i pojechał do Londynu, spędzili wieczór w mieszkaniu, słuchając „świet-

nej muzy". I Chloe go przeleciała. To cała historia, serio, nic więcej nie wiedział.

I wtedy ktoś przyniósł kokainę. Siedem godzin później wszyscy spali, a Jesse na kolanach sprawdzał dywan w poszukiwaniu koki, która mogła spaść ze stołu. Później jego ręka stała się bezwładna; wyszedł na zewnątrz na oślepiające słońce, które odbijało się od samochodów, trafił na jakiś otwarty bar, powiedział, że musi zadzwonić po karetkę; barman odrzekł:

206

— Tutaj tego nie robimy.

Poszedł więc do budki telefonicznej - było już prawie południe, wszystko dookoła niego pędziło, bardzo się bał i zadzwonił pod 911. Usiadł na krawężniku i czekał, karetka przyjechała, wsadzili go do tyłu.

Gdy wieźli go do szpitala, patrzył przez tylne okno; widział uciekające słoneczne ulice; pielęgniarka spytała, co brał, poprosiła, żeby podał numer telefonu do rodziców; odmówił.

— A potem zwyczajnie się poddałem — powiedział. — Poddałem się i wszystko im powiedziałem.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu; po prostu patrzyliśmy na naszego bladego syna, na jego dłoń położoną na twarzy.

— Prosiłem ją, żeby nie robiła właśnie tej jednej rzeczy — mówił dalej. — Tylko tej jednej rzeczy. Dlaczego to zrobiła? — Po jego pobladłej, dziecięcej twarzy widać było, o czym myśli: ona robi jemu to, on robi jej tamto.

— Zachowała się jak świnia — powiedziałem.

Przyszedł lekarz, młody Włoch, kozia bródka i wąsy, bardzo życzliwy. Spytałem Jessego:

— Czy w naszej obecności będziesz rozmawiał szczerze z panem doktorem?

— Bycie szczerym jest bardzo ważne — stwierdził lekarz, jakby ktoś właśnie opowiedział mądry dowcip.

Jesse odparł, że tak. Doktor zadał kilka pytań, posłuchał bicia jego serca, osłuchał plecy.

— Twoje ciało nie lubi koki — powiedział z uśmiechem. — Papierosów też nie. — Wyprostował się.

— Nie miałeś zawału — mówił dalej. Wyjaśnił coś, czego nie zrozumiałem, na zaciśniętej pięści demonstrował serce, które przestało bić. — Coś ci powiem. Gdy ktoś w twoim wieku przyjeżdża tutaj z zawałem serca, zawsze jest to wywołane kokainą.

Zawsze.

207

Lekarz wyszedł. Trzy godziny później my również wyszliśmy; podrzuciłem Maggie do metra i zabrałem Jessego do domu.

Gdy stanęliśmy na podjeździe, znowu zaczął szlochać.

— Tak strasznie mi jej brakuje — powiedział. — Tak strasznie.

Wtedy ja też zacząłem płakać.

— Zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Wszystko.

I tak obaj siedzieliśmy i szlochaliśmy.

Rozdział 15

I wtedy stał się cud (nie był on jednak niespodzianką). Chloe, pnąca się w górę karierowiczka, wszystko sobie przemyślała. Według plotek Morgan został odprawiony z kwitkiem. Dziewczyna próbowała wybadać sytuację. Jej najlepsza przyjaciółka „podbiegła” do Jessego na jakiejś imprezie i powiedziała mu, że Chloe „bardzo, ale to bardzo za nim tęskni”.

Zdawało mi się, że jego twarz nabrała kolorów; zaczął nawet chodzić w inny sposób, nie potrafił ukryć delikatnych podskoków. Puścił mi jeszcze jedną piosenkę, potem jeszcze jedną; Corrupted Nostalgia była, jak to mówią w przemyśle rozrywkowym, na fali. Koncertowali w barze przy Queen Street. Wciąż byłem na wygnaniu.

Czując, że „Ukryte skarby” przestają go interesować, zacząłem szukać innego tematu. Musiał on mieć coś wspólnego z pisaniem, bo Jesse skłaniał się właśnie w tym kierunku. Wreszcie przyszedł mi do głowy zupełnie oczywisty pomysł: obejrzymy serię filmów, do których napisano świetne scenariusze.

Obejrzelibyśmy Manhattan (1979) Woody'ego Allena. Oraz Pulp Fiction (1994), rozróżniając oczywiście scenariusz pisany dla rozrywki i scenariusz opisujący prawdziwe zdarzenia. Pulp Fiction, film bardzo zabawny sam w sobie, z cudownymi i genialnymi dialogami, nie ma w sobie nic ludzkiego. Zapamiętałem sobie, że mam opowiedzieć Jessemu historię o Czechowie oglądającym

209

w moskiewskim teatrze sztukę Ibsena zatytułowaną Dom lalki, podczas której odwrócił się do znajomego i wyszeptał: „Ale po-

śłuchaj, Ibsen nie jest dramaturgiem... On po prostu nie zna życia. Życie wcale takie nie jest".

Dlaczego nie pokazać mu również Wani na 42 ulicy Louisa Malle'a? Jesse był zbyt młody na Czechowa - owszem, mógł się znudzić - zgadywałem jednak, że może mu się spodobać jęczący, narzekający i romantyczny Wania w wykonaniu Wally'ego Shawna, zwłaszcza gdy naigrywa się z profesora Sieriebriakowa. „Przecież nie możemy wszyscy mówić, pisać i wyrzygiwać pracy jak jakaś maszyna rolnicza!".

Tak, Jessemu by się taki Wania spodobał. „Idealna pogoda na popełnienie samobójstwa!".

Potem zaserwowałbym mu swego rodzaju deser - Mieć i nie mieć (To Have and Have Not, 1944). Film ten ma świetne referencje: został oparty na powieści Hemingwaya (który miał wtedy problemy z psychiką, ciągle pił martini, łykał tabletki i pisał bzdury o czwartej nad ranem); scenariusz napisał wielbiciel Lolity, William Faulkner; z ową wspaniałą sceną Bogart - Bacall na szczycie schodów położonego na brzegu morza hotelu, gdy ona oferuje mu siebie ze słowami: „Nie musisz nic robić ani mówić; może po prostu zagwiżdż. Wiesz, jak się gwiżdże, prawda, Steve? Wystarczy złożyć usta i dmuchnąć". Najlepszej jakości popisy scenarzysty.

Oczywiście pokazałbym mu również wybitny popis Davida Mameta, Glengarry Glen Ross (1992).

Biuro kiepskiego pośrednika w handlu nieruchomościami, sami nieudacznicy, którzy zostają słownie zlinczowani przez swojego „mo-

tywatora". „O d s t a w tę kawę", mówi Alec Baldwin do oszołomionego Jacka Lemmona. „Kawa jest tylko dla tych, którzy podpisują umowy".
Takie miałem plany. Może obejrzelibyśmy jeszcze film noir, Kradzież na South Street (Pickup on South Street, 1953)... Wszystko to wciąż było przed nami.

210

A potem przyszła przerwa świąteczna: wieczór, siedzimy z Jessem na zewnątrz, prószy śnieg. Na zimowym niebie widać szukające Bóg wie czego i świętujące Bóg wie co reflektory. Nie widział się z Chloe Stanton-McCabe, nie rozmawiał z nią, nie pisali sobie maili, ale niedługo miała przyjechać, żeby spędzić tydzień z rodzicami. Miała być jakaś impreza. Miał ją tam zobaczyć.

— A co, jeśli znowu to zrobi? — spytał.

— To znaczy?

— Pójdzie w tango z innym koleśkiem.

Do tej pory nauczyłem się już, żeby nie robić żadnych szalonych, niekwestionowanych przepowiedni (choć nie przewidywałem sprawy z Morganem).

— Wiesz, co na ten temat mówi Tolstoj? — spytałem.

— Nie.

— Mówi, że kobieta nigdy nie zrani cię dwa razy w ten sam sposób.

Jakiś samochód wjechał pod prąd w naszą jednokierunkową ulicę; obaj go obserwowaliśmy.

— Myślisz, że to prawda? — zapytał.

Przez chwilę poważnie się nad tym zastanowiłem. (Pamięta wszystko. Uważaj, jeśli coś obiecujesz). Zrobiłem szybki przegląd kochanek, które mnie opuściły (lista była zaskakująco długa). Tak, to była prawda, żadna kobieta nie zraniła mnie tak bardzo za drugim razem, pierwszy raz zawsze był gorszy. Uświadomiłem sobie również, że w większości przypadków, o ile nie we wszystkich, nigdy nie miałem szansy na to, by ta sama kobieta zraniła mnie dwa razy. Jeśli moje nieszczęśliwe kochanki mnie opuszczały, robiły to z reguły raz a dobrze.

— Tak — powiedziałem po chwili — myślę, że to prawda.

Kilka dni później, tuż przed świętami, gdy dłubałem przy choince, lampki gasły i zapalały się, niektóre działały, niektóre nie, były to puzzle, które jedynie moja żona potrafiła ułożyć, usłyszałem

211

dziwne dudnienie na schodach. Do pokoju wtargnął mocny zapach dezodorantu (aplikowanego zapewne pompką rowerową), a młody ksiączę wyruszył na zimne powietrze, by dokonać się jego los.

Tego wieczoru nie wrócił do domu; następnego ranka na automatycznej sekretarce odsluchaliśmy męsko i dorośle brzmiącą wiadomość; na trawniku leżał świeży śnieg, słońce właśnie wschodziło. Wrócił po południu, litościwie streszczając nam wydarzenia poprzedniego wieczoru. Poszedł na tę imprezę, przyszedł później wraz z grupą kumpli w bejsbolowych czapkach, zbyt dużych T-shirtach i bluzach z kapturem; była tam, w zadymionym i zatłoczonym sa-

lonie, leciała ogłuszająca muzyka. Rozmawiali ze sobą tylko przez chwilę, gdy szepnęła: „Jeśli nadal będziesz tak na mnie patrzył, będę musiała cię pocałować”. (Mój Boże, gdzie one się tego uczą? Czyżby przed każdą z takich imprez czytały Tolstoja?).

Potem Jesse był trochę nieobecny (i tak powinno być). Zostali na imprezie; nagle przestało im się spieszyć; dziwne, ale prawdziwe, jakby ostatnie miesiące były wyimaginowane, jakby w ogóle nie istniały.

(Ale istniały i potem będzie trzeba o tym jeszcze porozmawiać). Jednak w tamtej chwili było to jakby powolne zjeżdżanie z łagodnego wzgórza na rowerze bez hamulców; nie można było zmniejszyć pędu, nawet gdy się chciało.

Gdy myślę o klubie filmowym, widzę, że to właśnie tej nocy zaczął się kończyć. W życiu Jessego nastąpił nowy czas, rozpoczął się nowy rozdział. Wtedy tak nie myślałem, wtedy wyglądało to tak jak zwykle, jakbyśmy, wicie, zawsze mogli wrócić do oglądania filmów. Akurat.

Nawet teraz, pisząc te słowa, jestem ostrożny. Pamiętam swój ostatni wywiad z Davidem Cronenbergiem. Podczas tej rozmowy wypowiedziałem raczej ponurą uwagę, że wychowywanie dzieci to ciąg pożegnań, jedno po drugim, pożegnanie z pieluchami,

212

kombinezonami, a w końcu z samymi dziećmi. „Swoje młode życie spędzają na pozostawianiu rodziców”. Wtedy Cronenberg, który sam ma już dorosłe dzieci, przerwał mi. „Tak, ale czy one

rzeczywiście odchodzą?".

Kilka dni później stało się coś niebywałego. Jesse zaprosił mnie na swój koncert. Grali w klubie za rogiem, w miejscu, w którym koncertowali kiedyś Stonesi, a była żona naszego premiera poszła do domu, zdaje się, z jednym z gitarzystów. W knajpie, z której rok wcześniej Jesse mnie wyprosił. Jednym słowem, klub ten był po brzegi naładowany historią.

Powiedziano mi, że na kilka minut przed pierwszą w nocy mam zjawić się przed drzwiami wejściowymi i dobrze się zachowywać, żadnych krępujących demonstracji ani чуłostek, niczego, co mogłoby umniejszyć roztaczaną przez Jessego aurę zagrożenia i heteroseksualnego, zaprawionego w bojach „ulicznika”.

Natychmiast się na to zgodziłem. Tina nie została zaproszona; dwoje dorosłych z zamglonymi oczami - to już byłoby zbyt wiele. Ona również z radością się na to zgodziła. Jest szczupłą kobietą, na nogach prawie nie ma tłuszczu, myśl o wyjściu na mroźne powietrze, o prawdopodobieństwie nocnego stania w kolejce przez czterdzieści pięć minut, podczas gdy od Lake Ontario wieje mroźny wiatr, uwolniła ją od największej nawet ciekawości.

Tej nocy o dwunastej trzydzieści wyszedłem więc na lodowaty chodnik i przeszedłem przez park. Szedłem opustoszałą ulicą w Chinatown, w zacienionych miejscach koty ogryzały jakieś nieprawdopodobne przedmioty. Skręciłem za róg, wiatr podwiewał mnie od tyłu, aż w końcu dotarłem do wejścia do El Mocambo. Zdawało się, że czekała tam ta sama grupa młodych

ludzi co wcześniej, palili papierosy, przeklinali, śmiali się, przed ich twarzami unosiły się chmury zamarznętego powietrza przypominające chmurki z komiksów. On też tam był. Szybko do mnie podszedł.

213

— Tato, nie możesz wejść — powiedział. Wyglądał na spanikowanego.

— Dlaczego?

— Sytuacja w środku nie wygląda za dobrze.

— Co masz na myśli?

— Nie ma tam wcale wiele ludzi; pozwolono, żeby akt przed nami trwał zbyt długo; straciliśmy trochę publiczności...

Tyle mi wystarczyło.

— Wyciągasz mnie z ciepłego łóżka w mróz, ubieram się i pędzę tutaj, jest pierwsza w nocy, czekałem na to wiele dni, a teraz mówisz mi, że nie mogę wejść?

Kilka minut później wprowadził mnie po schodach, przeszliśmy obok budki telefonicznej, przy której kiedyś mnie przytąpał. (Jak ten czas szybko płynie). Weszliśmy do niewielkiej sali z nisko zawieszonym sufitem, było bardzo ciemno, na końcu stała mała, kwadratowa scena. Kilka chudych dziewczyn siedziało na krzesłach z boku sceny. Wierzgały nogami i paliły papierosy. Niepotrzebnie się martwił; w ciągu następnych dziesięciu minut w wejściu zaroilo się od przysadzistych, czarnych dzieciaków z siatkami na włosach i wysokimi dziewczynami z umalowanymi

na czarno oczami (wyglądały jak szopy pracze). No i była Chloe. Chloe ze swoim diamentowym kolczykiem w nosie i bujnymi blond włosami. (Miał rację - wyglądała jak gwiazda filmowa). Grzecznie i wesoło mnie przywitała, miała dobre maniery dziewczyny ze szkoły prywatnej, która w czasie wakacji spotyka swojego dyrektora.

Usiadłem w odległym kącie obok wielkich, czarnych skrzyń (nigdy się nie dowiedziałem, co to było, nieużywane głośniki, skrzynie, nieważne). Było tam tak ciemno, że ledwo widziałem rysy twarzy siedzących obok mnie dwóch dziewczyn. Czułem jednak zapach ich perfum i słyszałem ich wesołą, sprośną pogawędkę.

214

Jesse zostawił mnie tam z niewypowiedzianym nakazem siedzenia i nieruszania się z miejsca. Powiedział, że ma jakieś „sprawy”, którymi musi się zająć, zanim zaczną grać.

Siedziałem więc w ciemności, a moje serce nieznośnie waliło z niepokoju. Czekałem. I czekałem. Przyszło jeszcze więcej dzieciaków, w sali robiło się coraz cieplej; w końcu na scenę wyszedł młody chłopak (czy to tam właśnie stał Mick Jagger?) i pośród ryków nakazał publiczności, żeby „wzięła się, kurwa, w garść” i „przywitała zajebisty zespół”, Corrupted Nostalgia!

Corrupted Nostalgia, ni mniej, ni więcej.

Wyszli więc na scenę, dwaj chudzi chłopcy, Jesse i Jack; zaczęły się pierwsze takty Angels, Jesse przyłożył mikrofon do ust i wy-

powiadał ten pełen przekleństw tekst, krzyki Tristana na Izoldę, Chloe stała tyłem do mnie (w zasięgu wzroku nie było Morgana), kilkanaście par rąk wyciągniętych w kierunku sceny.

Był tam: Jesse, mój ukochany syn, odizolowany ode mnie, nie-mający ze mną nic wspólnego, w naturalny sposób chodzący po scenie. Był innym synem; nigdy wcześniej go nie widziałem.

Chłopcy dalej wypowiadali tekst, był gniewny, obraźliwy, Chloe stała pośrodku kołyszącego się tłumu, lekko przechyliła głowę na bok, jakby chciała uniknąć wściekłego ataku; publiczność wyciągała przypominające gałęzie ręce w kierunku sceny, falowała w górę i w dół...

Mieliśmy z Jessem jeszcze tyle do zrobienia: kilka miesięcy później nakręcił z Corrupted Nostalgia teledysk do Angels; Chloe zagrała „dziewczynę” (aktorka, którą zatrudniono, zaszalała z kokainą i się nie zjawiła). Było jeszcze więcej kolacji w Le Paradis, więcej wypalonych z Tiną na ganku papierosów (nawet teraz, gdy to piszę, słyszę ich konspiracyjne szepty), więcej filmów, ale teraz już w kinach, siedzieliśmy po lewej stronie przejścia, w dziewiątym lub dziesiątym rzędzie, na „naszych miejscach”. Były jeszcze sprzeczki z Chloe Stanton-McCabe, balansowanie na krawędzi

215

i teatralne godzenie się ze sobą; były kace i sentymenty, nagła miłość do pisania artykułów na tematy kulinarne, bolesna nauka u japońskiego kucharza i poniżająca „inwazja” brytyjskiej sceny muzycznej („Tato, oni mają tam własnych raperów!”).

Były również podejrzone życzenia urodzinowe od - kogóż by innego, jak nie od Rebeki Ng, będącej na drugim roku prawa.

A potem pewnego dnia - zupełnie niespodziewanie - Jesse powiedział:

— Chcę wrócić do szkoły. — Zapisał się na trzymiesięczny, intensywny kurs z matematyką, naukami przyrodniczymi, historią, z tymi wszystkimi strasznymi przedmiotami, które kilka lat wcześniej go pokonały. Byłem pewien, że nie ma szans, nie da rady całymi godzinami siedzieć na tyłku w klasie. No i te wszystkie prace domowe. Oczywiście znowu się myliłem.

Jego matka, była nauczycielka w prowincjonalnym miasteczku, uczyła go w swoim domu w Greektown. Czasami było ciężko, zwłaszcza z matką. Zrywał się od stołu w kuchni, trzęsąc się z wściekłości i frustracji, i jak szalony biegał dookoła bloku. Ale zawsze wracał.

Zaczął tam sypiać - wyjaśniał, że wtedy poranki były prostsze i mógł „od razu wziąć się do roboty”. Potem zupełnie przestał przychodzić do mojego domu.

Zadzwoił do mnie wieczorem przed końcowym egzaminem.

— Niezależnie od tego, jak to się skończy — powiedział — chcę, żebyś wiedział, że naprawdę się starałem.

Kilka tygodni później w mojej skrzynce na listy znalazła się koperta; nie mogłem patrzeć, jak Jesse wchodzi po schodach werandy, otwiera kopertę i wyciąga kartkę, jego ręce drżą, gdy czyta, jego głowa kiwa się w przód i w tył.

— Udało mi się! — wrzasnął, nie patrząc w górę. — Udało

mi się!

Nigdy już nie mieszkał w moim domu. Został u matki, a potem wynajął mieszkanie razem z kumplem, którego poznał w szkole.

216

Zdaje się, że był jakiś problem z dziewczyną, ale go rozwiązali.

Albo i nie. Nie pamiętam.

Nigdy nie obejrzelśmy serii pod tytułem „Wspaniałe scenariusze”.

Po prostu zabrakło nam czasu. Podejrzewam, że tak naprawdę nie miało to większego znaczenia; zawsze będzie coś, czego nie obejrzelśmy.

Wyrósł na klubie filmowym i w pewien sposób wyrósł na mnie, na byciu dzieckiem swojego ojca. Trwało to latami, działo się etapami, ale, nagle, stało się. Jeśli będziesz słaby, możesz zwariować. Czasami przechodzę nocą obok jego sypialni na trzecim piętrze; wchodzę do niej i siadam na brzegu łóżka; nierealny wydaje mi się fakt, że go nie ma, przez pierwsze miesiące uczucie to kazało mi przychodzić do tego pokoju. Zauważam, że na stoliku przy łóżku zostawił Chungking Express, nie musi już go oglądać, otrzymał od tego filmu to, czego potrzebował, i zrzucił go z siebie niczym wąż skórę.

Siedząc na tym łóżku, uświadamiam sobie, że nigdy już nie wróci, nie taki, jak kiedyś. Od tej pory będzie gościem. Jednak te trzy lata z życia młodego chłopaka były niesamowitym, cudownym i niespodziewanym prezentem. Normalnie przecież trzaskał-

by drzwiami przed nosem rodziców.

I jakie szczęście miałem (choć wcale na to nie wyglądało), że byłem bez pracy, że miałem tyle wolnego czasu. Dni, wieczory i popołudnia. Czas.

Wciąż marzę o serii pod tytułem „Przereklamowane filmy”; bardzo chciałbym opowiedzieć mu o Poszukiwaczach (The Searchers, 1956), oszałamiających pochwałach i mnożących się „specjalistycznych” analizach tego dzieła; albo o złośliwym fałszu w Deszczowej piosence (Singin' in the Rain, 1952) Gene'a Kelly'ego.

Będziemy jeszcze spędzać czas razem z Jessem, ale nie będzie to już ten rodzaj czasu, nie będą to słodkie, nierzadko apatyczne

217

chwile, które tak naprawdę świadczą o tym, że z kimś mieszkasz.

Jesteś pewien, że czas ten będzie trwał wiecznie, a potem, pewnego dnia, okazuje się, że to nieprawda.

Przed nami było jeszcze mnóstwo, mnóstwo zdarzeń; jego pierwszy dzień na uczelni, niewypowiedziany zachwyty legitymacją studencką z jego imieniem, nazwiskiem i zdjęciem, pierwszy referat („Rola kilku narratorów w Jądrze ciemności Josepha Conrada”), jego pierwsze piwo z kolegą wypite po zajęciach.

Przez chwilę jednak był tylko wysokim chłopakiem na scenie w starym klubie w centrum miasta, trzymającym w dłoni mikrofon. Jego ojciec schował się na widowni.

Przyznam, że siedząc tam w ciemności z tymi dziewczynami w skafandrach i o oczach szopów pracy, zapłakałem sobie ci-

chutko i zupełnie prywatnie. Nie wiem dlaczego - podejrzewam, że z jego powodu i dlatego, że nie da się cofnąć czasu; a w mojej głowie co rusz rozbrzmiewały słowa z Prawdziwego romansu: „You're so cool, you're so cool, you're so cool!”.

Podziękowania

Pisanie książki o członkach swojej rodziny, zwłaszcza jeśli bardzo ich kochasz, jest okropnym doświadczeniem i w najbliższym czasie nie mam zamiaru go powtarzać. Po pierwsze, muszę podziękować mojemu synowi, Jessemu, za powierzenie mi stworzenia jego portretu i pozwolenie na jego publikację, chociaż nie czytał książki. Mam nadzieję, że sprawiedliwie opisałem jego historię. Dziękuję również jego matce, Maggie Huculak, za wiele rzeczy, których nie zdołam tutaj wymienić. Muszę również podziękować mojej córce, Maggie Gilmour (również dorastała i mieszkała w Kalifornii), która, chociaż nie występuje w książce, odgrywa ogromną rolę w moim życiu i jest niezastąpiona. Jej matce, Anne Mackenzie, jestem winien podziękowania - i prawdopodobnie pieniądze - za jakieś ostatnie czterdzieści lat.

Książkę tę zadedykowałem mojemu redaktorowi i wydawcy, Patrickowi Creanowi, który ocalił moje literackie życie; dziękuję również mojemu agentowi, Samowi Hiyate'owi, za zainteresowanie i entuzjazm w czasie, w którym mój telefon najwyraźniej był wyłączony. Dziękuję Jonathanowi Karpowi, Nate'owi Grayowi i Cary'emu Goldsteinowi z „Twelve”; Marni Jackson za pomoc w kwestii związanej z Tołstojem oraz chłopakom i dziewczynom

z Queen Video za ich niestrudzoną improwizację w sprawie wypożyczenia nawet najdziwniejszych filmów. Jak zwykle pragnę

219

również podziękować kelnerom z restauracji Le Paradis, w której napisałem część książki.

Muszę również przyznać, że nie wiem, co zostałyby z tej powieści - i ze mnie - bez miłości mojej żony, Tiny Gladstone, która zapewniła mi spokój i wciąż dodawała otuchy.

Indeks filmów

Aguirre, gniew boży (Aguirre, derZorn Gottes)

Amerykańskie graffiti (American Graffiti)

Annie Hall

Bez przebaczenia (Unforgiven)

Beztraskie lata w Ridgemont High (Fast Times at Ridgemont High)

Blue Velvet

Brudny Harry (Dirty Harry)

Bullit

Butch Cassidy i Sundance Kid (Butch Cassidy and the Sundance Kid)

Casablanca

Chinatown

Chungking Express

Co z oczu, to z serca (Out of Sight)

Czas Apokalipsy (Apocalypse Now)

Człowiek z blizną (Scarface)

Czteryście batów (Les quatre cents coups)

Deszczowa piosenka (Singin'in the Rain)

Doktor No (Dr. No)

Dorwać małego (Get Shorty)

Dreszcze (Shivers)

223

Dziecko Rosemary (Rosemarys Baby)

Egzorcysta {The Exorcist}

Francuski łącznik (TheFrench Connection)

Full MetalJacket

Glengarry Glen Ross

Glina (Un flic)

Hannah i jej siostry {Hannah and Her Sisters}

Hombre

Inna kobieta {Another Woman}

Ishtar

Jackie Brown

Jungle Fever

Klute

Kobieta-diabeł (Onibaba)

Kradzież na South Street (Pickup on South Street)

Kto się boi Virginii Woolf? {Who's Afraid of Virginia Woolf?}

Leon zawodowiec (The Professional)

Liberator (Under Siege)

Lolita

Lśnienie (TheShining)

Manhattan

Mieć i nie mieć (To Have and Have Not)

Mr. Majestyk

Na nabrzeżach (On the Waterfront)

Nagi instynkt (Basic Instinct)

Nikita (La Femme Nikita)

Noc iguany (The Night of the Iguana)

Noc myśliwego (Night of the Hunter)

224

Noc po ciężkim dniu (A Hard Day's Night)

Obcy - ósmy pasażer Nostromo (Alien)

Obfitość (Plenty)

Obywatel Kane (Citizen Kane)

Ojciec chrzestny (The Godfather)

Ojciec chrzestny II (The Godfather Part II)

Ojczym (The Stepfather)

Olbrzym (Giant)

Ośławiona (Notorious)

Ostatnie tango w Paryżu (Last Tango in Paris)

Ostatnie zadanie (The Last Detail)

Ostra rozgrywka (52 Pick-Up)

Plan dziewięć z kosmosu (Plan 9 from Outer Space)

Pojedynek na szosie (Duel)

Policjanci z Miami (Miami Vice - serial telewizyjny)

Poszukiwacze (The Searchers)

Pół żartem, pół serio (Some Like It Hot)

Północ - północny zachód (North by Northwest)

Prawdziwy romans (True Romance)

Pretty Woman

Przyjaciele Eddiego (The Friends of Eddie Coyle)

Psychoza (Psycho)

Ptaki (The Birds)

Pulp Fiction

Quiz Show

Ran

RoboCop

Rocky III

225

Rzymskie wakacje (Roman Holiday)

Sexy Beast

Showgirls

Siła magnum (Magnum Force)

Skanerzy (Scanners)

Słodkie życie (La Dolce vita)

Sok z żuka (Beetlejuice)

Sprawy wewnętrzne (Internal Affairs)

Stick

Strefa śmierci (Dead Zone)

Szczęki (Jaws)

Szmery w sercu (Le souffle au coeur)

Śniadanie u Tiffanyego (Breakfast at Tiffany's)

Teksańska masakra piłą mechaniczną (The Texas Chain Saw Massacre)

The Late Show

To wspaniałe życie (It's a Wonderful Life)

Tootsie

Tramwaj zwany pożądaniem (A Streetcar Named Desire)

Trzeci człowiek (The Third Man)

Ukochana mamusia (Mommie Dearest)

Ulice nędzy (Mean Streets)

Volcano: An Inquiry into the Life and Death of Malcolm Lowry

W 80 dni dookoła świata (Around the World in 80 Days)

W mroku nocy (Night Moves)

W samo południe (High Noon)

Waltonowie (The Waltons - serial telewizyjny)

Wania na 42 ulicy (Vanya on 42nd Street)

226

Wielki sen (The Big Sleep)

Wspomnienia z gwiazdnego pyłu (Stardust Memories)

Wściekłe psy (Reservoir dogs)

Za garść dolarów (A Fistful of Dollars)

Zbrodnie i wykroczenia (Crimes and Misdemeanors)

Złodziej (Thief)

Złodzieje rowerów (Ladri di biciclette)

Życie Carlita (Carlitos Way)

Lisa-Xiu i Lin-Shi

Córki z Chin

Dido Michielsen i Auke Kok

Przełożyła Małgorzata Domińska

Seria Bliżej Siebie

Dwie siostry adopcyjne, Lisa-Xiu i Lin-Shi - urodzone w Chinach, a wychowane w Holandii - powracają do swojego macierzystego kraju. Ich rodzice, Dido Michielsen i Auke Kok, relacjonują tę niezwykłą podróż - nie tylko do obcego kraju, ale również do prawie całkowicie nieznannej przeszłości. We czworo odwiedzają domy dziecka, w których swego czasu przebywały dziewczynki.

Autorzy z pełną otwartością opisują rodzące się emocje, zarówno swoje, jak i dzieci. Lisa-Xiu i Lin-Shi. Córki z Chin to ekspresyjna, pełna miłości opowieść, napisana lekkim piórem, sięgająca głębiej niż w geograficzny wymiar Chin. Jest to relacja z podróży duchowej dotykająca delikatnych kwestii: Co oznacza adopcja dziecka z zupełnie odmiennej kultury? Co oznacza bycie dzieckiem adoptowanym?

Kalinka to opowieść ojca, który próbuje zrozumieć sens nieuleczalnej choroby swojego dziecka. Przez sześć lat życia Kalinki nieustannie poszukuje kontaktu z córką. Każdego dnia spogląda w oczy swojej małej Roślinki, by wyczytać z nich to, czego nie może usłyszeć.

Nie chcąc pogodzić się z diagnozą lekarzy. Barka i Andrzej uczy-

li się obsługiwać prywatny oddział intensywnej terapii, szukali ratunku u energoterapeutów, uzdrowicieli i indyjskiego guru. Wbrew wszystkim ograniczeniom narzuconym przez chorobę - codziennemu wnoszeniu wózka po schodach, obsłudze respiratora, podłączaniu sondy - odważnie kształtowali swoją rodzinną przestrzeń. Przemierzyli pół Europy, wspięli się na szczyt dwutysięcznika, zwiedzili kopalnię srebra, pływali w morzu, aby na końcu wspólnej drogi odnaleźć odpowiedź... Ale czy tę, której poszukiwali?

Dobra Literatura

Dobra Literatura - wydawnictwo i księgarnia internetowa

Literatura faktu, reportaż, beletrystyka,

literatura popularnonaukowa, publicystyka poradnikowa.

Znajdziecie u nas książki, które warto przeczytać,

które inspirują i dają do myślenia, pozostawiając po sobie cenne ślady.

Zapraszamy do wspólnej wędrówki!

www.dobraliteratura.pl

David Gilmour (ur. w 1949 r.),

kanadyjski pisarz i dziennikarz telewizyjny.

Pracował najpierw dla Toronto

International Film Festival, następnie

rozpoczął karierę telewizyjną jako

krytyk filmowy w programie „The

Journal" w Canadian Broadcasting

Corporation (CBC). Prowadził również własny talk-show dla CBC News-world - „Gilmour on the Arts”, który zdobył Gemini Award, nagrodę kanadyjskiego przemysłu telewizyjnego. W 1997 r. odszedł z CBC i skupił się na pisaniu. W 2005 r. zdobył Governor General's Awards, w 2007 r. dwukrotnie otrzymał National Magazine Award. Powieść Klub filmowy została przetłumaczona na 25 języków. Zdobywca wielu literackich nagród, David Gilmour, opowiada swoją nadzwyczajną historię w sposób inteligentny, dowcipny i rozbijający szczerzy. Klub filmowy to historia o tym, że odwaga i zaufanie zostają nagrodzone, a uczucie i czas poświęcony drugiej osobie mogą zmienić jej życie.